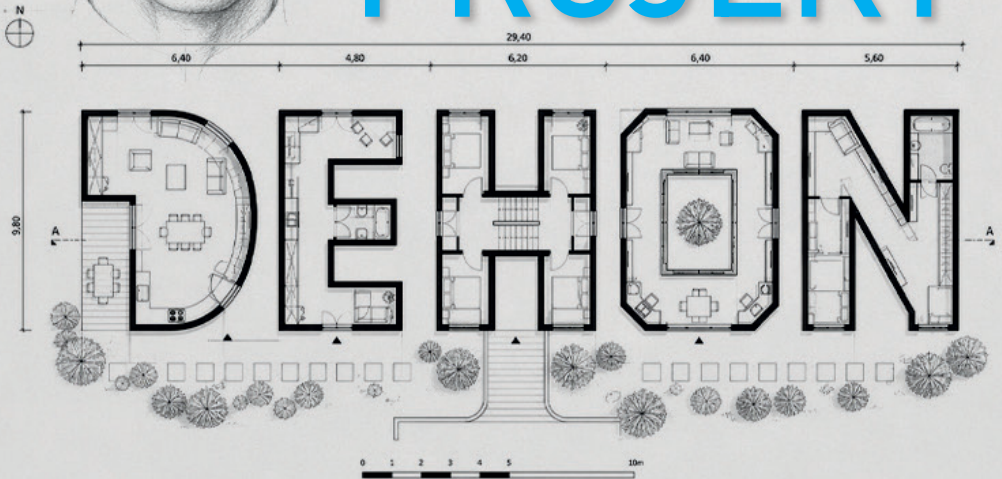




PROJEKT

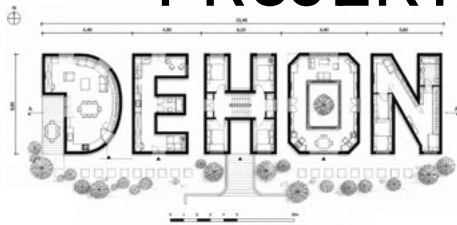


Jak żyjemy sercańskim charyzmatem
100 lat po śmierci o. Leona Jana Dehona?

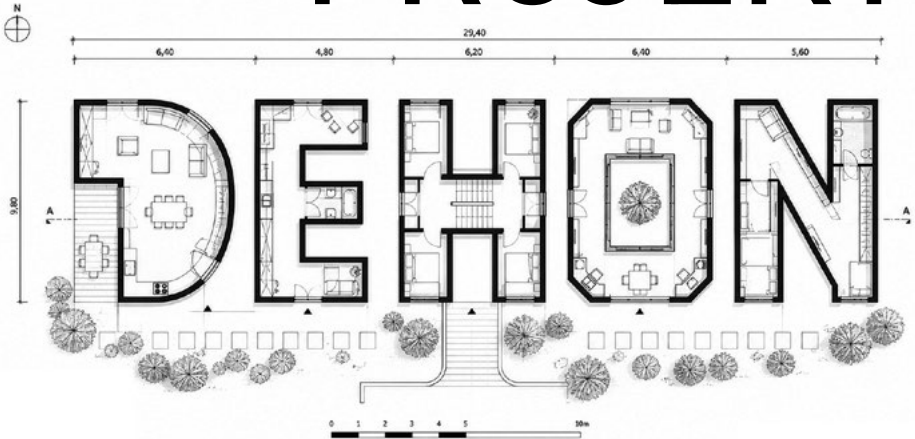
ŚWIADECTWA POLSKICH SERCANÓW



PROJEKT



PROJEKT



Jak żyjemy sercańskim charyzmatem
100 lat po śmierci o. Leona Jana Dehona?

ŚWIADECTWA POLSKICH SERCANÓW



KRAKÓW 2026

REDAKCJA

ks. Dariusz Salamon SCJ

SKŁAD I ŁAMANIE

Klemens Knap

PROJEKT OKŁADKI

Łukasz Ogórek

IMPRIMI POTEST

Warszawa, 27.10.2025 r., L. dz. 261/2025

ks. Sławomir Knopik SCJ

prowincał

© 2026 by Wyższe Seminarium Misyjne Księży Sercanów, 32-410 Stadniki 81

ISBN 978-83-7519-715-0

Wydawnictwo Księży Sercanów DEHON

ul. Saska 2, 30-715 Kraków

tel.: 12 290 52 93, 12 290 52 98

e-mail: dehon@wydawnictwo.net.pl

sprzedaz@wydawnictwo.net.pl

www.wydawnictwo.net.pl

Druk: Partner Poligrafia Andrzej Kardasz, Białystok 2026

Słowo Przełożonego Prowincji z okazji 100-lecia śmierci ojca Leona Jana Dehona

Rok Jubileuszowy, który przeżywamy jako Zgromadzenie z okazji stulecia śmierci ojca Leona Jana Dehona, jest dla nas czasem łaski, refleksji i wdzięczności. To szczególna okazja, by spojrzeć wstecz na drogę, którą przeszliśmy jako duchowi synowie Założyciela, i na nowo odkryć głębię jego charyzmatu – charyzmatu miłości i wynagrodzenia, zakorzenionego w dyspozycyjności wobec woli Ojca.

Z serca dziękuję wszystkim Współbraciom, którzy zechcieli odpowiedzieć na zaproszenie do podzielenia się swoim świadectwem. Wasze słowa tworzą mozaikę żywych historii, w których odbija się światło sercańskiego powołania. Są to świadectwa osobiste, szczerze, pełne autentyczności – zapisane nie tylko piórem, ale przede wszystkim sercem.

Wiele z nich ukazuje momenty odkrywania powołania – często inspirowane spotkaniem z konkretnym sercaninem, jego stylem życia i obecnością jako towarzysza na drodze rozeznania. Nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusowego, pielęgnowane w domach rodzinnych i parafiach, gościnność sercańskich wspólnot, a także misyjne pragnienia, dla wielu okazały się swoistą inspiracją w wyborze drogi życia i Zgromadzenia.

W tych świadectwach odnajdujemy ducha *Ecce venio* – „Oto idę, aby pełnić Twoją wolę” – oraz *Ecce ancilla* – „Oto ja, służebnica Pańska”. To właśnie ta dyspozycyjność, tak bliska sercu ojca Dehona, staje się nicią

przewodnią wielu opowieści: gotowość do odpowiedzi na Boże wezwanie – wyrażane przez decyzje przełożonych, przez potrzeby wspólnoty, przez wyzwania duszpasterskie.

Jestem głęboko poruszony tym, jak wiele dobra zadziało się – i wciąż się dzieje – dzięki temu charyzmatowi. Świadczenia te nie tylko dokumentują historię, ale są także potwierdzeniem, że droga wytyczona przez ojca Dehona jest nadal żywa, aktualna i owocna. Są one znakiem, że duch miłości i wynagrodzenia względem Bożego Serca może być przeżywany w sposób konkretny, codzienny i twórczy, a skoro tak, to również w sposób pociągający kolejne pokolenia duchowych synów ojca Dehona.

Niech ta publikacja będzie dla nas wszystkich źródłem zbudowania, inspiracją do pogłębienia naszej tożsamości sercańskiej i zachętą do dalszego dzielenia się tym, co w nas najpiękniejsze – życiem oddanym Bożemu Sercu.

Z wdzięcznością i błogosławieństwem,

ks. Sławomir Knopik SCJ

Przełożony Polskiej Prowincji Księży Sercanów

Inspiracja

Jubileuszowy Rok w naszym Zgromadzeniu, przypadający z okazji 100. rocznicy śmierci o. Leona Jana Dehona, zainspirował sercanów do podjęcia różnych inicjatyw, by uczcić pamięć o swoim Założycielu. Jedną z nich stał się pomysł, aby stworzyć mozaikę z żywych świadectw polskich sercanów: aby każdy podzielił się tym, w jaki sposób na przestrzeni swojego dotychczasowego życia kapłańskiego i zakonnego przeżywa charyzmat Założyciela.

Inicjatywa została przedstawiona księdzu prowincjałowi Sławomirowi Knopikowi, który udzielił jej swojego błogosławieństwa i pozwolił skierować prośbę o napisanie świadectw do wszystkich polskich sercanów. Po kilku miesiącach udało się zebrać kilkadziesiąt świadectw, które złożyły się na powstanie tej publikacji.

Możemy powiedzieć, że jest ona swoistym zapisem tego, w jaki sposób projekt, który stworzył ojciec Dehon, gdy zakładał Zgromadzenie w 1878 roku, a który potem rozwijał się za jego życia aż do śmierci w 1925 roku – został konkretnie zrealizowany w życiu polskich synów duchowych i naśladowców ojca Dehona po 100 latach od jego śmierci. Jakie najcenniejsze wartości charyzmatu przetrwały i znalazły swoje realne ucieleśnienie w życiu poszczególnych osób, które przyjęły „za swój” ewangeliczny styl życia ojca Dehona. Świadectwa te są równocześnie jakimś potwierdzeniem, kolejnym argumentem za tym, że ojciec Dehon wypracował oryginalną drogę życia duchem miłości i wynagrodzenia względem Bożego Serca, która przyniosła świętość nie tylko jemu samemu, ale stała się możliwą do realizacji inspiracją dla wielu jego naśladowców.

Zebrane świadectwa posiadają często charakter bardzo osobisty, szczery, otwarty. Są przez to bardzo autentyczne, naturalne. Są dzieleniem się początkami powołania, w jaki sposób ktoś został sercaninem, ale są równocześnie refleksją po wielu latach życia sercańskim powołaniem – jak mocno zaważyło ono na jakości i historii czyjegoś życia w Zgromadzeniu. Niektóre skupiają się bardziej na dziełach czy zaangażowaniach podejmowanych przez poszczególnych współbraci.

Dzięki zebranych świadectwom możemy się lepiej poznać jako polscy sercanie. Możemy też odkryć bogactwo łaski, jaka zaowocowała w życiu poszczególnych współbraci, o czym nie wstydzili się napisać. Zapewne o niektórych przeżyciach osobistych przeczytamy tutaj po raz pierwszy. Jestem przekonany, że odnajdziemy w tych świadectwach wiele cennych pereł, które będą dla nas zbudowaniem.

Chciałem w tym miejscu bardzo serdecznie podziękować wszystkim współbraciom, którzy podzielili się swoimi świadectwami. Wiem, że wymagało to nieraz znalezienia odrobiny czasu pośród codziennych obowiązków, a może i przełamania oporów przed tym, by podzielić się publicznie tym, co dotąd było tylko tajemnicą czyjegoś serca. Niektórzy prosili o zachowanie anonimowości.

Pozwoliłem sobie nadać tytuły świadectwom, które ich nie posiadały.

Przyjmijmy te zapiski z życzliwością i szacunkiem. Zostały napisane w jednym celu: aby oddać chwałę Bożemu Sercu i uczcić pamięć o naszym założycielu, ojcu Dehonie, dzięki któremu w naszym życiu zadziało się wiele dobra.

ks. Dariusz Salamon SCJ

*List z dnia 3 marca 2025 r., rozestany do współbraci
z prośbą o napisanie świadectwa:*

VCJ

Drodzy Współbracia

W związku z obchodami 100. rocznicy śmierci naszego ojca Założyciela zrodziła się idea, abyśmy w ramach naszej prowincji podzielili się osobistym przeżywaniem sercańskiego powołania:

- Co mnie pociąga i inspiruje w charyzmacie ojca Dehona?
- W jaki sposób realizuję ten charyzmat w swoim życiu zakonnym i kapłańskim?
- Jakie konkretne dzieło lub zaangażowanie jest owocem mojego osobistego odczytania i realizacji tego powołania?
- Jaka jest moja odpowiedź na podstawowe pytanie: dlaczego zostałem i wciąż jestem sercaninem?

W związku z tym **prosimy o podzielenie się takim szczerym i prostym świadectwem** (anonimowo lub z podaniem imienia i nazwiska) w formie pisemnej (albo też nagrania audio), za które byłibyśmy bardzo wdzięczni. Tekst nie musi być długi – od jednej do kilku stron. Można też wypowiedzieć się szerzej. Podane wyżej pytania mają tylko charakter pomocniczy.

Zebrane świadectwa chcielibyśmy wydać w formie książkowej, jako swoistą pamiątkę jubileuszu ojca Dehona, która byłaby utwaleniem tego, w jaki sposób my, polscy sercanie, dziś, po 100 latach od śmierci Założyciela, żyjemy Jego charyzmatem. Przez takie osobiste świadectwo

moglibyśmy pokazać i sobie, i tym, którzy są z nami związani (wiernym, dobroczyńcom), że nasz charyzmat jest wciąż żywy, potrzebny Kościołowi i ciągle inspirujący młodych ludzi.

Będziemy wdzięczni za pozytywną odpowiedź i przysłanie swojego świadectwa **do końca marca br.** na adres: rektor.wsm@scj.pl.

ks. Dariusz Salamon SCJ
rektor seminarium

ks. Sławomir Knopik SCJ
przełożony prowincjalny

Ks. Jakub Bieszczad SCJ, Włochy

Być świadkiem, jak Bóg prześciga się w miłości

Kto próbuje o swych wyborach mówić krótko – albo nigdy do końca o nich nie myślał, albo myślał o nich już bardzo wiele. Przekazanie jednak tego, co popycha człowieka do takiego czy innego wyboru i sprawia, że trzyma się go przez całe życie, jest skomplikowanym zadaniem, wymagającym wzięcia pod uwagę wiele faktów i zmiennych. Także i przez to, iż nie wszystko da się i można opowiedzieć przez swoją delikatną, intymną i skomplikowaną naturę przeżyć i doświadczeń, które budują osobistą relację z Bogiem. Powołanie zawsze budowane jest na doświadczeniu, spotkaniu z kimś, kto „zawrócił mi w głowie”, przeszedłszy sprawił, iż Jego obecność już nigdy nie będzie dla mnie obojętna.

Można do tego zadania podejść z zacięciem kronikarza, który nie boi się wymieniać pewnych szczególnych faktów z życia, wskazujących i niechybnie prowadzących do tego oczekiwanego wyboru, dotyczącego poświęcenia własnego

życia. Wydaje mi się, że nie czuję się w dyspozycji na rozpoczęcie gawędy, by snuć historię mego życia, dotąd jeszcze w moim odczuciu krótkiego... Chciałbym przyrzeć się raczej mojemu doświadczeniu Boga w powołaniu i na ile jest ono zbieżne z doświadczeniem Księży Najświętszego Serca, którzy tak mocno czerpią z życia i dzieła ojca Leona Jana Dehona.

Świadek i tajemnica

Najpierwsza refleksja, jaką kiedykolwiek czyniłem o swoim powołaniu, zasadza się przede wszystkim na

Powołanie zawsze budowane jest na doświadczeniu, spotkaniu z kimś, kto zawrócił mi w głowie, przeszedłszy sprawił, iż Jego obecność już nigdy nie będzie dla mnie obojętna.

dwa szczególnych doświadczeniach, których już od początku próbowałem używać jako klucza do interpretacji mojego powołania. Myślę, iż wielu podzieli ten mój sposób opowiadania, jako dosyć uniwersalny. Od początku zawsze podkreślałem, iż nie znam do końca motywów mojego wyboru, a fakt, że znajduję się u sercanów, to tak naprawdę wielka tajemnica, w której objawia się miłość Boga. Nie mam tutaj wątpliwości, że od tego zaczyna się nasze postrzeganie powołania w kontekście tej totalnej niejasności, w jakiej przeżywamy naszą miłość do Boga. Chociaż pewnie możemy stwierdzić, skąd znamy Boga, to odpowiedź na pytanie, dlaczego

okazuje się On dla nas przekonywający na tak wielu płaszczyznach, nie jest już tak oczywista.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, iż to nie ja tak naprawdę wybrałem, i nie mogę sobie w żaden sposób przypisać

zasługi za poczyniony wybór. Nie zmienia tego nawet to, iż niewątpliwie sytuacja, w której realizuję swoje powołanie, jest w wielu aspektach satysfakcjonująca dla mnie, dając wiele osobistego

Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, iż to nie ja tak naprawdę wybrałem, i nie mogę sobie w żaden sposób przypisać zasługi za poczyniony wybór.

szczęścia. Nie jest ten wybór żadnym przymusem, a mimo to trudno mi określić jednoznacznie, dlaczego go dokonałem. Oczywiście wiara przyniesie niechybnie interpretację, iż to Duch Boga, „który jest w nas sprawcą chcenia i działania zgodnie ze swoją wolą”, doprowadził mnie aż dotąd, uzdolnił do niego i mnie w nim podtrzymuje.

Oczywiście, Bóg zawsze miał swoje narzędzia, zwłaszcza innych powołanych, których przykład jednoznacznie mnie pociągnął i zachwyił. Świadomość tego świadka – ojca powołania, pozostaje niewątpliwie drugą podstawową obserwacją o powołaniu, którą robiłem od samego początku. Tych postaci było kilka. Kapłani pracujący w mojej rodzinnej parafii i z niej się wywodzący, stawali się pochodniami, które pokazywały tę szczególną drogę jako drogę możliwą, piękną i zachęcającą. Już tutaj chcę zaznaczyć, iż choć księża ci byli bardzo różni, również

pod względem jakości danego świadectwa, to Bóg dał mi łaskę, iż żaden z nich nie zdołał mnie rozczarować czy zranić swoją postawą. Dziękuję również Bogu, że pomimo różnych problemów, udało mi się zachować pragnienie realizacji tego powołania.

Pośród świadków powołania muszę wymienić szczególnie jedną osobę, która w szczególny sposób pociągnęła mnie ku życiu poświęconemu Bogu i ku Zgromadzeniu. Tym świadkiem był mój rodak, a dziś współbrat, ks. Jan Strzałka, imponujący wybitną zdolnością do dialogu i kontaktu bez względu na to, kto jest jego interlokutorem. On to przed samym moim wstąpieniem, podczas kilkudniowej wizyty w seminarium, zaraz po maturze, zabrał mnie na rozmowę na seminaryjną alejkę, podczas której w sposób wyjątkowo jasny ukazał mi, jak powinienem myśleć o powołaniu. Choć w pierwszym momencie jego logiczny wywód mnie rozbił, to bardzo szybko w miejsce osobistych projektów pojawiła się jedna, prosta, acz głęboka myśl, dzięki której miałem siłę, by podjąć ostateczną decyzję. Wobec ciągłych myśli o byciu niezdolnym, by stanąć na wysokości zadania, na modlitwie zrozumiałem, że muszę zaufać, iż skoro Bóg wzbudza we mnie takie pragnienie, zapewni mi niezbędne łaski, by wprowadzić je w życie... Pocieszającym odkryciem było również to, że ksiądz Jan przyjął swoje święcenia kilka tygodni po moim urodzeniu. Ta symboliczna i wymowna dla mnie koincydencja jeszcze bardziej utwierdzała mnie w odpowiedzi na jego świadectwo.

Poszukiwania we wspólnocie

Każdy, kto przychodzi do wspólnoty, nie jest wolny od własnych wyobrażeń, planów, oczekiwań czy schematów. W 18. roku profesji zakonnej zdaje mi się, że nigdy nie da się ich tak do końca pozbyć,

oddając się wyłącznie poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jakie stawiał sobie przez całe życie o. Dehon: *Domine, quid me vis facere?* Zawsze wierzyłem, że jeśli Bóg nas do czegoś stwarza, wówczas

Zawsze wierzyłem, że jeśli Bóg nas do czegoś stwarza, wówczas w naszym sercu wyciska niczym pieczęć pewne upodobanie do określonego stylu życia.

w naszym sercu wyciska niczym pieczęć pewne upodobanie do określonego stylu życia. Nie wierzę w powołania będące skutkiem poddania się w nierównej walce z Bogiem, który miałby próbować przekonywać kogoś, kto nie ma żadnej inklinacji, aby oddać się takiemu powołaniu. Oczywiście ktoś może mieć taką romantyczną wizję, zwłaszcza po lekturze tekstów hagiograficznych, iż życie powołanego wpisuje się w schemat heroiczny, wyrażający bardziej pobożne życzenia, aniżeli szorstki realizm każdego dnia.

Mierząc się z prawdą o wzrastaniu, można wejść w zakonną adolescencję, w której te romantyczne wizje będą się bardzo łatwo mieszać z mnożącymi się trudnościami. Nie chcę oczywiście pastwić się tutaj nad zastaną rzeczywistością, czy wręcz przeciwnie, dowodzić, iż jestem tu,

gdzie jestem, bo mamy do czynienia z idealną wspólnotą, „bez skazy i zmarszczki”. Obiektywnym faktem w tym kontekście staje się przekonanie, że powołanie dojrzewa, kiedy nie zostaje zagłuszone poprzez kryzysy i próby, a ideału należy zawsze szukać w sobie, a nie oczekiwać, iż ktoś wcześniej go za mnie wypełni. Krótki czas postulatu, nowicjat i seminarium to w duchu benedyktyńskim zawsze czas bycia doświadczanym sytuacjami, postawami i osobami, których, czasem i do dziś, ciężko mi zrozumieć.

Te poszukiwania czyniliśmy, by umieć znaleźć się w świecie, do jakiego nas Bóg posyłał. Świat ten również w tym czasie zmieniał się bardzo dynamicznie. Od śmierci Jana Pawła II w 2005 roku, kiedy i w Polsce zaszły pewne zmiany (których skutki odczuwamy do dziś, a może dziś szczególnie), historia mojego powołania jest równoległa do przemian świata od entuzjazmu rozwoju, aż na skraj III wojny światowej. Te nasze poszukiwania, odbywające się na tle dogłębnych przemian społeczno-politycznych, sprawiają, iż nasz sposób przeżywania powołania jest inny, niż u współbraci, którzy dorastali w czasach komuny i często musieli zmagać się o wszystko. Wielu z nas nie ma już takich zdolności, ale nie oznacza to, że ten nasz sposób przeżywania życia jest gorszy.

Przed wszystkim nie każdy z nas nadaje się do wszystkiego! Jesteśmy do pewnego stopnia zmuszeni do określenia w sobie tego, czym tak naprawdę będziemy mogli służyć. A choć może to być irytujące dla starszych współbraci, to zapewne młodsze pokolenia zmienią nieco oblicze

Zgromadzenia, gdyż nie będą w stanie podjąć wszystkich dotychczasowych dzieł, mimo autentycznego zaangażowania, gorliwości i miłości do tego Zgromadzenia. I choć praktycznie każde pokolenie musi wypracować własny styl i propozycję na realizację powołania, zwykle odmiennego od poprzednich pokoleń, to obecnie ta zmiana jest wyjątkowa i szczególna.

Bycie sercaninem (podobnie jak i franciszkaninem, benedyktynem, pijarem, rogacionistą etc.) to odkrycie, że choć należę do niesamowitej tradycji, to jednak ode mnie zależy, co ona będzie oznaczać

w konkretnie życia. Sercanie nie mają przewidzianego konkretnego dzieła (jak dominikanie kaznodziejstwa, trynitarze wykupu niewolników, salezianie duszpaster-

Bycie sercaninem to odkrycie, że choć należę do niesamowitej tradycji, to jednak ode mnie zależy, co ona będzie oznaczać w konkretnie życia.

stwa młodzieży czy werbiści misji *ad gentes*), tak więc koniecznie muszą aktualizować powołanie do wynagrodzenia w kontekście rzeczywistości społecznej, która najbardziej jest pozbawiona miłości. Dla młodych zakonników zawsze jest wyjątkowym wyzwaniem poczuć się współodpowiedzialnym za misję całego Zgromadzenia, stojąc pomiędzy tym, co było, a tym, co jest. I choć nie zawsze jest to takie oczywiste, myślę, że z pomocą łaski Bożej udaje się podjąć tę sztafetę łaski.

Czas formacji i dwóch parafii – w Lublinie i Binczarowej, przełożeni, formatorzy, jak ks. Jerzy Węlna,

ks. Andrzej Gruszka i ks. Zdzisław Jewiarz i wielu współbraci ze wspólnot pomagali mi odkrywać, jak najlepiej zrealizować w swoim życiu charyzmat Księża Najświętszego Serca Jezusowego. Nie każda próba w moim życiu okazała się zwycięska. W trzecim roku kapłaństwa musiałem zmierzyć się z kryzysem duchowym (w którym pomógł mi ojciec duchowny, którego właśnie w tym okresie poprosiłem o towarzyszenie), pomogły mi jednak wypracować na nowo fundamentalne mechanizmy duchowe. Całe to doświadczenie pozwoliło mi zrozumieć, iż nawrócenie to proces trwający całe życie i zawsze możemy dojść do wniosku, że jeszcze nie stoję na wysokości zaufania, jakim obdarzył mnie Bóg. To też odkrywanie, iż moje ambicje, nigdy do końca nie uśmiercone, zostaną zrealizowane nie tak, jak to sobie dotąd wyobrażałem. Powołanie to więc współlistnienie ambicji, defektów i ideałów realizowanych w tajemniczy sposób przez Bożą łaskę w moim życiu.

Każdego dnia przychodzi nam powtarzać *Ecce venio* i uczyć się, że to ciągle nie wystarczy, bo Bóg chce, abyśmy

Ideatu należy zawsze szukać w sobie, a nie oczekiwać, iż ktoś wcześniej go za mnie wypełni.

przekonywali się nieustannie do Jego Serca i rozumieli, iż nigdy nie zabraknie zasobów, by zyskać coś nowego. Kiedy jedna droga się zamyka, kilka innych znów się otwiera. Pra-

gnienie, by być godnym, winno być zawsze aktualizowane przez głębokie zaufanie Bogu, że „wystarczy mi Jego łaski,

bo moc w słabości się doskonali” (por. 2 Kor 12,9). Mimo iż często zapominałem o tej inspiracji, z którą wstępowałem do Zgromadzenia, nie wątpię, że Bóg zawsze był godny tego zaufania, jakim ja Go obdarzyłem. I zawsze za to będę Bogu dziękować.

Zaskoczony bliskością

Bycie sercaninem (podobnie jak i franciszkaninem, benedyktynem, pijarem, rogacionistą etc.) to odkrycie, że choć należę do niesamowitej tradycji, to jednak ode mnie zależy, co ona będzie oznaczać w konkretnie życia, Bóg zawsze prześciga się w swojej miłości. Nie dość, że jest wierny swoim obietnicom, jakie nam składa, kiedy nawiązujemy z Nim relację, ale jeszcze stara się nas na wszelaki sposób zaskoczyć głębią i nadmiarem swej miłości. Dlatego my, sercanie, doświadczając zawsze miłości, musimy odpowiadać, zaskoczeni i doświadczeni miłością, mamy ją przyjąć, podjąć i współpracować z tą miłością. W piątym roku kapłaństwa zostałem zaproszony do pogłębienia mojej wiedzy, wiary i doświadczenia wspólnoty Kościoła poprzez podjęcie studiów w Centrum Studiów Dehoniańskich i historii Kościoła na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Wbrew moim obawom, Boże Serce pozwoliło mi zrealizować marzenie, które zawsze miałem, by podjąć takie wyzwanie.

Nie chcę tutaj ekscytować się tym faktem, gdyż mimo radości, podjęcie studiów w Rzymie jest trudnym wyzwaniem.

niem, nieraz wymagającym przekroczenia moich osobistych braków. Raczej chcę podzielić się faktem, że dzięki niemu mogłem stać się kimś lepszym, zrozumieć bardziej kim mam się stać. Odkrywany Założyciel i sercańska tożsamość okazywały się wyjątkowo kompatybilne z moim osobistym doświadczeniem Boga, który staje się najdroższym Przyjacielem, człowiekiem najbardziej godnym zaufania. Życie ojca Dehona i konfrontowane przezeń wyzwanie w budowaniu kościelnej rzeczywistości okazywały się za każdym razem tak bardzo mi bliskie.

Nawet w mojej osobistej modlitwie Słowem Bożym staram się korzystać z Jego duchowego doświadczenia, próbując właśnie odpowiadać na objawianą Bożą Miłość i na to, jak się w niej prześciga ze swej Boskiej wielkoduszności.

Moja dawna miłość – historia – dostarcza mi dzięki studiom narzędzi, aby jeszcze lepiej odczytać istotę sercańskiego charyzmatu, który na pewno nie zamyka się ani wyczerpuje w przebrzmiałych formach duszpasterskich,

*My, sercanie, doświadczając
zawsze miłości, musimy
odpowiadać, zaskoczeni
i doświadczeni miłością,
mamy ją przyjąć, podjąć
i współpracować z tą miłością.*

choć takiej formy niewątpliwie potrzebuje. Wszystko to, co o Założycielu i naszym charyzmacie usłyszałem w formacji, mogę teraz pogłębić i zrozumieć, a nawet zaproponować dla niego własny sposób zrozumienia i realiza-

cji. Wreszcie to nie jedynie własna satysfakcja poznawania istoty powołania sercańskiego, ale ciągła możliwość dziele-

nia się tym szczególnym zaskoczeniem bliskością Boga, „kiedy Go wzywamy”. Nie brak również i goryczy, kiedy z większą świadomością odkrywasz, jak wiele spraw dotąd traktowanych jako przedmiot wiary w historii naszego instytutu jest dużo bardziej skomplikowane niż by się zdało. I również sam Założyciel staje się jeszcze bardziej człowiekiem z niezliczoną liczbą sprzeczności, które przysparzają mu wielu problemów, a nam oddalają szczęście ujrzenia go w chwale ołtarzy.

Wreszcie to pogłębione doświadczenie Założyciela i wspólnoty na poziomie międzynarodowym daje okazję do niesamowitego wzrostu duchowego i intelektualnego. Wiem, że nie jestem w stanie przyjąć cudzej kultury czy dostosować własnej do kulturowego tygła obecnego w domu generalnym, a nawet jestem gotów nie zgadzać się, iż naszą tożsamością jest po prostu wielokulturowość, jak zdaje się sugerować ostatnia kapituła generalna. Niemniej dzięki temu doświadczeniu Zgromadzenia staję się bardziej człowiekiem, porzucam uprzedzenia, uczę się współpracować pomimo różnic, otwieram się w moim konserwatyzmie. Bóg dał mi szansę odbyć prawdziwą podróż do Rzymu i tutaj dotknąć innego, bym uczynił bardziej bliźnim każdego człowieka. Niedługo, kiedy z Bożą pomocą domknę pracę nad doktoratem, będę czekał na kolejną Bożą niespodziankę, która pomoże mi znów wzrosnąć. Cudownie, iż dzieje się to w czasie Jubileuszu stulecia śmierci Założyciela i 150-lecia istnienia naszego Zgromadzenia.

Ks. Zbigniew Chwaja SCJ

Powołanie misyjne!

Obchodzony obecnie jubileusz zarówno w Kościele, jak i w naszym Zgromadzeniu, skłania niewątpliwie do refleksji i spojrzenia wstecz na minione lata, które Bóg pozwolił mi przeżyć, realizując powołanie zakonne oraz posługę kapłańską i misyjną. Dziękuję za zaproszenie do udziału w tym wspólnotowym dzieleniu się naszymi przemyśleniami, które pewnie nie będą jakoś wyjątkowo odkrywcze, ale być może pomogą nam wszystkim pochylić się na chwilę nad tym, co dla nas ważne, co powinno nas inspirować, skłaniać do jeszcze większej gorliwości.

Moje zakonne powołanie rodziło się niejako w cieniu murów stadnickiego seminarium i parafii sąsiadujących z moją rodzinną parafią w Dobczycach. Od dziecka czułem jakąś „sympatię” do tego miejsca i tych murów, które miały w sobie nutkę tajemniczości i świętości. Choć w dzieciństwie tylko na specjalne okazje przychodziłem z rodzicami do kościoła w Stadnikach, to ta fascynacja we mnie pozostała. Bóg tak kierował moim życiem, że wiele lat później mogłem oglądać te mury już od środka i do-

świadczyć osobiście tego miejsca modlitwy i skupienia. Bardzo często wracam myślami do tych lat seminaryjnych, które mnie kształtowały i w których odczytałem moje sercańskie i misyjne powołanie do realizowania życia oddanego Bożemu Sercu.

To, co dla ojca Założyciela było znaczącym rysem naszego charyzmatu, i dla mnie osobiście stało się bliskie w czasie lat formacji zakonnej, a mianowicie ten rys misyjny naszego Zgromadzenia. Misje jawiły się ojcu Dehonorowi jako olbrzymie pole, gdzie powinniśmy urzeczywistniać charyzmat Zgromadzenia. Od samego początku pragnął wysłać współbraci na misje. Ta gorliwość o naszą obecność w krajach misyjnych wynikała z głębokiego przekonania, że to jest nasz charyzmat.

Celem działalności naszego Zgromadzenia jest misja w Kościele, wyrastająca z duchowości i kontemplacji Serca Jezusowego. Tak też odczytywałem moje powołanie

Misje nie są czymś dodatkowym i ubocznym w życiu Kościoła, sprawą paru misjonarzy i misjonarek. Kościół jest ze swej istoty misyjny, ma przekazywać innym miłość i światło, których sam doświadczył.

misyjne. Tym, co otrzymałem w czasie lat formacji, starałem się dzielić z tymi, do których zostałem posłany. Kiedy zacząłem rozważać wyjazd na misje, nurtowały mnie pytania i niepewność, czy rzeczywiście jest to droga dla mnie i co mogę uczynić, aby upewnić się, czy Bóg tego właśnie ode mnie oczekuje. Dziś wiem, że ta droga była

moją i że Bóg mnie na nią kierował od lat mojej młodości. Dziś wiem, jak bardzo zostałem w moim powołaniu ubożacy, jak wiele się nauczyłem, jak wielu ludzi poznałem.

Wyjazd na misje pozwolił mi doświadczyć Kościoła w innym nieco świetle, wspólnot młodych duchem i przeżywających swoją wiarę w radosny i spontaniczny sposób. Zrozumiałem, że misje nie są czymś dodatkowym i ubocznym w życiu Kościoła, sprawą paru misjonarzy i misjonek. Kościół jest ze swej istoty misyjny, ma przekazywać innym miłość i światło, których sam doświadczył. Celem misji nie jest eksport kultury zachodniej, ani rozszerzanie Kościoła w takiej postaci, w jakiej istnieje on u nas. Właściwym celem działalności misyjnej jest przepowiadanie Ewangelii i dzielenie się Bożą miłością. Czyż nasza duchowość sercańska nie jest pięknym darem, który możemy innym ofiarować?

Działalność misyjna Kościoła jest przede wszystkim współpracą, świadectwem jedności, braterstwa, solidarności, nadającym wiarygodność zwiastunom miłości. To ogromne pole do szerzenia kultu Serca Jezusowego i do dzielenia się naszą duchowością. Czasem byłem pytany: „Jaką tak naprawdę różnicę robi Twoja obecność w życiu potrzebujących na misjach? Przecież nie mogłeś zatrzymać chorób, nie sprawiłeś, że było mniej przemocy, nie poprawiłeś bytu materialnego ludzi”. Tego rodzaju zarzuty są podnoszone ze strony ludzi wątpiących czy niewierzących. Może to wszystko prawda, ale byłem „pielgrzymem nadziei”, bo szedłem z tyłoma ludźmi w kierunku Boga. Na-

sza obecność, praca i zaangażowanie czerpią swoją moc ze znaczenia, jakie nadaje im nasze przekonanie, że wartości ewangeliczne mają sens, że to one dają siłę do trwania, że żyjemy już nie dla siebie, ale dla Tego, który nas wybrał i powołał.

Myślę, że taka też była wizja naszego Założyciela, kiedy wysyłał swych pierwszych zakonników na najtrudniejsze odcinki życia Kościoła, tam, gdzie inni iść nie chcieli, tam, gdzie potrzeby były naglące, a wysiłek i wyzwania największe. Czasami zastanawiam się, czy obecny kryzys i kurczące się szeregi osób Bogu poświęconych nie mają się stać dla nas takim właśnie znakiem, że życie zakonne swoją siłę czerpać ma przede wszystkim z Boga, na nim opierać swoje plany i Jemu w pełni oddawać stery. Czy nie powinniśmy na nowo odkrywać, że siła nie leży po stronie wielkich instytucji, bogactwa, statusu, ale przede wszystkim w sakramentalnej obecności Boga, w tym, że Jemu zawieramy, Jego sprawujemy na ołtarzu, a tym sakramentalnym darem obdzielamy wszystkich, do których nas posyła. My nie jesteśmy jedną więcej biznesową kompanią, która próbuje sprzedać swoje dobra w globalnym supermarkecie... My nie sprzedajemy sercańskiego krzyża noszonego przez nas na piersiach, ale próbujemy nadać mu znaczenie. To serce do czegoś zobowiązuje, to serce ma być żywym symbolem otwartości naszego serca.

Przypomina mi się historia starotestamentalnego Geodeona z Księgi Sędziów. Pan wybrał go i oddał mu do dyspozycji tylko trzystu wojowników, którzy chęptali wodę

w odpowiedni sposób, bo chciał go pouczyć, że siła nie tkwi w liczebnej przewadze, ale w obecności i wsparciu ze strony Boga. Pamiętam moją swoistą dumę i to, jak bardzo czułem się zbudowany przykładem naszych pierwszych współbraci, pracujących w diecezji De Aar, gdzie obecnie biskupem jest nasz współbrat, bp Adam Musiałek.

Z przejęciem czytałem historię początków ich pracy, trudności, z jakimi musieli się borykać, gdy przemierzali góry na koniach, by dotrzeć do wiosek, do których nie było dróg. Często wyjeżdżali konno w sobotę po południu, by po całej nocy dotrzeć do wiosek oddalonych ok. 100 km i tam sprawować niedzielną Eucharystię. Tak realizowali swoje powołanie nasi pierwsi współbracia ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec, którzy zakładali pierwsze wspólnoty w RPA jeszcze za życia Założyciela. Jako sercańscy misjonarze podejmowaliśmy pracę tam, gdzie nikt nie chciał pracować, przyczynialiśmy się do powstania nowych diecezji (De Aar i Aliwal North). Pamiętam, jak w początkach mojego pobytu w RPA uczestniczyłem w spotkaniu młodych księży z kilku diecezji południowej części kraju. Kiedy przedstawiłem się i opisałem, skąd przyjeżdżam, wywoływało to konsternację i pytania typu: „Co ty tam robisz?”, „Czemu nie przeniesiesz się do miasta?”, itp.

Moje powołanie misyjne wzrastało wraz z kolejnymi wyzwaniem, ale też ja zmieniłem się jako człowiek i zakonnik dzięki tym doświadczeniom. Bycie misjonarzem pomogło mi wyzwolić w sobie zdolności, których sam do końca nie byłem świadomy. Stąd wdzięczny jestem Bogu

i Zgromadzeniu, że mogłem wyjechać na misje, pracować tam, a po powrocie do polskiej prowincji nadal im służyć poprzez pracę w Sekretariacie Misji Zagranicznych. Wraz z liczną grupą naszych misyjnych darczyńców mogę przez modlitwę i ofiary wspierać misjonarzy w ich potrzebach materialnych. Tereny i prowincje niegdyś misyjne stają się dzisiaj kolumnami, na których opiera się Zgromadzenie.

To w Afryce, Azji i Ameryce Południowej Zgromadzenie wzrasta liczbowo, to tam mamy powołania, podczas gdy kraje europejskie nie wysyłają już misjonarzy, ale same potrzebują wsparcia personalnego. W historii Zgromadze-

My nie sprzedajemy sercańskiego krzyża noszonego przez nas na piersiach, ale próbujemy nadać mu znaczenie. To serce do czegoś zobowiązuje...

nia następuje przesunięcie geograficzne, ale najważniejsze, że przesłanie miłości Bożego Serca ciągle trwa i się rozszerza. To powód do wdzięczności Bogu i osobista satysfakcja każdego misjonarza, którą odczuwa, kiedy uświadamia sobie, że jego wysiłki misyjne i ziarno Słowa rzucone na różnych kontynentach przyniosło owoc. To też potwierdzenie, że ludzie współcześni, tak jak i w wiekach poprzednich, potrzebują Bożego Serca, by budować cywilizację miłości, a zakonnicy sercańscy ciągle są widocznym znakiem dzielenia się tym, co sami poznali.

Niech słowa powtarzane w akcie ofiarowania przypominają nam o naszym powołaniu, dopóki jesteśmy w ziemskiej wędrówce: „Panie Jezu, pomóż nam przeko-

nać się, że to Twoja miłość zgromadziła nas w tej wspólnocie, abyśmy przekazywali ją naszym braciom i wszystkim, których spotkamy na naszej drodze”.

Ks. Michał Ciemięga SCJ

Dlaczego zostałem i jestem sercaninem?

Na pytanie „Dlaczego zostałem sercaninem?” odpowiedź krótko: dlatego, że zostałem wybrany przez Serce Jezusa.

Jak do tego doszło? Otóż, mając niespełna 3 lata, zostałem ofiarowany Sercu Pana Jezusa przez moją mamę. Nie wiedziałem o tym, aż do pierwszego roku kapłaństwa. Ale Pan Jezus czekał na moją odpowiedź 15 lat.

Dlaczego sercanie-dehonianie, a nie inne zgromadzenie poświęcone Najświętszemu Sercu Jezusowemu? Zgromadzenie poznałem przez kolegę z liceum, który utrzymywał kontakt z sercanami. Ale dobrze wiemy, że w Bożej ekonomii nie ma przypadków. Zafascynowały mnie misje i to te najdalsze. Trafili się sercanie, mający wtenczas misje w Indonezji.

Co do charyzmatu ojca Dehona, to jest kilka elementów, które są dla mnie inspirujące:

- naśladowanie Jezusa w Jego dyspozycyjności;

- formacja duchowieństwa;
- oraz zaangażowanie społeczne, z akcentem na szerzenie Królestwa Serca Jezusowego.

Jak staram się je realizować? Usiłuję być otwartym na różne aspekty życia Zgromadzenia/Prowincji, zarówno gdy byłem na misjach (w RPA), o czym mogą zaświadczyć ówcześni przełożeni, jeszcze żyjący, jak i obecnie, pracując w kraju.

Od 9 lat głoszę rekolekcje dla księży, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Jako misjonarz krajowy i rekolekcjonista głoszę Królestwo Jezusowego Serca poprzez rekolekcje parafialne, a szczególnie poprzez misje intronizacyjne.

Ks. Józef Furczoń SCJ, Francja

Z marzeń o niebie do misji Serca

Kiedy byłem małym chłopcem, świat wydawał mi się pełen możliwości. Pamiętam, jak pasąc krowy na podhalańskich łąkach, spoglądałem w niebo, gdzie z hukiem przelatywały samoloty. W moim młodym sercu zrodziło się marzenie: chciałbym kiedyś wsiąść do takiej maszyny i polecieć daleko, by opowiadać ludziom o Jezusie, głosić Ewangelię. To pragnienie było jak iskra, która z czasem rozpalila we mnie coś większego. Pewnego dnia w naszej parafii pojawił się misjonarz. Nie pamiętam, z jakiego kraju pochodził, ale jego słowa o pracy na misjach poruszyły mnie głęboko. Opowiadał o ludziach, którzy nigdy nie słyszeli o Jezusie, o trudach i radościach misyjnego życia. To spotkanie zapaliło we mnie ogień – chciałem jechać w świat, aby dzielić się wiarą.

Bóg prowadził mnie swoją drogą. Proboszcz mojej parafii dostrzegł we mnie powołanie i zachęcał, abym wstąpił do seminarium diecezjalnego. Mówił, że tam znaję

swoje miejsce, że to dobra droga dla młodego człowieka, który chce służyć Bogu. Moja mama, widząc we mnie powołanie, zaproponowała, żebym poszedł do małego seminarium ojców bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej. Uważała, że to miejsce przesiąknięte modlitwą i tradycją będzie dla mnie odpowiednie. Ale ja, choć szanowałem ich rady, czułem w głębi serca, że to nie jest moja droga. Coś innego mnie wołało, choć jeszcze nie wiedziałem, co to takiego.

W tamtym czasie Bóg postawił na mojej drodze klero-ryka Staszka Szewczyka. Stasiu pochodził z mojej parafii, był dla mnie kimś niezwykłym. Niestety, zginął tragicznie, ale zanim to się stało, wywarł na mnie ogromny wpływ. Jako mały chłopak obserwowałem go podczas wakacji, gdy przychodził na Msze Święte. Nosił sutannę, która wydawała mi się symbolem czegoś większego, czegoś świętego. Bardzo chciałem kiedyś wyglądać tak jak on, być taki jak on. Pewnego dnia zebrałem się na odwagę i postanowiłem z nim porozmawiać. Wiedziałem, o której godzinie wychodzi z kościoła, więc czekałem na niego na przystanku. Z bijącym sercem powiedziałem: „Szczęść Boże!” i zasypałem go pytaniami – Gdzie się uczy? Kim chce być? Co robi? Stasiu opowiedział mi o księżach sercanach. Wyjaśnił, że to jest zgromadzenie misyjne i opowiedział, na czym polega ich działalność. Jego słowa zapadły mi głęboko w serce. Poczulem, że to jest to: chcę wstąpić do sercanów i wyjechać na misje. To pragnienie stało się częścią mnie i nigdy mnie nie opuściło.

W tamtych latach nie miałem pojęcia, czym są charyzmaty. Słowo to nic mi nie mówiło. Dla mnie najważniejsze było żyć w zgodzie z wiarą, służyć Jezusowi, głosić Jego naukę. Dopiero później, w postulacie i nowicjacie, zacząłem odkrywać, co oznacza charyzmat Zgromadzenia. Na początku wydawał mi się czymś abstrakcyjnym, trudnym do uchwycenia. Nie rozumiałem, dlaczego tak wiele się o tym mówi. Z czasem jednak Bóg stawiał na mojej drodze ludzi, którzy pomagali mi to wszystko poukładać.

Ksiądz prowincjał, widząc moje pragnienie, zgodził się, abym wyjechał na misje. Miałem jechać do Afryki, to było moje wielkie marzenie. Ale Opatrzność miała inne plany. Zamiast w Afryce, znalazłem się we Francji, gdzie czekały na mnie zupełnie nowe wyzwania.

Początkowo charyzmat sercanów był dla mnie trudny do zrozumienia. Niektórzy francuscy księża „robotnicy” z mojego Zgromadzenia ukazywali charyzmat ojca Dehona, który według mnie był przesiąknięty ideologią, co do mnie nie przemawiało. Czułem, że to nie moja droga.

Na szczęście spotkałem ludzi, którzy tym charyzmatem żyli autentycznie na co dzień. Jednym z nich był ojciec Dominik, człowiek pełen dobroci i ciepła. Mówił o ojcu Dehonie z ogromnym szacunkiem, jakby ten założyciel był dla niego kimś bliskim. Drugą ważną postacią był ksiądz Yves Ledure, profesor na Instytucie Katolickim w Paryżu. On z pasją promował dzieło ojca Dehona, pisał o nim książki, zabiegał o jego beatyfikację. Pamiętam, jak kiedyś pojechaliśmy razem do Saint-Quentin. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił,

było pójście do kościoła, gdzie znajdował się zaniedbany sarkofag ojca Dehona. Ze wzruszeniem go oczyścił i złożył na nim kwiaty. To mnie poruszyło – zobaczyłem, jak głęboko można kochać Założyciela i jego misję.

Z czasem więc odkryłem, że charyzmat ojca Dehona jest żywy i aktualny: wyraża się w duchowości Serca Jezuo-

Nie miałem pojęcia, czym są charyzmaty. Słowo to nic mi nie mówiło. Dla mnie najważniejsze było żyć w zgodzie z wiarą, służyć Jezusowi, głosić Jego naukę.

owego. Moja praca we Francji skupiła się na duszpasterstwie młodzieży. Założyłem Ruch Sercańskiej Młodzieży (Jeunes Dehoniens), który w znacznym stopniu pomógł mi samemu pogłębić duchowość i charyzmat księży ser-

canów. Na spotkania sercańskie przychodziło wielu młodych ludzi. Myślę, że przez 15 lat mojej pracy ponad tysiąc młodych osób miało okazję poznać tę duchowość. Niektórzy z nich odkryli powołanie kapłańskie, co było dla mnie ogromną radością. To pokazało mi, jak bardzo dzieło ojca Dehona jest potrzebne, jak bardzo trafia do serc ludzi.

Druga część mojej posługi miała bardziej społeczny wymiar. We Francji spotykałem wielu ludzi poranionych – z trudnymi historiami, problemami rodzinnymi, doświadczeniem przemocy, brakiem ojca czy nadopiekuńczą matką. Te rany sprawiały, że ich życie było pełne bólu. Wraz z doktor Martą Liburą, która wtedy pracowała we Francji, założyliśmy fundację „Pomost”. Naszym celem

była pomoc bezdomnym z Polski i krajów wschodnich. Wspieraliśmy ich w załatwianiu formalności, pomagaliśmy odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Szybko jednak zobaczyłem, że to nie wystarczy. Ci ludzie potrzebowali czegoś więcej niż dachu nad głową czy pracy – potrzebowali uzdrowienia serca.

Zacząłem szukać rozwiązania i wtedy usłyszałem o programie „Strumienie Życia”. To był program dla osób, które noszą w sobie rany z dzieciństwa – odrzucenie, przemoc, brak miłości. Sam przeszedłem ten program i doświadczyłem, jak bardzo prawda może wyzwalać. Zrozumiałem, że udawanie pobożności, chowanie się za pobożnością bez uczciwego spojrzenia na siebie, prowadzi donikąd. Zacząłem kierować ludzi do „Strumieni Życia”. Widziałem, jak wielu z nich odzyskuje siły, jak ich życie się zmienia. Kiedy wróciłem do Polski, dzięki wsparciu przełożonych wprowadziłem ten program w kilku diecezjach. Spotkał się z dużym zainteresowaniem, bo ludzie szukali czegoś, co pomoże im poradzić sobie z bólem, którego sama pobożność nie może uleczyć.

Dziś widzę, że największa bieda nie dotyczy braku pieniędzy. Największym problemem są rany duchowe i emocjonalne, które ludzie noszą w sercach. Charyzmat ojca Dehona – otwartość na drugiego człowieka, gotowość do pomocy – jest odpowiedzią na te wyzwania. Jako sercane mamy misję, by wspierać poranionych, prowadzić ich do Serca Jezusowego. Dziękuję Bogu za ojca Dehona, za Zgromadzenie, za ludzi, których spotkałem na swojej dro-

dze. To dzięki nim – od kleryka Staszka Szewczyka, przez ojca Dominika, po księdza Yves Ledure, a także życzliwych mi przełożonych – mogłem realizować moje powołanie. Dzięki nim mogłem pomagać innym, prowadzić ich do wiary i uzdrowienia. To droga, która wciąż trwa, i za nią jestem wdzięczny każdego dnia.

Ks. Józef Gawęł SCJ

Być sercaninem, to brzmi dumnie!

Pragnę wyrazić moją wielką wdzięczność założycielowi naszego Zgromadzenia, o. Leonowi Janowi Dehonowi, za to, że był i jest mi ojcem duchowym mojego życia chrześcijańskiego, zakonnego i kapłańskiego. Od początku mojego życia był mi drogowskazem i przykładem gorliwej służby Bożemu Sercu. To była największa łaska w moim życiu. Jestem wdzięczny za tę łaskę, za Jego życie i charyzmat. To dzięki Niemu mogłem głębiej przeżywać najważniejszą prawdę naszej wiary: „Bóg jest miłością” (1 J 4,8); „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał” (J 3,16); „Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam” (1 J 4,16).

Tę prawdę mogłem lepiej rozumieć i przeżywać, patrząc na Serce Jezusa, które ukazał nasz Założyciel, i dzięki temu żyć ze świadomością, że Bóg mnie kocha. Przez pryzmat tego Serca patrzę na osobę Chrystusa i staram się trwać w zjednoczeniu i przyjaźni z Jego Sercem. W ten

sposób starałem się realizować naukę zawartą w *Regule życia*: „Jako uczniowie ojca Dehona pragniemy ze zjednoczenia z Chrystusem w jego miłości ku Ojcu i ludziom uczynić zasadę i centrum naszego życia” (nr 17). To zjednoczenie z Bożym Sercem pozwala mi odpowiadać miłością na Jego miłość. Na tę miłość starałem się odpowiadać każdego dnia przez ofiarowywanie wszystkiego Bożemu Sercu. Wrażałem to także przez codzienną adorację Najświętszego Sakramentu.

Ta świadomość niepojętej miłości Bożego Serca, świadomość, że jestem tak bardzo ukochany, pomagała mi pokonywać wszystkie trudności napotykanne na drodze mojego

Świadomość niepojętej miłości Bożego Serca, świadomość, że jestem tak bardzo ukochany, pomagała mi pokonywać wszystkie trudności napotykanne na drodze mojego życia.

go życia. Powtarzałem często: „W Tobie, o Serce Jezusa, złożyłem swą nadzieję i nie będę zawiedziony na wieki”. Nauka i przykład ojca Dehona pomagała mi żyć słowami św. Jana Apostoła: „Myśmy poznali i uwierzyli miłości,

jaką Bóg ma ku nam” (1 J 4,16) czy słowami św. Pawła Apostoła: „Wiem, komu zawierzyłem, i pewien jestem” (2 Tm 1,12). Ta postawa ufności była w sposób szczególnie praktykowana przez Założyciela. Jego nauka i przykład były dla mnie siłą i umocnieniem w spotykanych różnych trudnościach, by zaufać Bożemu Sercu i pokonywać je oraz wiernie realizować swoje powołanie. Jego ostatnie słowa wypowiedziane na łożu śmierci: „Dla niego żyję

i dla niego umieram”, dobitnie o tym świadczą. Pragnę, aby to były także moje ostatnie słowa.

Być sercaninem to brzmi dumnie! Chciałbym te słowa przekazać zwłaszcza młodszym współpracownikom, aby codziennie przeżywali piękno naszego powołania i starali się je wiernie realizować. Powołanie sercańskie to coś najpiękniejszego, co mnie spotkało w moim życiu. Niech tak będzie w życiu każdego z nas.

Ks. Piotr Gębara SCJ, Finlandia

Zostałem sercaninem, bo Bóg tak chciał

To, że zostałem sercaninem, to chyba suma wielu czynników. W naszej rodzinie, jak tylko pamiętam, zawsze była bardzo mocna pobożność Serca Jezusa. W takim skrócie mogę powiedzieć, że właściwie wszystko, co się łączyło z Kościołem, wiara, zawsze w tle było Serce Jezusa. Żywy jest do tej pory w naszej rodzinie wyszyty obraz Serca Jezusa z napisem „Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami!”, który zrobiła nasza mama, gdy miała około 10 lat. Obraz przedstawia tylko Serce Jezusa w koronie cierniowej i płomień wychodzący z Serca, bez twarzy czy postaci Jezusa. To zawsze przemawiało do nas wszystkich trochę inaczej niż zwykły obraz. Wszyscy z nas praktykowali pierwsze piątki i wszystko, co się z tym łączyło, a więc spowiedź i Komunia Święta. Pamiętam, jak hucznie zawsze się świętowało uroczystość Serca Jezusa. Choć miałem już wcześniej kontakt z księżmi sercanami, bodajże od ósmej klasy szkoły podstawowej, kiedy ks. Kuliński prowadził rekolekcje pa-

rafialne, to nie myślałem o życiu zakonnym i kapłańskim u sercanów. Miałem plany bardzo dalekosiężne i ambitne zostać leśniczym i założyć wielodzietną rodzinę, itp. Jednak Pan Bóg miał inne plany wobec mnie. Kiedy już zdałem maturę i pojechałem do Krakowa z papierami składając egzamin na Akademię Rolniczą na wydział leśny, wtedy nasze Zgromadzenie obchodziło jubileusz 100-lecia założenia i 50-lecie obecności pierwszych polskich sercanów w Płaszowie.

Kiedy podjechałem na Saską, jeden z naszych księży wpierw spytał: „Co dalej po maturze?” Odpowiedziałem, że idę na Akademię zdawać egzamin. Wtedy on się uśmiechnął, popatrzył na mnie i powiedział: „Nie rób jeszcze tego, przyjdź do nas, bo masz powołanie na księdza. Jesteś wystarczająco szalony, aby być zakonnikiem i pracować z młodzieżą”. Ja

Dziękuję Sercu Jezusa, że tak słabego człowieka dalej podtrzymuje i prowadzi po tak pięknej drodze i w takim towarzystwie.

też się uśmiechnąłem i coś we mnie drgnęło. Nie poszedłem na uczelnię, ale pojechałem do rodzinnego miasta, Chorzowa, i prawie przez trzy tygodnie codziennie chodziłem na poranną Mszę Świętą i potem zostawałem na parę godzin na adoracji Najświętszego Sakramentu. Pytałem się wprost Jezusa: Co mam robić? Co mam wybrać? I za każdym razem, kiedy znalazłem argument za tym, że nie mogę być księdzem, znajdował się kontrargument, dlaczego nie możesz spróbować. I tak po ciężkiej walce du-

chowej się poddałem: dlaczego nie spróbować? Kiedy już formalności zostały dopełnione, papiery wypełnione, w lipcu zawieziono nas do Pliszczyna, do postulatu i nowicjatu. I tak się zaczęła ciekawa przygoda z doświadczania „dlaczego nie spróbować?”. I do tej pory z dumą zawsze po imieniu albo nazwisku dodaję „SCJ”.

Zostałem sercaninem, bo Bóg tak chciał. Za to Mu dziękuję, że mnie wybrał i dalej podtrzymuje w tym wyborze. Jestem już 47 lat zakonnikiem i 39 lat kapłanem. Małe burze były, ale nigdy nie wątpiłem, że to jest moja droga życia, że to był Jego wybór, a nie mój. Im więcej nad tym myślę, tym bardziej dziękuję Sercu Jezusa, że tak słabego człowieka dalej podtrzymuje i prowadzi po tak pięknej drodze i w takim towarzystwie. Mam na myśli setki naszych wspomniałych współbraci, którzy się nie oszczędzają w głoszeniu chwały Serca Jezusa wszędzie i nieustannie. Jestem wdzięczny za każdego z naszych współbraci, niezależnie od pozycji i osiągnięć. Wierzę głęboko, że to sam Mistrz, Serce Jezusa, jest z nami zawsze. Chciałbym z całego serca wołać: *Vivat Cor Jesu + Per Cor Mariae!!!*

Ks. Jarosław Grzegorzyc SCJ, Albania

W cieniu... i w świetle...

Można powiedzieć, że miałem szczęście wzrastać w cieniu sercanów. Od kiedy zaczyna się moje świadome „pamiętanie”, to od tego momentu zaczyna się moje wzrastanie w cieniu sercanów.

To oni kształtowali moje pojęcie księdza, jego pracy, życia, humoru, ofiarności, wrażliwości, patriotyzmu. Wywodzę się z blokowiska, gdzie rodzice pracowali, a ja z kluczem w kieszeni szukałem... Szukałem kogoś, kto by mnie wysłuchał, ale też szukałem, by słuchać: opowieści o życiu, Polsce, misjach i pewnie także o ojcu Dehonie.

Pamiętam, jak ówczesni księża wypowiadali się o nim z wielkim szacunkiem, swoistą miłością i fascynacją, która była jednak bardzo pokorna; brak było wtedy książek, publikacji. Dla nich więź z ojcem Dehonom to przede wszystkim było wspomnienie o tym, że w Stadnikach żyje/żył ks. Władysław Majka, i że był on świadkiem śmierci ojca Dehona.

Pewnie wtedy przeczytałem czy usłyszałem o miłości Boga do człowieka, która jest nieporównywalna nawet do

tego, „gdyby człowiek z miłości do mrówek stał się mrówką” (ojciec Majka).

To było ciekawe, gdy usłyszałem o księdzu, który wiele lat temu we Francji zajmował się robotnikami i poruszał sprawy społeczne. To było niezwykle, nawet gdy brakowało większej wiedzy, bo wtedy zaczęły się zmiany w Polsce, a z nimi bezrobocie, niesprawiedliwość, kapitalizm, który często nazywano właśnie dziewiętnastowiecznym.

Sercanie! To było życie, które kojarzyło się z przygodą, różnorodnością. Księża wyjeżdżający na misje do Zairu, Południowej Afryki, Mołdawii – to rozszerzało horyzonty i pociągało.

Gdy przyszedł moment wyboru i odczytania woli Bożej, wtedy przyjaźń, znajomość, kazałyby udać się do pijarów. Ale właśnie ten rozmach, ta szerokość perspek-

Życiem sercańskim nigdy nie byłem zawiedziony! Zawsze dość szybko domy zakonne stawały się moim domem.

tyw ojca Dehona i sercanów, zadecydowały, że w lipcu 1995 roku znalazłem się w nowicjacie w Stopnicy.

Życiem sercańskim nigdy nie byłem zawiedziony!

Zawsze dość szybko domy zakonne stawały się moim domem. „Jadę do domu...”, „U nas w domu...” – jak często te słowa powodowały rozdwojenie u mojej mamy. Bo z jednej strony cieszyła się, że tak szybko znalazłem dom, a z drugiej pewnie żał jej było „opuszczenia” domu przez syna.

Pan Bóg i Zgromadzenie dały mi niesamowite możliwości. Nigdy w życiu bym nie przypuszczał, że moje pasje historyczne, kulturoznawcze znajdą takie spełnienie, właśnie będąc księdzem – sercaninem.

Będąc sercaninem, mogłem pokochać Kraków z jego sekretami i tajemnicami, poczuć Rzym, Włochy i stać się „śródziemnomorskim Polakiem”. Żyłem w Warszawie z jej pędem życia i mitem powstania warszawskiego, ale miałem też błogosławiony czas odnaleźć się wśród dobrych ludzi w Pliszczynie i Stadnikach.

Poznałem sercanów z Europy i świata. Uczyłem się duszpasterstwa od dobrych proboszczów i duszpasterzy. Często wspominam zmarłych współbraci, jak kogoś zmarłego z mojej rodziny. Choć nie chciałem i pewnie nie miałem do tego ani wiedzy, ani kompetencji, to często musiałem mówić o ojcu Dehonie i o tym, kim są sercanie.

Zawsze, we wszystkich niedomaganiach, zaniedbaniach, przypominała się trochę jak wyrzut sumienia, a czasem jako zachęta, by zacząć nowy dzień, piosenka o naszym Założycielu. Piosenka ze słowami, które są modlitwą, osobistą modlitwą o jego beatyfikację i zawsze ważnym testamentem:

*Za Twoim wzorem, za Twoim wezwaniem,
W miłości się spalić w tę jedną ofiarę,
O pomóż nam, Ojcze, kochać, tak jak Ty!*

Ks. Łukasz Grzejda SCJ, Chile

Jestem sercaninem, to jest zapisane w moim sercu

*Radością jest dla mnie, mój Boże, pełnić Twoją wolę,
a Prawo Twoje mieszka w moim sercu
(Psalm 40,9).*

Od dzieciństwa miałem styczność ze Zgromadzeniem Księży Najświętszego Serca Jezusowego, ponieważ pochodzię z parafii, w której żyją i posługują sercanie. Dzięki zaangażowaniu duszpasterzy, uczestniczyłem w różnych formach poznawania oraz ukochania Pana Boga. Była to katecheza szkolna, formacja w Liturgicznej Służbie Ołtarza oraz Odnowie w Duchu Świętym. Z pomocą sercanów odkryłem, że Pan Bóg jest miłością. Szczególnie doznawałem miłosierdzia Bożego przez dyspozycyjność księży w sakramencie pojednania. Później zaczęło się kierownictwo duchowe. Pod koniec szkoły średniej uczestniczyłem w spotkaniu dla maturzystów, które odbywało się w seminarium sercanów w Stadnikach. Tam udało mi się jeszcze bliżej poznać osobę

ojca Leona Dehona oraz misję Zgromadzenia Zakonnego, które założył. Wtedy zrozumiałem jeszcze bardziej, że moje życie nabiera większego sensu w perspektywie współpracy z łaską wiary. Pan Bóg poprzez wydarzenia mojego życia dał mi do zrozumienia, że warto wybrać ten konkretny, sercański sposób życia. Skoro dostałem trochę talentów, to po to, by się nimi dzielić z innymi. Jeśli przetrwałem sporo trudnych życiowych doświadczeń i z nich powstałem, by iść dalej, to w tym celu, by o tym świadczyć. Mimo że sercańskie powołanie wymaga niemałego poświęcenia, odważyłem się zaryzykować, aby być blisko z Jezusem.

Więcej o naszym Założycielu dowiedziałem się już w czasie formacji. Szczególnie w nowicjacie oraz w czasie pielgrzymki przygotowującej nasz rocznik do złożenia ślubów wieczystych. Odwiedziliśmy wtedy m.in. Paray-le-Monial, Paryż, La Capelle, Saint-Quentin oraz Brukselę. W tym czasie miałem okazję przekonać się o świętości oso-

Jeśli przetrwałem sporo trudnych życiowych doświadczeń i z nich powstałem, by iść dalej, to w tym celu, by o tym świadczyć.

by ojca Dehona. Zachwycała mnie w nim zarówno jego determinacja, jak i głęboka pokora. Pasjonujące było zrozumieć to, że będąc uprzywilejowanym w społeczeństwie, nie odsunął się od ludzi z marginesu. A także to, że potrafił w krótkim czasie zdiagnozować braki w życiu mieszkańców Saint-Quentin i od razu przejść do ich uzupełniania. Ten wzór duszpasterza, wychowawcy i misjonarza cały

czas noszę w sercu i staram się rozwijać na miarę moich możliwości.

Kolejne cechy charyzmatu, które staram się czerpać od ojca Leona Dehona, to umiejętność słuchania, okazywanie życzliwości innym, troska o sprawowanie sakramentów świętych, umiłowanie prawdy, akceptacja wszystkiego, co niewygodne w życiu. Dzięki tym wartościom, mogę cieszyć się od wielu lat dużym entuzjazmem z powodu udanych lat posługi na parafiach, we wspólnotach formacyjnych czy w posłudze na misjach. Nie odczytałem w swoim życiu żadnego wezwania do rozpoczęcia jakiegoś charakterystycznego dzieła, jednak zawsze z przekonaniem angażowałem się w moje zadania, tak aby przynosiły lepszy rezultat niż dotychczas. Robiłem to raczej ze świadomością, że nie o sam efekt chodzi, ale o uświęcenie człowieka. I jak na razie widzę, że to działa.

Byłem i będę sercaninem, bo to jest zapisane w moim sercu. Tak jak mówi Psalm 40., Bóg codziennie się odśladania w moim życiu przez różne drobne rzeczy, abym uświadamiał sobie, jak bardzo Mu na mnie zależy. A także to, że zależy Mu na innych. Ale żeby współpraca między nami (Bóg-ja-inni) mogła iskrzyć, potrzeba ciągłej uważności, cierpliwości i zaangażowania bez zawahania. Bogu chwała!

Ks. Krzysztof Grzelak SCJ, RPA

Życie charyzmatem ojca Założyciela: aspekt misyjny

Odpowiedź na wezwanie

Moją refleksję pragnę zawęzić do aspektu misyjnego naszego sercańskiego charyzmatu i duchowości, przekazanego Zgromadzeniu przez założyciela, ojca Leona Dehona, i ich wpływie na moją osobistą historię. Po latach spędzonych u sercanów mogę powiedzieć, że Zgromadzenie z jego misyjnością stało się dla mnie duchową przestrzenią, wokół której rozciąga się życie i bogaty świat. W Zgromadzeniu czuję się najbardziej u siebie. Kiedyś jeszcze zastanawiałem się, czy to moje miejsce; teraz mogę już potwierdzić, że tak. Szczególnie wtedy, gdy widzę dobre rzeczy dziejące się w naszej zakonnej rodzinie – one mnie cieszą, pociągają i inspirują.

Od wielu lat jestem misjonarzem w Republice Południowej Afryki (RPA). Czytając różne teksty ojca Dehona, zawsze miałem wrażenie, że aspekt misyjny był dla niego

ważny. To troska o misje, obecna w sercańskim charyzmacie i duchowości, wyeksponowana przez Założyciela, pokierowała mną do RPA. Patrząc retrospekcyjnie, pragnienie wyjazdu na misje było jednym z motywów mojego wstąpienia do sercanów, do misyjnego seminarium w Stadnikach. Jako diakon złożyłem podanie na wyjazd do Konga, zamiast tego Opatrzność pokierowała mną do Afryki południowej.

Misyjne pragnienie Założyciela

Jak wspomniałem, dla ojca Dehona polecenie Jezusa, aby iść na krańce świata i głosić dobrą nowinę, było ważne.

*W Zgromadzeniu czuję się
najbardziej u siebie.*

Od samych początków Zgromadzenia ojciec Założyciel czuł się zobowiązany do podjęcia dzieł misyjnych w kra-

jach odległych, aby wypełnić powyższy nakaz głoszenia Ewangelii światu. Wiem, że w 1887 roku otrzymał ofertę misji w Nowej Gwinei, która w tym czasie była kolonią niemiecką i potrzebni byli niemieccy misjonarze. Niestety, w tamtym czasie jedynymi Niemcami w Zgromadzeniu byli klerycy.

W 1888 roku do ojca Dehona skierowano kolejną propozycję pracy misyjnej w Ekwadorze. Tym razem ojciec Grison został pierwszym posłanym sercańskim misjonarzem, do którego kilka lat później dołączyli br. Lux (wyświęcony na księdza w Kolumbii w 1895 roku)

i br. Gerdpacher. Jednak z powodu rewolucji w Ekwadorze w 1896 roku misjonarze zostali wypędzeni, a misja upadła. Niemniej, był to początek sercańskiego dzieła *ad gentes*.

Pierwszą udaną i dobrze prosperującą misją było Kongo. W 1897 roku księża Lux i Grison opuścili Antwerpię i przybyli do Konga, wyruszając w głąb kraju, gdzie w głębokiej dżungli zbudowali prostą glinianą chatę. Pierwszy z nich nie pozostał długo w Kongo, ze względów zdrowotnych powrócił do Francji. Ojciec Grison natomiast spędził resztę swojego długiego życia na wspomnianej misji. Później, po przeciwnej stronie zbudowano wielki kompleks misyjny św. Gabriela. Na starość, już jako biskup, o. Grison wyświęcił pierwszego afrykańskiego księdza.

Południowoafrykańska przygoda

Z czasem rozszerzenie sercańskich misji na inne kraje afrykańskie, w tym na RPA, stało się koniecznością. „Przygoda” sercanów w RPA rozpoczęła się 28 listopada 1923 roku wraz z przybyciem do Aliwal North (Eastern Cape) pierwszych sercańskich misjonarzy z Niemiec. Dwadzieścia pięć lat później dołączyli do nich sercanscy misjonarze z USA. Sercanie posługiwali w dwóch różnych regionach: Aliwal i De Aar. Z czasem ich praca misyjna zaowocowała ustanowieniem dwóch diecezji o tych samych nazwach.

Sercanie zaangażowali się głównie w ewangelizację, pracę parafialną, edukację (prowadząc katolickie szkoły podstawowe i zawodowe), opiekę zdrowotną (budując i administrując szpitale prowadzone przez świecki personel medyczny), także kształcąc lokalne duchowieństwo w pierwszym wyższym seminarium katolickim. Z czasem, ze względu na zmiany społeczno-polityczne, charakter ich posługi uległ zmianie, koncentrując się bardziej na pracy duszpasterskiej, projektach socjalnych i formacji afrykańskich kandydatów do życia zakonnego i kapłaństwa. W 1995 roku oba regiony zostały połączone w jedną sercańską prowincję.

Polski wkład

W miarę upływu lat niedobór misjonarzy stawał się wyzwaniem, stąd pod koniec lat osiemdziesiątych przybyli do RPA pierwsi sercanie z Polski: księża Adam Musiałek i Marian Szalwa do pracy w regionie De Aar. Przyjazd kolejnych księży, Mchała Ciemięgi i Zdzisława Kościelnego, a trochę później Marka Przybysia, Andrzeja Małka i Piotra Surdela, wzmocnił personel w drugim regionie – Aliwal. Utworzenie w latach dziewięćdziesiątych wspomnianej południowoafrykańskiej prowincji sercańskiej nie byłoby możliwe bez tego cennego wkładu polskiej prowincji sercanów, która cieszyła się wtedy powołaniami. Stąd dalsze przyjazdy kolejnych księży Krzysztofa Grzelaka i Zbignie-

wa Chwaji (1995 rok), Wojciecha Woźniaka (1996 rok), Adama Masłowskiego (1998), a kilka lat później Zbigniewa Bojara. Ostatni przybyły polski sercanin to ks. Kazimierz Gabryel (2010 rok). W ten sposób do nowo utworzonego podmiotu polska prowincja ofiarowała dwunastu księży, którzy nadali jej nowy kształt, przede wszystkim wzmacniając jej międzynarodowy charakter, zapewniając administracyjne przewożenie prowincji, angażując się w powstałe projekty socjalne, powołaniowe i formacyjne. W chwili obecnej (2025 rok) w RPA pracuje sześciu Polaków (w tym biskup De Aar).

„My, Zgromadzenie”

Mój bardziej osobisty rys wiąże się z pracą formacyjną, naukowo-dydaktyczną i administracyjną. W 2001 roku południowoafrykańska prowincja zainspirowana aksjomatem „My, Zgromadzenie” rozpoczęła bliską współpracę z innymi sercańskimi podmiotami w Afryce i na Madagaskarze, co zaowocowało otwarciem międzynarodowego domu formacyjnego w Pietermaritzburgu (wschodnia część kraju), którego celem była i nadal jest nie tylko formacja nowych pokoleń afrykańskich sercanów z kontynentu, ale również możliwość studiów filozoficzno-teologicznych, przygotowujących do kapłaństwa, a także studiów specjalistycznych. Nasi młodzi bracia mieszkają razem w sercańskim domu for-

macyjnym, studiują natomiast w katolickim instytucie teologicznym św. Józefa w Cedara (Pietermaritzburg). Ten sercański projekt działa już od ponad dwudziestu lat, oferując Zgromadzeniu i Kościołowi w Afryce zastępy wykształconych sercanów.

Mój udział w realizowaniu sercańskiej misji w RPA wiąże się z prawie dwudziestoletnią pracą dydaktyczno-naukową w wymienionym instytucie. Myślę, że formacja młodego pokolenia w afrykańskich domach zakonnych jest absolutnie konieczna, ale również ważne jest jakościowo dobre wykształcenie i przygotowanie do pracy apostołskiej w Kościele lokalnym. Prawdą jest, że głównym celem ojca Dehona było zawsze apostołstwo, bycie z ludźmi (szczególnie z ubogimi i potrzebującymi), a jego apostołat czerpał siłę z kontemplacji Bożego Serca. Jednak formacja intelektualna zawsze powinna pozostać priorytetem w Zgromadzeniu, szczególnie, by podołać wyzwaniom współczesności i potrzebom Kościoła. Stąd bierze się moje wieloletnie zaangażowanie na misjach w edukację nie tylko sercanów, ale również świeckich, sióstr zakonnych i kleryków z innych zakonnych zgromadzeń.

Dziękując za wkład ojca
Założyciela w dzieło misyjne

Wydaje mi się, że świętowanie setnej rocznicy śmierci Założyciela ma na celu przemyślenie na nowo naszej

sercańskiej tożsamości, zaangażowania w Kościele i nowe dzieła misyjne. Jak rozumiem, ten rok poświęcony naszemu Założycielowi powinien być okazją do wzmocnienia sercańskiej tożsamości, do odnowy osobistego doświadczenia wiary we wspólnocie zakonnej i kościelnej, praktykowania rad ewangelicznych i odnowy misyjnego ducha. Innymi słowy, naszej sercańskiej drogi życia. Wydaje się, że powinno się to dokonać przez powrót do pierwotnego zamysłu ojca Dehona, kiedy inicjował Zgromadzenie.

W tym szczególnym roku nasz Założyciel stawia przed nami wyzwanie, aby nie tylko mówić o Bożym Sercu, ale to Serce ukazywać sobą, tj. ukazywać ludziom Bożą miłość. Zaangażowani w różne dzieła sercanie są posłani przez Boże Serce i Zgromadzenie do świata. Przez posługę (sakramentalną, apostołską, społeczną) powinni prowadzić ludzi do Boga i w ten sposób budować między nimi Bożą rzeczywistość (Chrystusowe królestwo). Dlatego tak ważna jest odnowa naszej bliskości z Bożym Sercem. Jak rozumiem, osobista bliskość i jedność z Jezusem (będąca mistycznym wymiarem sercańskiego charyzmatu) była zawsze wielkim pragnieniem ojca Dehona. Innymi słowy, nasz Założyciel modlił się, aby jego duchowi synowie stale oddawali się życiu kontemplacji, modlitwy, medytacji, czytaniu Słowa Bożego, Eucharystii i przedłużającej ją – adoracji.

Bez znaczenia czy to w Afryce, czy gdzie indziej, zawsze powinno nam zależeć na rzeczach najważniejszych, które konstytuują naszą tożsamość, by były one na moż-

liwie najwyższym poziomie; by tym, co łączy sercanów w świecie pozostała wierność charyzmatowi, życie zdrową duchowością i teologią, wierność Ewangelii i sakramentom, celebrowanie liturgii, żywy kontakt z Bożym Sercem i patrzenie w przyszłość z nadzieją.

Ks. Adam Gucwa SCJ

Od pierwszych piątków do duchowości Serca Jezusowego

Pochodzę z małej miejscowości Śnietnica w diecezji tarnowskiej, z parafii pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli. Jestem kapłanem od 22 lat, w życiu zakonnym od 28 lat.

Na fakt, że wybrałem Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego, miało wpływ wiele wydarzeń i osób, które Bóg postawił na mojej drodze. Przede wszystkim to Jezus tak chciał. To On miał takie plany względem mnie. Także patron mojej parafii, św. Andrzej Bobola. Ksiądz proboszcz mojej parafii zaszczepił w nas, parafianach duchowość św. Andrzeja Boboli, a szczególnie jego kult do Najświętszego Serca Pana Jezusa. Dlatego jestem do dzisiaj wielkim czcicielem św. Andrzeja Boboli. To Jego prosiłem na modlitwie o rozeznanie planów na przyszłość. Następnie wielki wpływ na życie duchowością i pielęgnowanie kultu Bożego Serca wywarł swoim świadectwem mój proboszcz. Choć moja parafia rodzinna nie jest prowadzona przez księży sercanów, to proboszcz bardzo dużo mówił i zachęcał do praktykowania pierwszych piątków miesiąca.

Miłości do Bożego Serca uczyła mnie moja ukochana babcia, która przypomiwała, ale sama co miesiąc praktyko-

Mogę śmiało powiedzieć, że praktykowanie kultu Bożego Serca z okresu dzieciństwa i młodości znalazło naturalne dopełnienie i rozwój w duchowości ojca Założyciela, którego centrum stanowi miłość Najświętszego Serca Pana Jezusa.

wała pierwsze piątki. Stąd i ja jako dzieciak, potem nastolatek, ministrant i lektor prawie co miesiąc uczestniczyłem w nabożeństwach pierwszopiątkowych.

Na to, że jestem u księży sercanów, wielki wpływ mieli sercańscy duszpasterze z Florynki. Niegdyś moja parafia należała do tego samego de-

kanatu, co parafia Florynka prowadzona przez księży sercanów. Dzięki temu księża sercanie przyjeżdżali na odpust do mojej parafii. Przyjęli mnie bardzo serdecznie, kiedy pojechałem na spotkanie z nimi (już wtedy miałem plany wstąpienia do księży sercanów). Otrzymałem różne ulotki, informację o tym Zgromadzeniu, także informacje o ojcu Założycielu.

I tak zaczęła się moja droga kapłana, sercanina, w Zgromadzeniu księży sercanów. Jako duszpasterz staram się, jak potrafię, żyć duchem sercańskim, ale i przekazać go innym, jako duszpasterz dzieci, młodzieży i dorosłych. Czyniłem to szczególnie wtedy, kiedy byłem opiekunem Arcybractwa Straży Honorowej Najświętszego Serca Pana Jezusa w Lublinie, Ruchu Sercańskiej Młodzieży w Bełchatowie, ale i obecnie w parafii w Ostrow-

cu Świętokrzyskim, gdzie działa Sercańska Wspólnota Świeckich. Przy różnych okazjach, czy to w szkole, na parafii, pielgrzymkach, czy na czuwaniach z młodzieżą sercańską i inną, podczas Sercańskich Dni Młodych i przy innych okazjach, daję świadectwo o założycielu Zgromadzenia Księży Sercanów.

Szczególną okazją do modlitwy w intencji powołań kapłańskich i zakonnych są urodziny czy rocznica śmierci ojca Założyciela. Oczywiście, wszystko jest ukierunkowane na pielęgnowanie kultu Najświętszego Serca Pana Jezusa. I nadal staram się zachęcać parafian, szczególnie dzieci i młodzież, do praktykowania kultu Bożego Serca i stawiam im za wzór naszego Założyciela. Poza tym mam okazję głosić konferencje w ramach dni skupienia dla księży w dekanacie, dla sióstr zakonnych i ojców duchownych z całej diecezji, poświęcone duchowości Serca Pana Jezusa i naszemu Założycielowi, o tym, jak w praktyce żył on ideą miłości i wynagrodzenia Bożemu Sercu.

Co mnie zainspirowało w osobie ojca Założyciela? Choć nie mam jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, to jednak mogę śmiało powiedzieć, że praktykowanie kultu Bożego Serca z okresu dzieciństwa i młodości znalazło naturalne dopełnienie i rozwój w duchowości ojca Założyciela, której centrum stanowi miłość Najświętszego Serca Pana Jezusa. Dlatego też nieprzypadkowo jako temat pracy magisterskiej w seminarium wybrałem: „Miłość i wynagrodzenie Najświętszemu Sercu Jezusa w duchowości sługi Bożego ojca Leona Jana Dehona”.

Ks. Stanisław Hałas SCJ

Odkrywanie Miłości na kartach Pisma Świętego

W naszym sercańskim charyzmacie najpiękniejszy jest ideał szlachetnej miłości, której wymownym symbolem jest serce. Chodzi zarówno o boski ideał, jak i postawę ludzi, którzy winni się inspirować miłością Jezusa. Te treści były zawsze dla mnie najważniejsze w przeżywaniu powołania. Pięknie napisał papież Franciszek w swojej ostatniej encyklice *Dilexit nos*, mówiąc, że serce jest „symbolem najbardziej osobistej intymności, uczuć, emocji, zdolności do kochania” (n. 53). Bardzo trafna jest również jego diagnoza współczesnej kultury. „Rozpowszechnione są w niej wzorce zachowań, które przyznają przesadne znaczenie sferze racjonalno-technicznej lub – przeciwnie – sferze instynktów. Brakuje *natomiast* serca” (n. 9). W tej konstatacji widzę najgłębszy sens naszej misji we współczesnym świecie.

Sercański charyzmat staram się realizować w osobistej postawie wobec innych ludzi, a także zainteresowaniach

naukowych dotyczących miłości i miłosierdzia w nauczaniu Pisma Świętego. Chodzi przede wszystkim o bogate słownictwo biblijne, dotyczące tego zagadnienia, któremu poświęciłem najważniejsze moje opracowanie naukowe pt. *Biblijne słownictwo miłości i miłosierdzia na zderzeniu kultur. Określenia hebrajskie i ich greckie odpowiedniki* (Kraków 2011). Poświęciłem mu także opracowania popularnonaukowe, np. *Miłosier-*

dzie w Piśmie Świętym (Kraków 2016, s. 128) oraz wiele artykułów naukowych. Tematyki miłości dotyczyło także wiele wykładów monograficznych wygłoszonych na Uniwersytecie Papieskim w Krakowie, a także wypromowane przeze mnie dwie rozprawy doktorskie i wiele prac magisterskich.

W swoich badaniach naukowych przekonałem się, jak ważny jest motyw miłości i ściśle z nim powiązane zagadnienia miłosierdzia w nauczaniu Pisma Świętego, mimo, że tak mało mówi ono o sercu Boga czy też Chrystusa. Jest to bowiem kwestia innej symboliki serca w kulturze biblijnej, podobnie jak i dzisiejszych kulturach, np. afrykańskich. Analizowanie i rozważanie Pisma Świętego pod kątem nauczania o miłości jest bardzo ubogające i pozwala lepiej zrozumieć sens wielu biblijnych tekstów.

*W naszym sercańskim
charyzmacie najpiękniejszy
jest ideał szlachetnej miłości,
której wymownym symbolem
jest serce.*

Ks. Zdzisław Kościelny SCJ, RPA

Miłość Chrystusa większa od apartheidu

Charyzmat naszego Założyciela jest piękny i bogaty, bo jest zakorzeniony w Sercu Bożym. Serce Jezusa zawsze kojarzy się z miłością i to mnie fascynuje, zwłaszcza sposób, w jaki nasz ojciec Założyciel przeżywał miłość Serca Zbawiciela. To on jest inspiracją dla mnie do przeżywania naszej sercańskiej duchowości. To, że trafiłem do Zgromadzenia o takiej duchowości, to chyba nie przypadek. Przecież nasz Pan Jezus posługuje się swoimi sługami, w tym przypadku kapłanem sercaninem, który głosił rekolekcje w mojej rodzinnej parafii. I tak oto rozpoczęła się moja przygoda poznawania osoby ojca Założyciela.

To, co mnie pociąga u ojca Dehona, to sposób, w jaki on dostrzegał drugiego człowieka, zwłaszcza biednego, odrzucanego przez społeczeństwo. Afryka to miejsce, gdzie człowiek biedny jest wszędzie. Nawet RPA, która jest odbierana jako kraj w miarę dostatni, ma ogromną liczbę ludzi potrzebujących pomocy.

Pierwsze wrażenia po przybyciu do RPA były dla mnie zaskakujące. Choć już formalnie się kończył, ale wciąż jeszcze obecny był w relacjach społecznych apartheid, czyli rasizm, który dzielił ludzi na różne kategorie: białych, kolorowych (mulatów) i czarnych. Jedynie biali byli tak naprawdę grupą uprzywilejowaną; pozostali stanowili drugą i trzecią kategorię ludzi i siłę roboczą do wykonywania różnych usług, chociaż tak naprawdę byli większością w RPA. Ta ogromna dysproporcja kłóciła się z całym przesłaniem Ewangelii o stworzeniu każdego człowieka na obraz Boży i moją wrażliwością jako zakonnika i księdza. Ponieważ byłem białym i nowoprzybyłym, biali Burowie postrzegali mnie jako jednego z nich, czarni natomiast podchodzili do mnie z rezerwą.

Odrzucenie segregacji było dla mnie imperatywem. Na przykład: na znak sprzeciwu podróżowałem w tym samym misyjnym samochodzie z czarnym Afrykańczykiem obok mnie, co było całkowicie przeciwne istniejącemu

prawu. Nie wszędzie mogłem pokazać, że nie akceptuję ra-

sizmu. Przykładem niech będzie mój wyjazd na spotkanie do Kapsztadu. Był czas apartheidu, 1990 rok. Wszyscy byliśmy sercanami, ale w tym trzech białych i jeden czarny. Zatrzymaliśmy się na posiłek. Weszliśmy do restauracji i od razu dostrzegliśmy konsternację wśród tych, którzy tam przebywali. Usiedliśmy przy stoliku. Po pewnej chwili

*Osobowość ojca Założyciela
ukazuje, że była formowana
na wzór Serca Jezusowego.*

przyszedł do nas biały właściciel i zaczął zwracać się do nas w języku afrikaans w obraźliwy sposób. Musieliśmy opuścić to miejsce. Nie chciano nas obsłużyć, bo był wśród nas czarny.

Po 30 latach, gdy nie ma już oficjalnie segregacji rasowej, można zauważyć, że ludzie wciąż spoglądają na siebie przez pryzmat koloru skóry. Rasistowskiego traktowania drugiego człowieka w taki sposób, jak niegdyś, już się nie spotyka. Niemniej jednak, zdarzają się sytuacje, które pokazują, że nie wszyscy zaakceptowali zniesienie apartheidu. Czasami w rozmowach niektórzy biali odstawiają swoje wnętrza, jakie są ich myśli, co się kryje w ich sercach.

Ojciec Dehon oczekiwał od swoich synów duchowych (zakonników), aby byli prorokami miłości i sługami pojednania. W 1900 roku napisał do ówczesnego ekonomy, ks. Falleura, który był raczej surowy, niemiły: „Bądź dobry dla każdego człowieka. Nie bądź surowy. Kiedy jesteś surowy, krzywdzisz Zgromadzenie”. Osobowość ojca Założyciela ukazuje, że była formowana na wzór Serca Jezusowego. Dlatego, będąc sercaninem, pragnę zgłębiać duchowość sercańską i świadczyć o miłości Chrystusa na afrykańskim kontynencie.

Ks. Marian Kowalczyk SCJ

Amor et reparatio

Aby mówić o charyzmacie, trzeba zacząć od historii powołania. Gdy byłem chłopcem w podhalańskiej wsi Toporzysko, uczęszczałem do kościoła w Jordanowie, odległym o 5 km. W kościele oprócz wystroju wrażenie wywierał na mnie śpiew, muzyka organowa. Tamtejszy organista pochwalił się, że w tamtych czasach, czyli latach 60., był jedynym, który ukończył Konserwatorium Muzyczne w Krakowie. Podobał mi się śpiew kapłanów, choć go nie rozumiałem, bo był po łacinie. W tajemnicy przed wszystkimi, przed rodzicami też, ukrywałem swoje upodobanie do kapłaństwa. Bariery tajemnicy rozwiązał sam Pan Bóg, gdy matka zapytała mnie, czy nie chcę pójść do seminarium; coś po swojemu czuła, ale ja nie dawałem odpowiedzi. Mój kolega z ławy szkolnej, Eugeniusz Hopciaś poszedł do małego seminarium w Krakowie, a ja poszedłem do zasadniczej szkoły zawodowej, bo nie wiedziałem, co zrobić. Wtedy „wypatrzył” mnie brat starszego księdza Franciszka Bednarczyka z Toporzyska, Wawrzyniec Bednarczyk. On zapytał mnie wprost,

czy chcę pójść do seminarium i zaproponował mi, bym z nim pojechał do Krakowa. Zawiózł mnie do sercanów, gdzie wcześniej był już Eugeniusz Hopciaś. Pierwszym księdzem, którego spotkałem, był ks. Roman Kubina. Wziął ode mnie adres i w odpowiednim czasie ówczesny prowincjał, ks. Stanisław Sidelko powiadomił mnie, kiedy będzie egzamin wstępny. Tak trafiłem do sercanów.

O charyzmacie ojca Dehona dowiadywałem się sukcesywnie już w małym seminarium w Mszanie Dolnej na

*Powołuje Bóg, a powołany ma
dwie możliwości: pójść albo
zdezercerować.*

Lachówce, potem w nowicjacie w Pliszczynie, a wreszcie na studiach w Tarnowie, gdzie mieszkaliśmy przy ul. Rogoyskiego 16. Codzienne

modlitwy, rozważanie *Dyrektorium* i *Konstytucji SCJ* uświadamiały mnie o charyzmacie o. Dehona. Wypełnianie reguły zakonnej, modlitwy, nauka (przygotowanie do matury) stawały się z dnia na dzień realizacją charyzmatu Założyciela. Po maturze (w 1966 roku) rozpoczęły się studia w wyższym seminarium w Stadnikach, w tym samym duchu, z większym zaangażowaniem. Doszły inne zajęcia, jak utrzymanie porządku w seminarium, wyjazdy na prace w parafiach, w miarę możliwości pomaganie ludziom będącym w potrzebie.

Po przyjęciu święceń kapłańskich przełożeni skierowali mnie do pracy duszpasterskiej na parafiach prowadzonych przez nasze Zgromadzenie. Staralem się swoją pracę wy-

pełniać możliwie jak najlepiej, kierując się duchem miłości i wynagrodzenia.

Na pytanie: „Jakie konkretne dzieło lub zaangażowanie jest owocem mojego osobistego odczytania realizacji tego powołania?” odpowiedź stanowi: *amor et reparatio*. Moje kapłaństwo przebiegało w większości w czasach, kiedy brak było niemal wszystkiego, a budowane były kościoły i domy zakonne. Wspomniana nauka w szkole zawodowej mogła wydawać się czasem straconym, a jednak okazała się przydatna w miejscach, gdzie Boża Opatrzność mnie postawiła, i to bardzo przydatna.

„Dlaczego zostałem i jestem sercaninem?” Odpowiedź wydaje mi się prosta – zostałem powołany. Powołuje Bóg, a powołany ma dwie możliwości: pójść albo zdezerterować.

Ks. Michał Koźbiat SCJ

Na kolanach, przed Eucharystycznym Sercem

1.

Najczystsze Światło i Królu wszechświata,
Gdzie ziemskie siły przy Tobie są pyłem,
Dziś czekasz na mnie w białym, kruchym Chlebie,
Dajesz się cały.

Wschodzące Słońce, Światłości najczystsza,
Tyś mnie ukochał ponad Boskie życie,
Z mojej przyczyny strąciłeś do piekła,
Zastępy aniołów.

Drogocenna Perło, klęcząca w Ogrójcu,
Biorąca kielich – zgodę na Swą mękę,
Która wykupi moją nędzną duszę,
Z objęć ciemności.

Boże mój drogi, po co Ci to wszystko?
Przecież me serce zaślepione grzechem,
Nie czuje wcale Twej miłości do mnie,
Okazuje wzgardę.

Mój dobry Panie, powiedz co mam czynić,
Bo duch ochoczy, ale ciało słabe,
Jestem mizernym wynagrodzicielem,
Nie umiem kochać.

Nauucz mnie, Chryste, koić Twe cierpienie,
W końcu stworzyłeś mnie na Swój obraz,
Chcę być dla Ciebie rosą łagodzącą,
Mój Zbawicielu.

Nauucz mnie kochać, zaradz niedowiarstwu,
Twe Serce dla mnie krwawi nieustannie,
Pęka codziennie na stole ołtarza,
Choć źle wybieram.

Uzdrow me oczy, ulecz moje serce,
Oczyść mój język i otwórz me pięści,
Obmyj mą duszę, by w końcu przyłgnęła,
Do Twego Serca.

Dzięki Ci składam, nieśmiertelny Boże,
Żeś mnie zawezwał do Twego Kapłaństwa,

Że mnie wyrwałeś z szamba mych słabości,
I egoizmu.

Widziałeś wszystko, com robił, *mój Boże*,
Przed Tobą przecież nic się nie ukryje.
Milczałeś jednak, udzielając łaski,
W Swym Miłosierdziu.

Prawdo odwieczna, pokorny Baranku,
Wyrzyłeś mnie gwoźdźmi na Swym świętym Ciele,
Dałeś się smagać ciężkimi biczami,
Z miłości do mnie.

Cicha Cichości o Sercu pokornym,
Gdy w swojej pysze wieniec Ci zakładam
Z cierni i trzcinę wkładam w Twoją rękę,
Ty nic nie mówisz.

Panie mój, Jezu, wierny Przyjacielu,
Mimo to nie pytasz wcale „po com przyszedł”,
Ufasz mi ciągle, mnożąc co dzień łaski,
Wbrew rozsądkowi.

Miłosierny Jezu, Szczęście niepojęte,
Tyś mi na krzyżu otworzył Twe Serce,
Chcesz, bym tam składał trudy i radości
Swojego życia.

Skarbie ukryty w roli mego serca,
Jedyny warty mojego zachodu,
Oddajesz dzisiaj w me niegodne dłonie,
Wszystko, czym Jesteś.

2.

Jezu Najwyższy i Wieczny Kapłanie,
Spójrz na biedę księży Twego Serca,
Którzy wezwani Twoim pewnym głosem,
Poszli za Tobą.

Jedni z wahaniem, inni bez mrugnięcia,
Czując, że dłużej nie chcesz, aby zwlekać,
Wszystkich przywiodłeś tą samą Miłością,
Do Swego Serca.

Mimo że jesteś wszechmogącym Bogiem,
Który do życia pobudza Swym Słowem,
My oddajemy miejsce w naszych sercach,
Śmierci zwątpienia.

Czy my Ci jeszcze, mój Mistrzu, wierzymy,
Że nas podniesiesz z tego czarnowidztwa?
Że nas uwolnisz z pustych, ładnych słówek,
Nic nie znaczących?

Jezu Najmilszy, jak wytrwać przy Tobie?
Nie widzisz tego, że nam nie pomagasz?
To Ty stworzyłeś piękno tego świata,
Jak to zostawić?

A my dziwimy się jak przedszkolaki,
Że nie ma w Polsce nowych Dehonianów,
Którzy dla Ciebie pozostawią wszystko,
I odnajdą szczęście.

Lecz to nie koniec naszych zmartwień, Panie,
Bo nawet Twój kochani synowie,
Nie chcą już dalej pełnić Twojej woli,
Odchodząc od niej.

Jezu, jacy z nas są mierni chrześcijanie,
Których na co dzień trawi malkontenctwo,
Przymnóż nam wiary! Podnieś z tego dołu!
Chcemy Ci ufać.

Królu wszechświata, cóż masz za rycerzy?
Oni przed laty zostawili wszystko,
Lecz dziś, gdy pierwsza, może druga trudność,
Wracają do świata...

Panie, Jezu Chryste, czemu nie powołasz,
Młodych i wiernych, z silnym charakterem,

I z czystym sercem, co wytrwa przy Tobie,
W godzinie próby?

Jak to możliwe, że wolisz grzesznika,
Który wśród samych swoich wad się kaja?
Przecież przez niego ryzykujesz wszystko!
Co robisz, Panie?!

Jezu Najdroższy, widzisz moje braki,
Proszę Cię przecież dniami, czasem w nocy...
Po coś mnie tu chciał? Po coś przyprowadził?
Odpowiedz Boże!

3.

Jezu mój dobry, zobacz, jak ja wątpię...
Codziennie biję rekordy prostactwa,
Lecz Ty mnie pragniesz uparcie przemieniać,
Na oczach wszystkich.

Jesteś mym wszystkim, nie wstydę się Ciebie,
Jednak do Ciebie wciąż jest mi daleko...
A Ty mnie kochasz, grzesznika kruchego,
Nie wiedzieć czemu.

Jesteś mym życiem, Skarbem przeogromnym,
Bez Ciebie jestem jak stągiew bez wody,

Napełnij proszę me naczynie Sobą,
Nie zwlekaj Boże!

Dzięki Ci, Jezu, za Twą Miłość wielką,
Za Twą obronę mego powołania,
Którego chciałeś dla Siebie i braci,
By z Tobą żyli.

Ks. Bartłomiej Król SCJ

Każdego dnia na nowo...

Powołanie i jego świadomość wzrastały we mnie i zmieniała się z biegiem lat. Pan niczym najlepszy pedagog i wychowawca w odpowiednim czasie objawiał mi nowe elementy tego, czym jest charyzmat sercański, stawiał na drodze odpowiednie osoby, które świadectwem ukazywały, jak być sercaninem.

Z perspektywy lat widzę, jak Pan Jezus już w rodzinnym domu przygotowywał mnie do realizowania sercańskiego powołania. Rodzice swoją postawą dawali przykład i uczyli mnie ofiarności w pracy, dostrzegania potrzeb drugiego i pomagania mu. Ich postawa prowadziła mnie, bym umiał rezygnować z tego, co moje na rzecz bliźniego. Nasz dom był też zawsze otwarty. Każdy mógł przyjść, a rodzice dbali, by ten, kto przychodzi, został odpowiednio przyjęty i ugoszczony.

Powołanie do życia zakonnego i kapłaństwa było dla mnie trudną łaską, niepokojem, lękiem przed nieznanym. Dopiero wypowiedzenie na głos mojego wnętrza przed ks. Kazimierzem Dadejem SCJ przyniosło mi pokój

i pewność podjętej decyzji. To właśnie ks. Kazimierz, mój współbrat i przyjaciel, odegrał ważną rolę w odkrywaniu sercańskości. On towarzyszył mi w czasie moich młodościowych rozterek, a jego postawa cierpliwości, wyrozumiałości, otwartości i bycia zawsze dyspozycyjnym dla drugiego mocno ukształtowała moje pierwsze sercańskie ideały.

Dziś po 25 latach życia zakonnego bycie sercaninem, to dla mnie nie wielkie akcje i zrywy, ale to szukanie i peł-

Bycie sercaninem to przede wszystkim trwanie na adoracji przed Eucharystycznym Sercem Jezusa i ciągłe próby, by ten najcenniejszy skarb dawać innym.

nienie woli Bożej w zwykłej codzienności, małych obowiązkach, tych najprostszych. To próba uszanowania i przyjęcia każdego człowieka oraz wrażliwość na potrzeby jego serca, by tam zakrólowało

Serce Jezusa. To w końcu gotowość, by pójść tam, gdzie w duchu wiary zostaną posłany, wierząc, że jest to wolą Boskiego Serca Jezusa. To próba oddania całego serca w misję mojej wspólnoty.

Bycie sercaninem to przede wszystkim trwanie na adoracji przed Eucharystycznym Sercem Jezusa i ciągłe próby, by ten najcenniejszy skarb dawać innym.

Zostałem sercaninem i nadal nim jestem, bo wierzę i wiem, że zostałem umiłowany miłością odwieczną i nadal, każdego dnia, na tę miłość staram się odpowiadać.

Ks. Jacek Kubica SCJ, Szwajcaria

Wspaniała przygoda z Sercem Pana Jezusa

Co mnie pociąga i inspiruje w charyzmacie ojca Dehona?

„Oto idę, abym pełnił Twoją wolę, Boże” (Hbr 10,9), „Oto ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie według Słowa Twego” (Łk 1,38), „Przyjdź królestwo Twoje” (Mt 6,10).

Przede wszystkim otwarcie ojca Dehona na Boga, na Jego wolę, Jego ogromne zaufanie Bożemu Sercu i Jego otwartość i odczytywanie znaków czasu.

Nasz Założyciel nie liczył pieniędzy, nie patrzył, ilu ma współpraci do dyspozycji, ale całkowicie zaufał Bożemu Sercu. „Idźcie na cały świat i głoscie słowem i czynem miłość Serca Jezusowego”. On rozumiał, co znaczy: „miłość nie jest kochana”. Już za jego życia wysyłał misjonarzy w bliskie i odległe kraje świata, by głosili miłość Bożego Serca i przybywało powołań, a Zgromadzenie sercanów w szybkim tempie powiększało liczbę współpraci i liczbę krajów, w których byliśmy obecni.

Znakiem czasu było głoszenie miłości Boga, zaangażowanie się na rzecz najuboższych i dzieła socjalne. O tym też dużo pisał i cierpiał z powodu niesprawiedliwości społecznej, jaka istniała w świecie, i chciał jej zaradzić. To jest bardzo piękny charyzmat.

W centrum sercańskiego życia umieścił wspaniały skarb Chrystusa: Eucharystię, adorację Najświętszego Sakramentu. Z tego czerpał siłę i natchnienie do następnych dzieł.

Wszystko, co czynił, całe Jego dzieło i jak żył, wszystko to było dla chwały Boga, dla chwały Bożego Serca.

Ponadto jego posłuszeństwo, poddanie się woli Bożej, bo przecież nie wszystko mu się udawało. Napotykał przeciwności ze strony biskupów, kapłanów...

Jedną z innych cech Jego charyzmatu to Jego ogromna skromność, pokora i ubóstwo. To i dzisiaj widać na zdjęciach ukazujących ojca Założyciela jako kapłana skromnego i ubogiego. Wiemy, co mówili i pisali o nim inni, i jak byli zachwyceni jego postawą.

W jaki sposób realizuję ten charyzmat w swoim życiu zakonnym i kapłańskim?

Przede wszystkim staram się być otwarty na Bożą wolę. Boże Serce mnie prowadzi i staram się głosić słowem i czynem „miłość Bożego Serca”.

Moje pierwsze misje to była Jugosławia. Decyzję o wyjeździe do Jugosławii podjąłem spontanicznie. Nasi misjonarze przyjeżdżający do naszego seminarium zachwycali

mnie swoją pracą misyjną, bo wstępując do Zgromadzenia, nie miałem takich planów, takich myśli o jakichś misjach, o wyjeździe z Polski. Już w seminarium prowadziłem korespondencję z młodzieżą z ZSSR i udało mi się zarazić do tej działalności sporą liczbę współbraci, kleryków.

Potem w wielu parafiach, w których pracowałem, wprowadzałem pierwsze piątki miesiąca z adoracją Najświętszego Sakramentu, gdyż w wielu parafiach nie były one praktykowane. Po kilku miesiącach pobytu na parafii w Zagrzebiu, usłyszałem od młodzieży, że moje kazania znamionuje słowo „serce”. Nawet o tym nie myślałem, a ludzie to zauważyli.

W moim posługiwaniu Eucharystia jest w centrum mojego życia, przede wszystkim Msza Święta. Z żalem muszę przyznać, że nie zawsze znajduję czas na adorację, choć zawsze oprócz Mszy Świętej spędzam kilka chwil w kościele na modlitwie. Jak już wspomniałem, wprowadzałem na parafiach pierwsze piątki miesiąca, poświęcone Bożemu Sercu, po Mszy Świętej jest wtedy adoracja Najświętszego Sakramentu. Obecnie mam dwie parafie i w obydwu kościołach praktykujemy pierwsze piątki miesiąca z Mszą Świętą i adoracją Najświętszego Sakramentu. W pierwsze piątki odprawiam też zawsze Mszę Świętą wynagradzającą. Wynagrodzenie Bożemu Sercu za grzechy, ludzką obojętność i niewdzięczność ma w moim życiu ogromne znaczenie.

Jeszcze w latach 90., pod wpływem ks. Bernarda Kułińskiego, założyłem wśród młodzieży wspólnotę wy-

grodzicieli Bożemu Sercu za grzechy ludzi, ludzką niewdzięczność i obojętność wobec Jego wielkiej miłości. Potem rozpowszechniałem tę ideę wynagrodzenia w Austrii i w Szwajcarii, a przed Bożym Narodzeniem 2024 roku znowu rozpropagowałem tę ideę w moich parafiach i wśród znajomych Szwajcarów. Idea ta polega na tym, aby jeden dzień w miesiącu (np. 7. czy 24. dzień związany z dniem swoich urodzin...) przeżyć w duchu

*Ojciec Dehon w centrum
sercańskiego życia umieścić
wspaniały skarb Chrystusa:
Eucharystię.*

wynagrodzenia: jeśli to możliwe, wziąć udział we Mszy Świętej (nie w każdej parafii jest codziennie Msza Święta), więcej się pomodlić w tym dniu, podjąć jakieś umartwie-

nie, wyrzeczenie, czy dobre dzieła, uczynki miłości bliźniego. Po prostu, starać się przeżyć ten dzień święcie. Codziennie kilka osób wynagradza Panu Jezusowi za grzechy swoje i innych, a ja włączam te osoby do Mszy Świętej wynagradzającej w pierwsze piątki miesiąca i w wielkie święta: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Staram się również zaradzać ludzkiej biedzie. W parafii mamy socjalną pomoc dla potrzebujących, przede wszystkim w znalezieniu pracy, mieszkania, pomoc finansową, opiekę nad starszymi ludźmi, itp.

Napiszę tylko o dwóch dziełach z wielu. Gdy mieszkałem jeszcze w Olsztynie i byłem katechetą w liceum wojskowym w latach 1991-1992, przyszedł mi do głowy

pewien pomysł, aby zorganizować przed Bożym Narodzeniem dzień pod hasłem „Dar serca”. Udałem się do miejscowego radia w Olsztynie i przedstawiłem dyrektorowi radia mój pomysł, prosząc, aby go ogłosili na antenie. Zgodził się, ale powiedział, abym sam zapowiedział przez radio tę akcję kilka dni wcześniej i zrobił reklamę dla tego dnia dobroci. I tak też było. W dniu „Daru serca” wysłałem uczniów ze skarbonkami na miasto i zbierałi fundusze na dobry cel dla domów dziecka (w Olsztynie były trzy albo i cztery takie domy), domów pomocy społecznej i miejsc, gdzie można było pomóc. Młodzież przez cały dzień zebrała kilka tysięcy złotych. Ponadto zgłaszali się inni, przedsiębiorcy, którzy ofiarowali nowe buty dla dzieci, odzież, środki higieniczne, oraz osoby, które chciały przekazać pieniądze przelewem. Potem przekazaliśmy te zebrane pieniądze i rzeczy bezpośrednio do tych domów. Dyrekcja domów była bardzo wdzięczna. Rozgłośnia radia w Olsztynie dała mi później przez kilka dni czas na antenie, bo było sporo telefonów z podziękowaniem za tę akcję i chcieli, abym ja sam z tymi ludźmi rozmawiał i im podziękował. Nigdy o tej akcji „Daru Serca” nie mówiłem, ani nie pisałem, teraz to robię. O tej akcji wiedział tylko ks. Kuliński i może jeszcze pamięta ks. Jerzy Wilk, który wtedy był w Olsztynie.

Inna z większych akcji to pomoc dla Ukrainy kiedy wybuchła wojna. Zorganizowałem w Bösinggen, gdzie mieszkałem i pracowałem, grupę osób w wieku 40 lat i przedstawiłem im mój pomysł pomocy dla Ukrainy.

Wspaniali ludzie, od razu postanowili pomóc. Potrzebowaliśmy magazynu, gdzie moglibyśmy gromadzić zbierane rzeczy. Poszedłem więc do burmistrza gminy, któremu bardzo spodobał się pomysł pomocy potrzebującym i dał nam pomieszczenia w bunkrze ochronnym. Takie bunkry są w każdej miejscowości, gdzie na wypadek wojny lub innego kataklizmu ludzie mogą się schronić. Napisaliśmy ogłoszenie do gazetki parafialnej i do innych gazet, porozwieszaliśmy plakaty i tak przez 2 miesiące dwa dni w tygodniu, zbieraliśmy różne potrzebne rzeczy, które ludzie i inne instytucje nam przekazywały: koce, środki higieniczne, nowe ubrania, żywność o długim terminie przydatności do spożycia. Ludzie z darami przyjeżdżali z innych miejscowości. Duże sklepy, takie jak Coop i Aldi pozwoliły nam na ich terenie zbierać różne potrzebne artykuły. Mieliliśmy samochód dostawczy. Wolontariusze stali przed sklepami z plakatem, że zbieramy pomoc dla Ukrainy, a klienci sklepów kupowali dodatkowe artykuły, które nam przekazywali. Potem te dary zawoziliśmy do magazynu wynajętego przez ambasadę Ukrainy w Bernie. W sumie była to jedna z największych akcji charytatywnych w całym niemieckojęzycznym Frybourgu. Zebraliśmy dary za ponad 40 000 franków. Nigdy też o tym nie mówiłem ani nie pisałem, ale jako świadectwo dla innych dziele się tą informacją. Można z niczego coś zrobić. Wystarczy dobry pomysł, chęci i parę osób, które pomogą. To tylko dwie z największych akcji, a staram się ciągle zarządzać ludzkiej biedzie i niedoli.

W czasie pandemii codziennie odprawiałem Mszę Świętą (mimo pustego kościoła) i dawałem ludziom okazję do spowiedzi, do rozmowy, pisałem dalej kazania, drukowałem i zostawiałem w kościele, by ludzie mogli sobie zabrać, gdy przychodzili się pomodlić.

Zainspirowany filmikiem w internecie, który pokazywał włoskiego księdza, chodzącego ulicami miasteczka i błogosławiącego ludzi Najświętszym Sakramentem w monstrancji, postanowiłem

zrobić to samo w mojej parafii. W ogłoszeniach napisałem, że po Mszy Świętej w niedzielę (oczywiście w pu-

Jestem sercaninem, bo spotkałem wspaniałych sercanów.

stym kościele bez wiernych), będę chodził ulicami w centrum naszej parafii i błogosławił domy i mieszkańców naszej parafii Najświętszym Sakramentem w monstrancji, a jeśli ktoś mieszka dalej od centrum lub na obrzeżach parafii, a chce, żebym pobłogosławił jego dom i rodzinę, to też przyjadę. Gdy zbliżała się niedziela, narastał we mnie niepokój, jak to będzie przyjęte przez ludzi. Jednak przełamałem opór: jeśli już ogłosiłem, to muszę to teraz zrobić. Po Mszy Świętej ubrałem sutannę, komżę i stułę, wziąłem monstrancję z Panem Jezusem i wybraliśmy się na niedzielną przechadzkę, by błogosławić domy i parafian, by Bóg nas zachował w swej opiece i ustrzegł przed wirusem i jego skutkami. Ludzie, których spotykałem na ulicy, przystawali i prosili o błogosławieństwo. Przejżdżające samochody zwalniały lub zatrzymywały się i podróżni

prosil o błogosławieństwo. Błogosławiłem wszystkich, których spotykałem. Z niedzieli na niedzielę było coraz więcej ludzi w oknach i na balkonach, a wieczorem otrzymywałem e-maile z podziękowaniem za piękną akcję i za błogosławieństwo, i to od wielu obcych ludzi, którzy akurat podróżowali samochodami, na motorach lub rowerach. Byłem chyba jedynym księdzem w Szwajcarii, który podjął się takiej akcji.

Ponadto zorganizowałem grupę ludzi, którzy zmuszeni do przestoju w pracy (np. pracownicy w hotelach, restauracjach), a którzy zaangażowali się w akcję socjalną: robienie zakupów dla ludzi starszych i chorych, zakupy lekarstw, wożenie chorych, starszych czy potrzebujących do lekarza. Był to czas wzmożonej pracy i wielkiego błogosławieństwa dla mojej parafii.

Jakie konkretne dzieło lub zaangażowanie jest owocem mojego osobistego odczytania i realizacji tego powołania?

Moje konkretne zaangażowanie to duszpasterstwo. Skończyłem studia doktoranckie, ale pracy doktorskiej nie napisałem. Chciałem być duszpasterzem, misjonarzem. Chciałem żyć dla ludzi, a ludzie potrzebują kapłanów. Prawie przez całe życie – bo już jestem w wieku emerytalnym – katechizowałem dzieci i młodzież. Sprawowanie Mszy Świętej, sakramentu pojednania, okazja na rozmowy, udzielanie sakramentów chrztu i chorych, pogrzeby... – tym wszystkim służyłem Bogu i ludziom. Gdy znajdowałem czas, odwiedzałem moich parafian. Każdemu

duszpasterzowi polecam odwiedzanie parafian i rozmowy z nimi i to nie tylko z okazji kolędy. To przynosi nawet tutaj w Szwajcarii owoce i ludzie to bardzo cenią, gdy ksiądz żyje dla nich, żyje dla ludzi.

Kiedys opuściłem ojczysty kraj, gdyż było dużo powołań i postanowiłem służyć ludziom w innych krajach, gdzie brakuje kapłanów. Zaraz po święceniach wyjechałem do ówczesnej Jugosławii, do Zagrzebia: pociąg, dwie walizki i plecak, brak znajomości obcych języków, ogromny zapal i wdzięczność, że ówczesni przełożeni obdarzyli mnie tak wielkim zaufaniem. Pan Bóg tak mnie prowadził, że szybko znajdowałem przyjaciół, łatwo nawiązywałem kontakty z młodymi ludźmi, z księżmi... Tak to się wszystko wspaniale układało, że jeszcze dzisiaj nie mogę się temu wszystkiemu nadziwić. Kontakt z rektorem kościoła akademickiego i moja pomoc w spowiedzi studentów sprawiły, że mogłem spotkać w tym kościele wspaniałą młodzież, która potem związała się z nami. Po prostu, od początku mojego powołania, a przede wszystkim kapłaństwa przeżywam wspaniałą przygodę z Panem Jezusem. Przeżyłem też różne potyczki, trudne sytuacje, ale zawsze wychodziłem z nich umocniony i Pan Jezus pokazywał mi nowe rozwiązania i nowe drogi. Moje życie to jedna wielka przygoda z Panem Jezusem i wszystko chyba musiało tak być, jak było i jest, bo wszędzie tam, gdzie byłem posłany, musiałem po prostu być, by głosić Ewangelię, by głosić miłość Bożego Serca. Wszystkim moim współbraciom życzę takiej wielkiej przygody z Sercem Pana Jezusa.

Jaka jest moja odpowiedź na podstawowe pytanie: dlaczego zostałem i wciąż jestem sercaninem?

Pewnie, jak wielu współbraci, zostałem sercaninem „z przypadku”, choć nic nie dzieje się przypadkowo. Po prostu, tak musiało być i tak to przez wiele znaków na mojej drodze powołania zakonnego i kapłańskiego odczytywałem i odczytuję.

Jestem sercaninem, bo to jest moja wspaniała przygoda z Panem Jezusem, jeśli Mu się do końca zaufa. Jestem sercaninem, bo spotkałem wspaniałych sercanów. Jestem sercaninem, bo piękny jest charyzmat sercańskiego życia na wzór naszego Założyciela ojca Dehona i piękne są wartości ewangeliczne i sercańskie, dla których warto żyć.

Właśnie w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego postawiłem wiernym i sobie pytanie: „Czy warto było i jest żyć? Czy warto wierzyć? Czy warto kochać?” Nie jestem już taki młody, a moja odpowiedź jest taka: było i jest warto żyć, wierzyć i kochać. Życie z Panem Jezusem jest piękne. Żyję dla Jego boskiego Serca, głoszę Jego miłość i miłosierdzie, i żyję dla ludzi właśnie z tą posługą Bożej miłości i miłosierdzia. Po 40 latach kapłaństwa, nie wiem, co to jest kryzys kapłaństwa. W każdym razie mnie póki co jakoś ominął, czego każdemu życzę. Życzę też każdemu, by się w swoim życiu zakonnym i kapłańskim spełnił. Mnie się to dzięki przełożonym i zaufaniu Bożej opatrności i Bożemu Sercu udało. Miałem wielkie pragnienie pracować w Rosji, ale plan Bożego Serca był inny i Pan Jezus ciągle kierował mnie na zachód i tak to

już zostanie. Nie zrealizowałem moich osobistych marzeń, ale otrzymałem, nie bez różnych przeciwności, bo takie też były, piękne sercańskie życie, za które zawsze dziękuję.

Ks. Bogdan Kuta SCJ

Marzenia się spełniają

Gdy myślę o Sercańskich Rekolekcjach Młodzieżowych, czuję w sercu coraz większą wdzięczność Bogu za możliwość stworzenia rekolekcji, łączących młodzieńcze pasje z pogłębianiem wiary. Na przestrzeni już blisko trzydziestu lat ich istnienia tworzyło je wiele osób. Były burze mózgów, niekończące się dyskusje, poszukiwania księży i animatorów. Na zlotach animatorów tworzyliśmy programy rekolekcji, które później realizowaliśmy na setkach turnusów. Szukaliśmy odpowiednich miejsc dla rekolekcji na nartach, pod żaglami, na turnusy za granicą Polski. Z roku na rok powiększaliśmy bazę sprzętu turystycznego, poznawaliśmy ludzi, którzy widzieli nasz trud i zapragnęli włączyć się w naszą inicjatywę. W pierwszych latach istnienia rekolekcji wielu mówiło nam: „To nie ma sensu”. My jednak wierzyliśmy, że jest inaczej i łączyliśmy siły we wspólnym wysiłku z tymi, którzy myślą podobnie. Z perspektywy doświadczeń i minionych lat mam głębokie przeświadczenie, iż nawet najciekawsza propozycja duszpasterska bez ogromnej determinacji, bez współpra-

cy kompetentnych ludzi, którzy gotowi są poświęcić swój czas i serce, nie wyda oczekiwanych owoców. Natomiast wszystkie te rzeczy razem wzięte bez Bożej opieki nie przetrwają próby czasu. Myślę, że największą nagrodą dla nas za ten wspólny wysiłek są spotkania z wieloma osobami, które po latach, posiadając już często swoje rodziny, wyrażają wdzięczność za możliwość uczestnictwa w naszych sercańskich rekolekcjach i dają świadectwo, jak wielki miały one wpływ na ich przyszłe życie. Ale zacznijmy od początku.

Historia Sercańskich Rekolekcji Młodzieżowych

Lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku, gdy nasza ojczyzna przechodziła transformację społeczną, były inspiracją i zachętą do powstania wielu nowych inicjatyw duszpasterskich. W ten nurt poszukiwań nowych propozycji kierowanych do młodych ludzi wpisali się również księża sercanie. Sercańskie Rekolekcje Młodzieżowe, łączące formację religijną z możliwością odkrywania i rozwijania młodzieńczych pasji – jazdy na nartach, żeglowania, zdobywania górskich szczytów i przemierzania kajakiem uroczych polskich rzek – były wówczas pierwszą na tak dużą skalę propozycją w Polsce. O ile ze strony rodziców młodzieży uczestniczącej w naszych rekolekcjach nowa formuła zaproponowana przez nas przyjęta była z dużą otwartością, zrozumieniem, a często wręcz z entuzjazmem, o tyle

ze strony księży budziła nierzadko wątpliwości, wyrażające się w pytaniu: czy czas spędzony na plaży, na jachcie czy na nartach można nazwać rekolekcjami? Ważną datą w historii rekolekcji był rok 2005. Rekolekcje zostały uznane wówczas jako oficjalne dzieło naszej Prowincji. To niewątpliwie przyczyniło się do zmiany nastawienia wielu księży wobec tej nowej inicjatywy duszpasterskiej, natomiast nam dało nowy impuls do działania. Dzisiaj, po latach doświadczeń podejmowanych w dużej mierze przez zgromadzenia zakonne, które na gruncie swoich charyzmatów stworzyły szeroki wachlarz propozycji duszpasterskich dla młodzieży, istnieje nie tylko akceptacja, ale wręcz zachęta do poszukiwania nowych dróg dotarcia z Ewangelią do umysłów i serc młodych ludzi. Mamy w sercu cichą satysfakcję, że byliśmy tymi, którzy przed laty jako jedni z pierwszych podjęli ten trud i związane z nim ryzyko.

Codzienny program religijny naszych rekolekcji obejmuje jutrznię ze Słowem Bożym, spotkanie dyskusyjne w małych grupach, z prezentacją efektów dyskusji na forum całej wspólnoty w formie metod aktywizujących i Mszę Świętą ze Słowem Bożym. W trakcie rekolekcji jest szczególny dzień z możliwością skorzystania ze spowiedzi świętej poprzedzonej nabożeństwem pokutnym i połączonej z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Warty podkreślenia jest fakt, iż nasza metoda, która w swych założeniach kładzie duży nacisk na rozwijanie młodzieżowych pasji, nie ma jedynie na celu uatrakcyjnienia formuły rekolekcji, ale nadaje jej znacznie szerszy wymiar

formacyjny, uwzględniający tak ważne dla młodego człowieka elementy kształtowania osobowości, jak uczenie się otwartości, szacunku dla drugiej osoby, umiejętności współpracy, rozwijanie zainteresowań, wypracowywanie w sobie konsekwencji dążenia do celu, wartościowego spędzania wolnego czasu czy uczenia się podstawowych umiejętności życiowych, np. sprzątania, pomocy w kuchni, kultury odnoszenia się do siebie, itp. Zatem stawiamy sobie za cel nie tyle przekazy-

Z perspektywy doświadczeń i minionych lat mam głębokie przeświadczenie, iż nawet najciekawsza propozycja duszpasterska bez Bożej opieki nie przetrwają próby czasu.

wanie teoretycznego modelu chrześcijańskiego stylu życia (poprzez konferencje czy wykłady), ile kładziemy nacisk na to, by stworzyć podczas rekolekcji autentyczną wspólnotę, w której młodzi ludzie również poprzez kontakt z naturą i kulturą kształtują swoją osobowość i pogłębiają relację z Bogiem i rówieśnikami. Chodzi więc o to, by młodzi w równej mierze czerpali radość z codziennego uczestnictwa w Eucharystii, wspólnej modlitwy, wymiany poglądów na spotkaniu dyskusyjnym, jak i z czasu spędzonego na zwiedzaniu, zdobywaniu górskich szczytów, żeglowaniu czy jeździe na nartach.

Rekolekcje mają formułę otwartą. Nie stawiamy żadnych wstępnych warunków, poza gotowością akceptacji ich religijnego charakteru. Uwzględniając etapy rozwoju młodzieży, rekolekcje organizowane są w przedziałach

wiekowych: 14+, 16+ i 18+. Osobną grupę turnusów stanowią rekolekcje dla rodzin. Nie planowaliśmy tych rekolekcji. Z racji ich charakteru są poza głównym nurtem naszych działań. Logistycznie są bardzo wymagające, ale nie mogliśmy pozostać obojętni wobec próśb uczestników naszych rekolekcji, którzy zawarli małżeństwa, założyli swoje rodziny i po latach chcieli znów, już z mężem, żoną i dziećmi przyjechać do Gliczarowa na narty czy też nad

Kładziemy nacisk na to, by stworzyć podczas rekolekcji autentyczną wspólnotę, w której młodzi ludzie również poprzez kontakt z przyrodą i kulturą kształtują swoją osobowość i pogłębiają relację z Bogiem.

piękne adriatyckie plaże. Mówili: „Księża sercanie nauczyli nas jeździć na nartach, przeżywać wolny czas w miłej, serdecznej atmosferze, poznać świat i przeżywać młodość z Jezusem w sercu, więc prosimy, byście pomogli nauczyć tego i nasze dzieci”. No i cóż?... Chyba nie mieliśmy

wyjścia. Często po latach uczestnicy naszych rekolekcji mówią nam, że właśnie na rekolekcjach poznali swoją żonę, swojego męża; że właśnie u nas, odkryli swoje pasje, radość i wartość podróżowania. Dzisiaj docierają w najdalsze zakątki świata, realizują niezwykle pasje, ale wielu też mówi, że na rekolekcjach odkryli żywą wiarę, odnaleźli swoją osobistą relację z Jezusem, potrzebę zaangażowania się w fundację działającą na rzecz biednych, w duszpasterstwo parafialne. O tak wielu rzeczach zwyczajnie nie wiemy. Dla młodych ludzi, w których sercach drzemią

niezwykłe zdolności i ideały, robimy tyle, ile możemy. Później idą w swoje życie i piszą swoją historię, która czasem do nas dotrze, przywołując wspomnienia, budząc dumę i podziw z ich osiągnięć.

Warunki, w jakich przebywa młodzież na rekolekcjach, biorąc pod uwagę współczesne standardy, są raczej skromne. Ceny za uczestnictwo bardzo przystępne. To, co od lat przyciąga młodzież na nasze rekolekcje, to atmosfera na turnusach. Tworzą ją w równym stopniu uczestnicy naszych turnusów, animatorzy, księża i kadra techniczna rekolekcji. Pomimo ogromnego wpływu nowych technologii na życie młodych ludzi, mają oni w sobie głęboką chęć wspólnego spędzania wolnego czasu, posiadają naturalną potrzebę poszukiwania sensu życia oraz relacji z Bogiem. Czas rekolekcji w otoczeniu piękna przyrody, w towarzystwie rówieśników, dzielących ich system wartości, jest dla młodych ludzi bezcennym momentem kształtowania swoich osobowości, który w przyszłości będzie miał wpływ na ich życiowe decyzje. To wszystko i wiele innych rzeczy sprawia, że młodzi chętnie wracają na nasze turnusy. Ilustruje to dobrze pewne zabawne wydarzenie sprzed lat, które wydarzyło się na polu namiotowym w Swobodzie. Na rekolekcje przyjeżdża nierzadko młodzież z zagranicy. Wynika to z troski rodziców o wychowanie swoich dzieci w atmosferze religijnej. Dla wielu młodych ludzi te spotkania z rówieśnikami z Polski są jedyną okazją, by spotkać innych, którzy podobnie jak oni, wychowywani są w duchu wiary katolickiej. Pewna dziewczyna, która

przyleciała ze Stanów Zjednoczonych na wakacje do Polski, wzięła udział w rekolekcjach na Mazurach. Pierwszego dnia podeszła do mnie i łamaną polszczyzną, nie wiedząc, jak się do mnie zwrócić, zapytała: „Panie ksiądz, gdzie jest ten hotel, w którym mam mieszkać?” Trzymałem akurat w rękach namiot czteroosobowy, więc, nie zastanawiając się długo, wręczyłem go jej i powiedziałem: „Tu jest twój hotel! Znajdź sobie jeszcze trzy koleżanki do tego hotelu”. Tego, co zobaczyłem wtedy w jej oczach, nie umiem do dziś opisać, mimo, że szukałem właściwych słów, aby wyrazić jej stan ducha. Na koniec turnusu żegnając się ze mną powiedziała z nieukrywanym wzruszeniem: „Dziękuję księdzu za te rekolekcje. To był najpiękniejszy wyjazd wakacyjny w moim życiu”. Mówiąc szczerze, trochę przyzwyczailiśmy się do takich słów wypowiedzianych przez młodych, czasem wcale nie w przyпіływie emocji kończącego się turnusu, ale po wielu latach. Doświadczenia zdobyte podczas prowadzenia turnusów przez cały ten długi czas zamieściliśmy w książce *Kolory młodości*. Zawiera ona praktyczne wskazówki w kwestii prowadzenia rekolekcji oraz opracowane tematy rekolekcji tematycznych wraz z propozycjami spotkań dyskusyjnych.

Z biegiem czasu wachlarz naszych rekolekcji systematycznie się powiększał, proporcjonalnie do liczby ich uczestników. Stawiało to przed nami z jednej strony niemałe wyzwania organizacyjne, związane z koniecznością znalezienia odpowiednich ośrodków wypoczynkowych, przygotowania kadry prowadzącej turnusy oraz stworzenia bazy sprzętu

turystycznego (samochody, sprzęt narciarski, jachty, itd.). Podstawową formą docierania do młodzieży, pozyskiwania chętnych do uczestnictwa w naszych rekolekcjach, stała się strona internetowa: www.rekolekcje.scj.pl. Wraz z profilem na Facebooku stała się ona również forum wymiany poglądów, zamieszczania zdjęć z turnusów i wpisywania intencji Mszy Świętych (odprawianych w każdy pierwszy piątek). Za patrona naszych rekolekcji obraliśmy świętego Jana Pawła II, który kiedyś przed laty jako duszpasterz studentów w roli opiekuna duchowego uczestniczył w wielu wyprawach górskich i spływach kajakowych. W latach największego rozwoju, każdego roku w naszych rekolekcjach uczestniczyło około 1500 osób na ponad dwudziestu turnusach. Największą popularnością cieszyły się i dalej cieszą rekolekcje na nartach. Ich organizacja jest możliwa dzięki współpracy z ośrodkiem narciarskim Kotelnica Białczańska, dobrym kontaktom z właścicielami pensjonatów w Gliczarowie Górnym, posiadanej bazie sprzętu narciarskiego i szkółce narciarskiej prowadzonej w trakcie turnusów. Nasze rekolekcje z racji ich charakteru niosą z sobą niemałe ryzyko i mam świadomość, iż mamy wielki dług wdzięczności wobec Bożej opatrności. Mam w pamięci bardzo wiele sytuacji mrozących krew w żyłach: lecące bryły lodu z dachu na głowy młodzieży wracającej z nart, wiele kontuzji narciarskich, telefonów ze stoku narciarskiego, by zgłosić się jak najszybciej, bo np. uczestnik stracił przytomność, trudnych do policzenia stłuczek samochodowych, przewróconych jachtów... Z czasem zdałem sobie sprawę, iż jest

tych groźnych zdarzeń, ale z pozytywnym zakończeniem, zbyt dużo, by można mówić tylko o szczęśliwych zbiegach okoliczności. Dla mnie to jest ewidentnie Boża opieka, którą nazwałem *Niebieską polisą*. W wielu miejscach, do których docieramy z młodymi podczas naszych rekolekcji, jak chociażby w Medjugorie, w sanktuarium w Studzienicznej, podczas spotkania sylwestrowego w kaplicy na Wiktorówkach, dziękujemy za tę opiekę i mamy nadzieję, że będzie nam nieustannie towarzyszyć.

Na przestrzeni minionych lat oferta naszych rekolekcji obejmowała:

- rekolekcje na nartach (Gliczarów Górny, Słotwiny),
- na rowerze (trasą Krynica – Zakopane i pętlą wokół Mazur),
- spływ kajakowy (Czarną Hańczą),
- pod żaglami (nad jeziorem Studzienicznym w Swobodzie, w bazie harcerskiej nad jeziorem Rajgrodzkim, nad Zalewem Solińskim),
- rejs jeziorami mazurskimi,
- rekolekcje noworoczne z kursem tańca (Gliczarów Górny),
- „w siodle”, czyli z jazdą konną (nad jeziorem Sławskim),
- oraz rekolekcje wędrowne (w Tatrach i Doliną Sanu).

Nie zabrakło w naszej ofercie również wyjazdów zagranicznych. Jeździliśmy do pięknej Chorwacji na wyspę Murter, do Albanii, nad jezioro Ochrydzkie do Macedonii, do zawsze gościnnego alpejskiego Millstatt, gdzie

proboszczem i opiekunem domu rekolekcyjnego jest ks. Sławomir Czulak SCJ. Jesienią i wiosną organizowaliśmy w Koszycach Małych zloty dla animatorów. Były one okazją wymiany poglądów oraz wspólnego planowania kolejnych inicjatyw rekolekcyjnych. W ramach wdzięczności dla animatorów, którzy pełnią swoją funkcję w formie wolontariatu, organizowaliśmy wyjazdy narciarskie na stoki Matterhornu, Trzech Dolin, na Lazurowe Wybrzeże, i do najpiękniejszego z naszych miejsc organizacji rekolekcji – Montenegro, nieopodal wyspy św. Stefana. Miejscem szczególnym, do którego przez wszystkie lata naszych rekolekcji wracaliśmy, był Gliczarów Górny. Tam w otoczeniu szczytów Tatr, w budynku szkoły, potem w remizie czy w pensjonacie u Państwa Stasików, zorganizowaliśmy dziesiątki turnusów rekolekcji na nartach, latem zaś turnusy rekolekcji wędrownych.

Dużym wyzwaniem dla rekolekcji był czas pandemii. Choroby księży prowadzących rekolekcje oraz ograniczenia związane z ówczesną sytuacją zmusiły nas do zawężenia naszej działalności w tradycyjnym wydaniu i przeniesienia jej na forum spotkań w przestrzeni internetowej.

Nasze działania

Rekolekcje finansowane są ze środków pozyskanych z tytułu uczestnictwa młodzieży w rekolekcjach. Początki były trudne, ale po kilku latach sytuacja finansowa stworzyła możliwości, by z wygospodarowanych zasobów

i ofiar zbieranych na końcu turnusów pomagać również młodzieży w różnych krajach misyjnych. W minionych latach naszą pomoc przekazaliśmy na następujące cele:

- Dla grup młodzieżowych w Białorusi i Mołdawii.
- Na wsparcie szpitala w Republice Centralnej Afryki, gdzie przez ponad rok pracowała pielęgniarka Anna Warchoń.
- Na budowę kilku studni w Czadzie.
- Na budowę domów dla ofiar tajfunu na Filipinach.
- Obecnie naszą pomoc kierujemy na Ukrainę i do Kenii.

W ramach środków finansowych przekazanych przez sercański Sekretariat Misyjny we współpracy z panią Sylwią Janiak vel Kubiak, działającą w strukturach misyjnych diecezji szczecińskiej, zorganizowaliśmy odwiert dwóch studni głębinowych, zaopatrujących w wodę w Oldonyo, oraz wsparliśmy dom dla sierot w Isiolo.

Z naszej inicjatywy dzięki przekazanym środkom z funduszu rekolekcji młodzieżowych przy studniach powstały ogrody warzywne i małe gospodarstwa hodowlane, dające możliwość prowadzenia stołówki dla dzieci i młodzieży.

W ostatnim czasie na mocy umowy podpisanej z zarządem domu dakonnego przynależącego do dystryktu ACR na wyspie Rab w Chorwacji zorganizowaliśmy i w części sfinansowaliśmy remont domu, który ojcowie franciszkanie przekazali naszemu Zgromadzeniu na okres 25 lat. Celem tych prac było przystosowanie domu do prowadzenia w nim działalności młodzieżowej.

Co dalej?

Wiele osób zadaje mi pytanie o przyszłość naszych sercańskich rekolekcji. Wynika to zapewne z troski, by inicjatywa, która w wielkim trudzie kształtowała się przez minione lata, znalazła swoją kontynuację. By w zimowe ferie nie zabrakło młodych ludzi na stokach Kotelnicy z napisami na narciach: „scj”. By nasze Omegi o wdzięcznych nazwach – Ostra sieka, Słowo jeziora, Płytki dowcip, Koralik i Arika – wciąż pochylały się nad

taflami mazurskich jezior. By młodzi ludzie, których nie odstrasza trud wspinaczki przemierzali tatrzańskie i alpejskie szlaki, odkrywając wartość i piękno naszej rodzimj i europejskiej kultury. Czasy współczesne dają młodym ludziom szerokie możliwości podróżowania i poznawania świata, o wiele większe niż kiedykolwiek wcześniej. Jednak nie możemy zapomnieć o tym, co jest najgłębszym celem podejmowanego trudu organizacji naszych rekolekcji, a jest nim troska o żywą wiarę w sercach młodych ludzi. Wciąż więc szukamy sposobów, jak radość realizacji młodzieńczych pasji, możliwość podróżowania, spotkania się ze sobą, łączyć z odpowiedzią na zaproszenie ze strony Boga do ciągłej troski o jakość re-

Pomimo ogromnego wpływu nowych technologii na życie młodych ludzi, mają oni w sobie głęboką chęć wspólnego spędzania wolnego czasu, posiadają naturalną potrzebę poszukiwania sensu życia oraz relacji z Bogiem.

lacji z Nim. Ujmują to zwięzłe słowa na naszej stronie internetowej: „Mamy w sercu pięć gramów szaleństwa i trzymamy z Jezusem!”

Trzydzieści lat istnienia rekolekcji stworzyło długą listę osób, które zaangażowały się w dzieło sercańskich rekolekcji młodzieżowych. Są na niej księża, osoby kadry technicznej, animatorzy i liczna grupa ludzi, którzy sercem i modlitwą wspierali to dzieło. Z potrzeby serca chciałbym podziękować księżom, którzy prowadzili turnusy: ks. Robertowi Sasakowi, ks. Andrzejowi Kościuczykowi, ks. Henrykowi Lachurowi, ks. Grzegorzowi Kurzajowi, ks. Jackowi Kosteczce, ks. Adamowi Pawlakowi, ks. Grzegorzowi Gąkiewiczowi, ks. Franciszkowi Wielgutowi, ks. Bartłomiejowi Królowi, ks. Sławomirowi Kuśmierzowi. Szczególne podziękowania należą się ks. Kazimierzowi Dadejowi, który przez ponad dziesięć lat pełnił rolę współpracownika dzieła rekolekcji, prowadząc turnusy, organizując zloty animatorów i ucząc młodzież jeździć na nartach oraz ks. Stanisławowi Wowrze, bez którego trudno sobie wyobrazić turnusy rekolekcji pod żaglami. Dziękuję ks. Dariuszowi Salamonowi, który przez szereg lat prowadził turnusy rekolekcji wędrownych i w ważnych momentach służył dobrą radą i pomocą. Pragnę wyrazić moją wdzięczność wszystkim animatorkom i animatorom. Bez nich rekolekcje nie byłyby możliwe. Pełnili tę posługę we współpracy z księżmi i z otwartym sercem dla uczestników rekolekcji w ramach wolontariatu. Było ich wielu. Mieli wpływ na bardzo wiele rzeczy. Dziękuję wszystkim. W po-

szczególnych etapach działalności rekolekcji reprezentowali tę grupę: Karolina Srebro, Aleksandra Kluz, Julia Zimoch (Dziamarska) i Magdalena Świądro-Piętoń. Dziękuję mojemu bratu Krzysztofowi oraz Michałowi Borczuchowi, którzy zaangażowali się w remont remizy. Dziękuję wszystkim kucharkom, kierowcom, ratownikom Wopru. Są wśród nich Elżbieta Gniewek i Lucyna Błoniarz, które przez wiele lat troszczyły się o dobrą markę sercańskiej kuchni. Dziękuję dyrektorowi szkoły w Gliczarowie Górnym, panu Andrzejowi Skupieniowi, który dał nam na początku działalności możliwość organizowania rekolekcji na terenie szkoły, zarządowi Ochotniczej Straży Pożarnej w Gliczarowie Górnym, który z kolei udostępnił budynek remizy strażackiej dla potrzeb organizacji turnusów rekolekcji na nartach, Izie i Mirosławowi, właścicielom firmy Sirocco w Swobodzie k. Augustowa. Dziękuję Idze i Konradowi Grzybowski, którzy prowadzą rekolekcje dla rodzin. Dziękuję wreszcie mojej siostrze Elżbiecie, która od wielu lat pełni rolę osoby odpowiedzialnej za obsługę logistyczną rekolekcji.

Sięgając pamięcią do lipca 1997 roku, mam przed oczyma dziesięć dni deszczu i nas, mokrych i zziębniętych, pakujących swoje przemoczone rzeczy nieopodal pięknej, Witkiewiczowskiej kaplicy. Walczyłem wtedy z myślą, by zrezygnować z tej inicjatywy, która w naszym polskim, kapryśnym klimacie będzie trudna do realizacji. Wtedy przez myśl mi nie przeszło, że przed nami jest tyle pięknych chwil, że spotkamy na naszej drodze tylu młodych,

wspaniałych wartościowych ludzi, i że napiszemy tak piękną, barwną historię. Dziesięć dni w strugach deszczu było niezłym testem dla entuzjazmu młodego księdza, w którego sercu zrodziło się marzenie stworzenia rekolekcji dla młodzieży. Ale pamiętam, że przemoknięty do suchej nitki w końcu postanowiłem: „Wrócimy tu za rok!” I wróciliśmy. W kolejnym roku turnus rekolekcji na rowerach trasą Florynka – Zakopane, przebiegł w pięknej, słonecznej pogodzie. I tak jak wtedy, przed laty na polu namiotowym koło Zakopanego, i dziś potrzebna jest nam odwaga, determinacja i gotowość pójścia w nieznaną z wiarą, że Ktoś nas poprowadzi i zatroszczy się o wszystko, co nam będzie konieczne. Idźmy zatem!

Ks. Henryk Lachur SCJ

Być księdzem spod znaku Serca Jezusowego

Setna rocznica śmierci założyciela naszego Zgromadzenia, ojca Leona Jana Dehona jest dobrą okazją, by zatrzymać się na chwilę w tym pędzie życia i zastanowić się, jakie miejsce w naszym sercu ma Jego osoba, ale i charyzmat, otrzymany przez niego od Ducha Świętego, który został nam przekazany, by ukierunkowywał nie tylko naszą osobistą drogę do świętości, ale i nasze duszpasterskie starania.

„Dlaczego zostałem sercaninem?”, „Jak poznałem sercanów?” – to chyba pierwsze pytania postawione nam w postulacie, na które, w kontekście naszego powołania, staraliśmy się odpowiedzieć. Moja odpowiedź była bardzo prosta: „Z sercanami spotkałem się na chrzcie świętym, bo ochrzcił mnie sercanin, ks. Jan Mucha”. Przez sercanina ochrzczony, przez sercanów wychowywany, niejako nasiąkałem od dziecka atmosferą, która była codziennym życiem księży spod znaku Najświętszego Serca.

Nazwiska sercanów, wypowiedane z wielkim pietyzmem w naszym domu, ciągle były obecne w rozmowach

moich bliskich. Dowiadywałem się o początkach życia sercanów w parafii Florynka, o tym, jak biednie żyli i nie narzekali, ale od samego początku usiłowali scalić pogruchofaną wojną ludność napływową, przybyłą z całej okolicy na naszą połemkowską ziemię. Potem, w czasie formacji dowiedziałem się, że troska właśnie o tych ubogich i w jakiś sposób wykluczonych zawsze była na sercu ojcu Założycielowi.

Ich starania szybko przynosiły owoce dzięki ich otwartym sercom i wytężonej pracy. Dziadek mój był stałym bywalcem na plebanii, gdzie pomagał w różnych pracach związanych z funkcjonowaniem domu i dzięki temu osobiście znał naszych księży. To na jego rękach zmarł ks. Stefan Mytnik SCJ. Pewnie te wszystkie rozmowy i opowieści miały wpływ i tworzyły klimat, w którym rodziło się i wzrastało moje sercańskie powołanie.

Był jeszcze jeden aspekt tego klimatu, którym oddychałem. Mój nieżyjący tato był leśniczym zajmującym się lasami prywatnymi w całej okolicy. W naszym domu ciągle przebywało wielu ludzi, a z nimi do naszego domu wkraczały różne tematy rozmów. Niektórzy nasi goście dotykali też negatywnych spraw dotyczących okolicznych księży. Pamiętam, jak mama te rozmowy szybko uciniała słowami, że u nas jest inaczej, bo u nas są sercanie, zakonnicy. Kiedy więc w mojej świadomości, a potem w pragnieniach pojawiły się myśli o powołaniu, było dla mnie oczywiste, że jeśli mam być księdzem, to tylko zakonnikiem i to spod znaku Serca Jezusowego.

Pamiętam, że siódma klasa była tym czasem, kiedy wstępnie dojrziała decyzja o wstąpieniu do seminarium. Towarzyszyły jej częste wyjazdy do naszego seminarium w Stadnikach, udział w rekolekcjach powołaniowych, regularna pomoc w parafii, ministrantura. Nie do przecenienia jednak była obecność naszych parafialnych duszpasterzy: ks. Józefa Golonki SCJ, a potem nieocenionego ks. Lucjana Kurpasa SCJ, który towarzyszył mi przez całe seminarium, a plebania w czasie wakacji była moim drugim domem.

Postulat, nowicjat a potem czas seminarium to był okres zgłębiania duchowości Zgromadzenia i ciągłego pytania: czy ja do tego pasuję? Nie był to łatwy czas. Gdzieś w pod-

Kiedy pojawiły się myśli o powołaniu, było dla mnie oczywiste, że jeśli mam być księdzem, to tylko zakonnikiem i to spod znaku Serca Jezusowego.

świadomości towarzyszyło mi pragnienie wyjazdu na misje. Kiedy na czwartym roku uświadomiłem sobie, że nie mogę jechać na misje, bo bardzo źle znoszę upały, nastąpił bardzo ostry kryzys. Tak bardzo dał się we znaki, że kiedy wchodziłem do kaplicy poza wspólnymi modlitwami, byłem w stanie uklęknąć tylko przy ostatniej ławce.

Wybawieniem był przyjazd do seminarium ówczesnego wiceprowincjała, który wrócił z Białorusi i opowiadał o wielkich potrzebach duszpasterskich na tamtych terenach. Wszystko we mnie odżyło. Znowu był cel przede mną. Jako diakon całe wakacje spędziłem w Lachowiczach, ucząc dzieci do Pierwszej Komunii Świętej. Po po-

wrocie napisałem podanie z prośbą o skierowanie mnie do pracy na Białorusi. Długo czekałem na odpowiedź, a w końcu przestałem czekać. Do dzisiaj pewnie zupełnie ono pozółkło w archiwum prowincjalnym, a ja zgodnie z decyzjami moich przełożonych wędrowałem po różnych placówkach na terenie Polski.

Pytanie o to, dlaczego zostałem księdzem (sercaninem), jak echo wróciło na jednej z katechez w szkole w czasie przygotowania do Pierwszej Komunii. Jedna z dziewcząt zapytała wprost: „Co spowodowało, że zostałem księdzem?”. Potraktowałem to pytanie bardzo poważnie i zacząłem przypominać sobie swoje argumenty, które spowodowały, że podjąłem taką właśnie decyzję, przynajmniej te, którymi mogłem się podzielić, bo zawsze są też te bardzo osobiste, które pozostaną w sercu. Powoli zacząłem przed nią i przed całą klasą je wyłuszczać: że byłem ministrantem, że zawsze lubiłem być w kościele i blisko ołtarza, że bardzo mnie pociągało głoszenie Ewangelii.

W pewnym momencie zauważyłem, że ta dziewczynka zupełnie mnie nie słucha. Jej twarz była jakby nieobecna. Przerwała moją wypowiedź krótkim zdaniem: „Ksiądz to chyba musiał bardzo kochać Pana Jezusa...”. Krótkie zdanie, a było jak grom z nieba, jak policzek celnie wymierzony, który, o dziwo, zupełnie nie bolał, a był słodkim przypomnieniem o tym, co jest najistotniejsze w naszym życiu, w naszych argumentacjach i decyzjach. Szybko mi się przypomniało pytanie Jezusa skierowane do Piotra: „Czy miłujesz Mnie więcej, aniżeli ci?” (J 21,15), ale też

słowa z Listu św. Jana, mocno podkreślane przez ojca Dehona: „Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam” (1 J 4,16). Każdy inny argument może być tylko uzupełnieniem tego jednego.

W tym kontekście przypomniało mi się pewne wydarzenie związane z wyjazdem na coroczne rekolekcje do Kluczborka. Często wybierając się na rekolekcje kapłańskie, prosiłem parę osób o modlitwę,

by ten czas dobrze wykorzystać. Tym razem też tak zrobiłem. Od jednej z tych osób otrzymałem odpowiedź SMS-em: „Życzę księdzu, żeby ksiądz się na nowo zakochał w Chrystusie”. Uśmiechnąłem się do tej odpowiedzi, ale kiedy na Pierwszej Mszy Świętej, rozpoczynającej rekolekcje,

„Ksiądz to chyba musiał bardzo kochać Pana Jezusa...”. Krótkie zdanie, a było jak grom z nieba, jak policzek celnie wymierzony, który, o dziwo, zupełnie nie bolał, a był słodkim przypomnieniem o tym, co jest najistotniejsze w naszym życiu.

usłyszałem słowa z księgi Apokalipsy: „Aniołowi Kościoła w Efezie napisz: (...) Znam Twoje czyny: trud i twoją wytrwałość (...). Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości. Pamiętaj więc skąd spadłeś i nawróć się, i pierwsze czyny podejmij!” (Ap 2,1-5), nogi się pode mną ugięły i łzy napłynęły mi do oczu. Patrzyłem tylko ukradkiem, czy inni tego nie widzą, bo stałem w pierwszej ławce. Od tego czasu często posługuję się aktem strzelistym „Jezu, Kocham Cię!”, najpierw, by to wyznać Jezusowi, ale może bardziej, by sobie samemu o tym przypomnieć.

Jest jeszcze jeden rys duchowości ojca Dehona wyniesiony z czasów formacji, który mocno jest obecny w moim przeżywaniu powołania i pracy duszpasterskiej. Chodzi o jego troskę o wygląd ołtarza. Powtarzano nam, jak bardzo ojciec Dehon o to dbał i tego pilnował, by wszystko, co dotyczy ołtarza i Mszy Świętej, było czyste, zadbane i najwyższej jakości. W mojej parafii rodzinnej funkcję kościelnego pełniły siostry zakonne, więc wszystko takim było i wydawało mi się, że wszędzie tak jest. Życie i pobyt w różnych parafiach, zwłaszcza w czasie głoszenia rekolekcji, pokazały, że niestety nie. Bardzo się starałem, zwłaszcza przygotowując dekoracje i kwiaty, by kościół był miejscem pięknym, by liturgia i udział w niej były okazją zbliżenia się do Boga i odkrycia faktu, jaką miłością obdarzył nas Bóg i do czego jesteśmy zaproszeni.

Ks. Stanisław Mieszczak SCJ

Umiłowanie liturgii Kościoła

Ojca Dehona i jego duchowość odkrywałem dopiero w trakcie formacji seminaryjnej. Do Zgromadzenia przyciągnęło mnie nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana Jezusa, które w naszej parafii w Łodygowicach było szczególnie głęboko pielęgnowane przez ks. prałata Jana Marszałka (dzisiaj sługę Bożego) i przeżywane przez całą wspólnotę parafialną. Oczywiście wyraziło się to w przeżywaniu pierwszych piątków miesiąca i w nabożeństwach czerwcowych. Zawsze jednak to nabożeństwo inspirowało działalność charytatywną w parafii i potem w domu. Chodziło o dostrzeżenie tego, co stanowi troskę Chrystusa, gdy spogląda na dzisiejszego człowieka.

W ramach formacji sercańskiej starałem się pogłębiać owo duchowe ciepło tego nabożeństwa, co ułatwiał także klimat w naszych wspólnotach, poczynawszy od wspólnoty seminaryjnej. Jednak coraz bardziej ceniłem sobie odkryte u ojca Dehona zatroskanie o odnowę moralną społeczeństwa i jego całkowite oddanie Chrystusowi żyjącemu w Kościele. Imponowało mi jego posłuszeństwo Kościoło-

wi, choć ewidentnie był niejednokrotnie niezrozumiany, a nawet krzywdzony przez konkretnych biskupów. Jakże imponujące jest jego przywiązanie do ojca świętego, następcy św. Piotra, a nie do autorytetu Stolicy Apostolskiej. W jego przypadku chodziło o więź duchową z Piotrem naszych czasów, a nie tylko podporządkowanie się autorytetowi Stolicy Apostolskiej. To był prawdziwy przejaw trwania w jedności i we wspólnocie z Kościołem katolickim, realizowane dzięki łasce Ducha Świętego.

Prawdziwym odkryciem na którymś etapie rozwoju duchowego było dostrzeżenie sposobu podejścia ojca Dehona do problemów społecznych, które były tak bardzo palące w jego czasach i są palące nadal, choć zmieniła się

*Ojciec Dehon zapatrzony
w otwarte Serce Jezusa
rozumiał coraz lepiej
prawdziwe potrzeby człowieka.*

ich forma. On, człowiek wychowany w dobrobycie, nauczył się dostrzegać problemy robotników i ich rodzin, wykorzystywanych przez pracodawców i lichwiarzy. Umiał

zidentyfikować przyczyny ich niedoli materialnej i moralnej. Wnioski formułował na podstawie dogłębnego studium oraz w oparciu o inspiracje płynące ze zjednoczenia duchowego ze Zbawicielem. Zapatrzony w otwarte Serce Jezusa rozumiał coraz lepiej prawdziwe potrzeby człowieka, a nie ograniczał się do popularnej ideologii. Był blisko tych ludzi i blisko Chrystusa. Wobec szerzącej się propagandy marksistów, z ideą walki klas oraz wobec rozpozszerechnionych rozwiązań ateistycznych, widział inny spo-

sób rozstrzygania problemów społecznych. Polegał on na zbliżeniu się do Chrystusa, który swoją łaską jest w stanie uzdolnić zwaśnionych do szukania wspólnych rozwiązań. Najlepiej dokonuje się to na kolanach. Niewielu myślało w tych kategoriach i dlatego nie zawsze był rozumiany nawet w Kościele. Łatwiej było stanąć po jednej lub drugiej stronie konfliktu, co jedynie pogłębiało podziały. On jednak wyrastał ponad przeciętność. Był potentatem duchowym.

Do dzisiaj ojciec Dehon pociąga mnie swoim przywiązaniem do wspólnoty żyjącego dzisiaj Kościoła. Jego *vivere cum Ecclesia* realizowało się przez codzienne odczytywanie pragnień Serca Jezusowego, wyrażonych w wyzwaniach stojących przed Kościołem. Dzisiaj widzę coraz bardziej, że idąc śladami ojca Dehona trzeba nam ukazywać w Kościele prawdziwe oblicze Chrystusa, co dawniej określano jako wskazywanie na otwarte Serce Zbawiciela. Zatem nie tylko efektywna działalność według własnych projektów, ale odczytywanie pragnienia Zbawiciela w relacji do dzisiejszego człowieka. Aby ukazywać oblicze Zbawiciela, trzeba je najpierw odwzorować w moim życiu, działaniu i poświęceniu się. To zrozumiał doskonale ojciec Dehon i tak powstało nasze „ponadto”.

Osobiście staram się naśladować ojca Dehona w trwaniu przy Chrystusie przez realizację tej misji, na którą skierowało mnie Zgromadzenie. Chodzi o umiłowanie liturgii Kościoła, w której wyraża się realizacja dzieła zbawczego naszego Mistrza i Pana. W niej możemy odkrywać Jego

obecność, poznawać pragnienia Jego Serca, a trwając przy Nim, formować nasze serce, by biło w harmonii z Jego Boskim Sercem. Tu pojawia się ważna rola zrozumienia i pogłębiania znaków i symboli, których Kościół strzeże od wieków. Myślę też, że przekazywanie tych doświadczeń jest szerzeniem prawdziwego kultu Serca Jezusowego, które nieustannie bije w Kościele. Chrystus Zbawiciel żyje w celebracji sakramentów Kościoła i tam dokonuje się wynagrodzenie Ojcu Niebieskiemu. A to zadanie zrozumiał ojciec Dehon i włączył nas w jego realizację. Akty pobożności formują naszą postawę jedności ze Zbawicielem, ale wynagrodzenie w pełni dokonuje się przez nasze współdziałanie z Kościołem.

Ks. Adam Pastorczyk SCJ

Zrodzony z adoracji Serca

Vivat Cor Iesu, per Cor Mariae!

Zanim wstąpiłem do zgromadzenia, przez 19 lat wychowywałem się w Lipnicy Wielkiej na Orawie. Wraz ze wszystkimi mieszkańcami mojej miejscowości przynależeliśmy do parafii pw. św. Łukasza Ewangelisty. Jednakże parafia miała także w sobie bardzo znaczący sercański charakter, gdyż jej drugim wezwaniem było Najświętsze Serce Jezusa. Odkąd pamiętam, obydwu odpusty parafialne obchodzono ipsa die i zawsze były one wielką manifestacją wiary wszystkich Lipniczan.

Właśnie w tym kościele 7 maja 1995 roku przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą. Jak się później okazało, wydarzenie to dla mojego powołania miało niebagatelne znaczenie, i jak ufam, naznaczyło moją dalszą życiową drogę.

Bezpośrednio po zakończonym w parafii tzw. „białym tygodniu” wyjechałem bowiem wraz z mamą w pielgrzymce autokarowej do Lichenia, zatrzymując się po drodze także w innych ważnych miejscach pobożności maryjnej w Polsce, tj. Jasna Góra i Gidle. W sobotę 13 maja, w ko-

lejną rocznicę objawień fatimskich, dotarliśmy do Matki Bożej Licheńskiej, Bolesnej Królowej Polski. Był wieczór. Jeśli dobrze pamiętam, po godzinie 20 rozpoczęła się adoracja Najświętszego Sakramentu w kościele pw. św. Doro-ty. Tam też znajdował się cudowny obraz Pani Licheńskiej, gdyż obecna bazylika była dopiero w początkowej fazie budowy. W kościele panował ogromny tłok. Mimo tego zależało mi, aby wejść przed sam obraz Matki Bożej. Gdy

Prawdziwym darem Boga dla mojego powołania byli księża przybywający do naszej parafii. To, co mnie szczególnie urzekło, to celebrowana przez nich Eucharystia w pierwsze piątki miesiąca.

już się tam znaleźliśmy, pewna kobieta zaproponowała mojej mamie, abym usiadł na jej kolanach i w ten sposób nieco odpoczął po całym dniu podróżowania. Tak też się stało. Siedziałem spokojnie, modląc się na różańcu i wpatrując się w Najświętsze Serce Jezusa ukryte w Naj-

świętym Sakramencie Ołtarza. Bezpośrednio po błogosławieństwie, od trzymającej mnie na kolanach kobiety, usłyszałem takie słowa: „W czasie tej adoracji modliłam się o to, abyś kiedyś został księdzem”. Nie pamiętam, czy w jakikolwiek sposób jej odpowiedziałem, ale słowa te były tak wyraziste i poniekąd szokujące, że po wyjściu z kościoła nadal bardzo mocno brzmiały mi w uszach. Prawdę mówiąc, nie mogłem przestać o nich myśleć.

Tej samej nocy przejechaliśmy autokarem do Niepokalanowa, aby tam o godzinie 6 rano uczestniczyć

w niedzielnej Eucharystii. Dokładnie pamiętam każdy szczegół tego wydarzenia, a także miejsce w kościele – po prawej stronie pod chórem – w którym klęczałem w oczekiwaniu na przyjęcie Komunii Świętej. Po przyjęciu Pana Jezusa miałem w sercu tylko jedną prośbę, która korespondowała z tym, co usłyszałem poprzedniego dnia wieczorem. Prosiłem Go o to, abym, jeśli taka jest Jego wola, został księdzem.

Z perspektywy blisko trzydziestu lat od tych wydarzeń nadal zastanawiam się nad tym, czego doświadczyłem, co przeżyłem i w jaki sposób w swej dziecięcej prostocie oraz zaufaniu byłem w stanie powierzyć się Komuś, Kogo dopiero poznawałem.

Jeszcze tego samego roku, począwszy od września przez osiem kolejnych miesięcy przygotowywałem się do bycia ministrantem. Zostałem nim podczas Mszy Świętej Wieczery Pańskiej 4 kwietnia 1996 roku. Z tego wydarzenia pamiętam przede wszystkim słowa śp. ks. kan. Bolesława Kołacza, który zwracając się do kandydatów na ministrantów wyraził swoje szczere pragnienie, aby przynajmniej jeden z nas w przyszłości został kapłanem. Mówił o tym bardzo otwarcie i za to po latach bardzo mu dziękuję.

Prawdziwym darem Boga dla mojego powołania byli księża przybywający do naszej parafii. Prawie zawsze byli to neoprezbiterzy! Przychodzili do nas z pasją i zaangażowaniem. To, co mnie szczególnie urzekło, to celebrowana przez nich Eucharystia w pierwsze piątki miesiąca. W tym dniu Msza Święta była bardzo uroczysta: szaty białe, formu-

larz o Bożym Sercu, „Chwała”, homilia, a po Eucharystii adoracja z litaniami i aktem oddania rodzaju ludzkiego Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, który został napisany przez papieża Leona XIII. Ministrantem, a potem lektorem byłem aż do wstąpienia do Zgromadzenia latem 2005 roku.

Mniej więcej rok przed wstąpieniem zacząłem uświadamiać sobie coraz mocniej, że czas podjęcia decyzji jest już bliski. W wakacje 2004 roku wiedziałem, że chcę wstąpić do seminarium, ale nie miałem pojęcia, do których drzwi zapukać. Prosiłem Boga o natchnienie, wskazówkę. Do tego momentu, sam z siebie nigdy nie myślałem o pracy misyjnej, a wtedy właśnie przyszło do mnie tak wielkie pragnienie wyjazdu do Ameryki Południowej, że od razu zacząłem szukać tak ukierunkowanego seminarium. W Internecie, który na dobrą sprawę założyliśmy w naszym domu rodzinnym dopiero kilka miesięcy wcześniej (!), znalazłem dwa seminaria: werbistów i sercanów. Do wybrania sercanów skłonił mnie zwyczajnie bardziej atrakcyjny wygląd strony internetowej. Prawdę mówię, nie kłamię!

Kolejnym krokiem było napisanie e-maila, na który odpisał mi ks. Leszek Poleszak SCJ. Korespondencję tę utrzymywałem aż do przyjazdu do postulatu w Pliszczynie. W ten właśnie sposób rozpoczęło się moje powołanie, „internetowe powołanie”, jak powiedział o nim później mój nieżyjący już proboszcz śp. ks. kan. Stanisław Kania.

Pamiętam, że w przededniu wyjazdu do postulatu w niedzielę 17 lipca 2005 roku, mój tata zapytał mnie

jeszcze raz o to, czy jestem pewien, że tego chcę. Wtedy odpowiedziałem mu, że właśnie to jest moją wielką radością. Jednakże szczerze mówiąc, prawdziwe uświadomienie sobie i przyjęcie tego, że to właśnie sercanie, a nie jakieś inne zgromadzenie, nastąpiło dopiero w pierwszym semestrze czwartego roku seminarium! To wtedy, między innymi po rozmowie z moim magistrem ks. Jackiem Szczygłem SCJ, uświadomiłem sobie, że żywa, dynamiczna i miłosna relacja z Chrystusem, za którą tęsk-

Zostałem więc sercaninem, bo uwierzyłem, że zaproszenie mnie do tej rodziny zakonnej jest pomysłem Boga na to, abym właśnie na tej drodze mógł stać się sobą.

nię, nie jest zarezerwowana tylko dla kartuzów czy kamedułów, o których myśl zawsze wywoływała w moim sercu wzruszenie. Tę samą głębię relacji do Boga, którą żył ojciec Leon Dehon, mogę odnaleźć właśnie tu, w założonym przez niego zgromadzeniu księży sercanów.

Zostałem więc sercaninem, bo uwierzyłem, że zaproszenie mnie do tej rodziny zakonnej jest pomysłem Boga na to, abym właśnie na tej drodze mógł stać się sobą, czyli upodobnił się do Jego Syna, jak uczyniło to przede mną tak wielu świętych Kościoła. Gdy czytałem ich życiorysy, zauważyłem, że wypełnione są przede wszystkim miłością do Eucharystii, co w praktyce oznaczało codzienne karmienie się Ciałem Chrystusa i niejednokrotnie długie trwanie na adoracji Najświętszego Sakramentu.

Właśnie ze względu na tę moc świętości, jaką odnajduję w codziennej adoracji, jest ona tym, co najbardziej pociąga mnie w naszej duchowości. Rozumiem ją jako przestrzeń dla modlitwy ciszy, czyli bezpośredniej, ale bardzo prostej modlitwy mojego dziecięcego serca do Serca Boga, którego ojcowską i oblubieńczą miłością chcę zostać napełniony. Czasami adoracja jest duchowym wzięciem mnie na ręce, szczególnie w momentach, gdy znajduję się w ciemnej dolinie życia, a innym razem jest ona dialogiem zakochanych i uśmiechających się do siebie osób. Wiele lat praktyki adoracji doprowadziło mnie do przekonania, że jest mi ona dana po to, bym trwał przy Nim. Słowo „trwać” jest tu dla mnie szczególnie ważne, bo wyraża obecność i tylko obecność. Nie jest to ani rozmyślanie o pobożnych rzeczach, ani też czytanie duchowych książek, ale trwanie. Wiele razy zadaję sobie pytanie, czy jestem obecny, czy trwam przy Nim, bo wiem, że On jest przy Mnie, On zawsze jest mi bliski, a jeśli wydaje mi się, że jest daleki, to dlatego, że odszedłem od Niego i przestałem być obecny. W taki też sposób rozumiem to, na czym polega mój udział w Jezusowym wynagrodzeniu Ojcu za grzechy: trwając z Nim, z Nim także wynagradzam, bo bez Niego, nic nie mogę uczynić. Wobec powyższego jestem wdzięczny za to, że w Stadnikach, gdzie obecnie mieszkam, nasza wspólnota gromadzi się codziennie na godzinnej adoracji.

Drugim ważnym wymiarem bycia sercaninem jest dla mnie poświęcenie swojego życia w służbie jedności Ko-

ścioła i wszystkich ludzi. Tego przecież oczekuje od nas ojciec Założyciel: abyśmy byli prorokami miłości i sługami pojednania ludzi i świata w Chrystusie (por. Konst. 7). Tekst ten stał się dla mnie jeszcze bardziej inspirujący, gdy studiując teologię ekumenizmu, odkryłem postać francuskiego dominikanina Yves

Congara, którego służba na rzecz jedności Kościoła i dążenie do tego celu stały się centralnym motywem jego teologicznej myśli i wpływającej z niej działalności. Byłem zdumiony zarówno jego

Jedność w życiu braterskim jest bowiem szczególnym wyrazem sercańskiego apostołatu i pięknym świadectwem, które pociąga młodych.

głębką świadomością potrzeby budowania mostów jedności we współczesnym świecie, jak i odkrycia w sobie powołania do takiej służby.

W praktyce rozumiem służbę na rzecz jedności jako cierpliwe słuchanie drugiego człowieka – zwłaszcza mojego współbrata, który zawsze pozostaje kimś innym – oraz jako próbę zrozumienia go i prowadzenia z nim dialogu bez uprzedzeń i podejrzeń. Widzę, że w tej dziedzinie mam jeszcze wiele do zrobienia, ale jestem przekonany, że warto o to zabiegać. Jedność w życiu braterskim jest bowiem szczególnym wyrazem sercańskiego apostołatu i pięknym świadectwem, które pociąga młodych.

Nie mniej istotną rolę w służbie jedności dostrzegam w celebracji sakramentu pokuty i pojednania. Celowo napisałem „celebracji”, gdyż powrót do miłości i pojed-

niania przywraca do życia, a życie jest świętem, czyli celebracją. Dlatego uważam, że każde miejsce i czas są dobre do tego, by jednać ludzi z Bogiem i wzajemnie ze sobą. Z tego powodu przez ponad trzynaście lat kapłaństwa będąc proszonym o sakrament pojednania spowiadałem ludzi w najbardziej nieoczekiwanych dla mnie miejscach i momentach. Niejednokrotnie jest to dla mnie niemały trud, ale gdy pomyślę sobie, że „dzisiaj zbawienie stało się udziałem tego domu”, niedogodności z budowaniem takiego pomostu maleją, a nawet znikają.

W kontekście sercańskiego jubileuszu to, co napisałem powyżej oraz to, czego nie potrafię wyrazić słowami, budzą we mnie głęboką wdzięczność. Najpierw wobec Boga, Maryi i ojca Leona Dehona, a następnie wobec rodziców, współbraci i tak wielu ludzi, bez których rozeznanie powołania sercańskiego i jego realizowanie nie byłyby możliwe.

Ks. Wiesław Pietrzak SCJ

Pociąga mnie idea życia ofiarnego

Wychowałem się od dziecka w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie-Płaszowie. Pociągnęło mnie świadectwo księży sercanów, którzy wtedy, w latach 1960-1970 pracowali w tej parafii i mieszkali w klasztorze. Do dziś pamiętam i wspominam ich życzliwość, dobroć, bezpośredni kontakt z nami – dziećmi i ministrantami. Zapamiętałem ich poświęcenie w pracy duszpasterskiej szeroko rozumianej. W tamtych trudnych realiach tymi cechami, taką postawą umieli przyciągnąć do Serca Jezusowego.

Dziś wiem, że było to praktyczne naśladowanie ojca Dehona, który nazwany był „bardzo dobrym ojcem”. Tak, moją dziecięcą intuicją, odbierałem postawę jego duchowych synów, tutaj w Płaszowie. Oni swoim przykładem pociągnęli mnie do Zgromadzenia.

W latach liceum poznałem kolegów z wielu zakonów, którzy maturę jak ja zdawali u ojców pijarów. Miałem możliwość związać swe życie z kilkoma zakonami, bo koledzy

mnie zachęcali, ale ta otwartość sercanów, to ich „serce na dłoni” zwyciężyło i było mocniejsze od licealnych przyjaźni.

Pociąga mnie idea życia ofiarnego. Widziałem ten przykład u sercanów i sam przez 50 lat życia zakonnego staram się, tak jak mnie tego uczono, żyć duchem miłości i wynagrodzenia. Podejmuję się wypełniać wyzwania, jakie stawiało i stawia do dziś przede mną Zgromadzenie.

Obserwowałem, jak w trudnych warunkach księża znani mi z Płaszowa ofiarnie katechizowali, jechali na re-

*Miłość, ofiara i wynagrodzenie
– te słowa mam
wygrawerowane na krzyżu,
który jako misjonarz noszę
od ponad 40 lat.*

kolekcje i misje. Byłem świadkiem, jak pierwsi misjonarze wyjeżdżali na misje do Indonezji. Wraz z parafianami z Płaszowa autokarem odwoziłem ich do Katowic, skąd pociągiem jechali do Wiednia

i dalej... W mojej dziecinnej głowie był nieklamany podziw dla ich poświęcenia i ofiary, bo przecież wtedy taki wyjazd to był jakby „na śmierć”. Oni byli pierwsi, nikt wcześniej nie wyjechał. Jedna wielka zagadka: co z tego będzie? Czy wrócą? A oni się zdecydowali. Duch ofiary!

W moim kapłaństwie jestem misjonarzem, ale krajowym. Staram się, by dawać całego siebie w tej posłudze, by mówić całym sobą oraz podejmować trud podróży i wszelkie niespodzianki na parafiach.

Zawsze pamiętam, że ojciec Dehon żył i pokazał ducha żertwy, ducha ofiary, ducha poświęcenia, ducha immolacji. Staram się o tym zawsze pamiętać, bo uważam, że ten

rys jest fundamentem naszego charyzmatu. Owszem, miłość, ale jej konkretem jest ofiara i ta dopiero prowadzi do wynagrodzenia.

Miłość, ofiara i wynagrodzenie – te słowa mam wygrawerowane na krzyżu, który jako misjonarz noszę od ponad 40 lat. Staram się o nich pamiętać i wcielać je w moją posługę tak długo, jak Serce Jezusa pozwoli.

Ks. Zdzisław Pławecki SCJ, Makau

Zachwyty nad Bożą miłością

Gdy wstępowałem do Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego nie znałem w ogóle ojca Leona Jana Dehona. Było to spowodowane faktem, że moją decyzję o wstąpieniu do Zgromadzenia podjąłem tydzień przed pójściem do postulatu. Było to związane z moją „umową” z Panem Bogiem otrzymania jakiegoś znaku potwierdzającego Jego wolę odnośnie do mojego powołania. Tym znakiem było spotkanie z ks. Bernardem Kuklińskim, który pokierował mnie do Zgromadzenia.

W postulacie pierwsze spotkania z ojcem Założycielem, poprzez konferencje na jego temat, zachwyciły mnie jego osobą. Jego oddanie w służbie Sercu Jezusa było wielką wartością dla mnie. Sam też pochodzę z parafii Serca Jezusowego, stąd kult Bożego Serca był mi już bliski. W centrum życia ojca Dehona był zachwyty nad miłością Boga wyrażoną w Sercu Jezusa otwartym na krzyżu z miłości do wszystkich ludzi.

Czytając dzieła ojca Dehona nieustannie odnajdywałem potwierdzenie tej fundamentalnej postawy zachwyty

nad Bożą miłością. Było też jednak coś, co mnie irytowało, a mianowicie powtarzające się wyznanie ubolewania nad jego niewiernością wobec natchnień Ducha Świętego, nad marnowaniem wielu łask Bożych. Jednak po wielu latach doświadczenia życia zakonnego, kapłańskiego i misyjnego zrozumiałem to doświadczenie ojca Założyciela i w zasadzie odkrywam siebie w tej samej sytuacji. Też mam coraz większą świadomość utracenia wielu łask Ducha Świętego i Jego natchnień. Zdaję sobie sprawę, że łaska Boża mogłaby zdziałać o wiele więcej w moim życiu, gdyby spotykała się z nieustanną otwartością i wiernością z mojej strony, w tej komunikacji jedności z Sercem Jezusa w Duchu Świętym.

Po ponad 30 latach życia charyzmatem ojca Założyciela w centrum mojego życia jest doświadczenie ogromu i darmości Bożej miłości.

Uważam, że jest to fundamentalna rzeczywistość naszego charyzmatu: jak najlepsze przyjęcie miłości Boga, by wzrastać w jej doświadczeniu i móc dzięki

W centrum życia ojca Dehona był zachwyt nad miłością Boga wyrażoną w Sercu Jezusa otwartym na krzyżu z miłości do wszystkich ludzi.

temu być apostołem Bożej miłości. To doświadczenie Bożej miłości otrzymałem ze szczególną mocą w czasie ignacjańskich rekolekcji w nowicjacie. Doświadczenie to jest nieustannie fundamentalne dla mojego życia i pozostaje nieustannym źródłem wiary, miłości i nadziei. Źródło to jest ciągle żywe i prowadzące do kolejnych doświadczeń miłości Boga objawianej w Sercu Jezusa.

To doświadczenie prowadzi do kolejnego aspektu naszego charyzmatu, którym jest dyspozycyjność wyrażona w *Ecce venio* i *Ecce ancilla*. Wyraża się ona konkretnie w otwieraniu serca na prowadzenie Ducha Bożego, kierującego mnie ku życiu misjonarskiemu. W dniu święceń kapłańskich zarzekałem się wobec ks. Antoniego Osowskiego, że na pewno nie pojedę na misje do Afryki. Jednak w czasie mojej posługi jako wikariusz, najpierw w Bełchatowie, później w Gołębiewie, starałem się rozeznawać wolę Bożą, która ostatecznie poprowadziła mnie do napisania prośby o wyjazd na misje. Głównym motywem mojej decyzji była chęć jak najpełniejszego oddania mojego życia Bogu, poprzez głoszenie miłości Serca Jezusowego.

W czasie mojej posługi misjonarskiej w Kamerunie doświadczałem coraz bardziej wagę czasu spędzonego na adoracji i medytacji biblijnej, które są niezbędne w kształtowaniu wierności charyzmatowi ojca Założyciela. Adoracja i codzienna medytacja stały się dla mnie filarami mojego sercańskiego życia, prowadząc do wierności w przeżywaniu Eucharystii i do nieustannego pogłębiania duchowości eucharystycznej, tak drogiej ojcu Dehonowi.

W Kamerunie także miałem kontakt ze wspólnotą trapistów, co zrodziło we mnie pragnienie jeszcze większego oddania Bogu. Rozumiałem to wtedy jako życie całkowicie oddane modlitwie i pracy na wzór życia monastycznego. Zachęcony przez mojego spowiednika, poprosiłem o możliwość rocznego doświadczenia życia monastycznego. W czasie tego doświadczenia we Francji została mi

dana łaska głębszego zrozumienia, na czym polega życie całkowicie poświęcone Bogu. Usłyszałem w sercu głos mówiący do mnie, że to nie ja mam dyktować, jak ma wyglądać życie zakonne, tylko mam się całkowicie otwo-

ryzyć na przyjęcie życia, tak jak ono się przedstawia. W ten sposób zostałem uwolniony od mojego wyidealizowanego obrazu życia zakonnego. Byłem wówczas gotowy, aby zostać członkiem zakonu monastycznego, tymczasem, ku

mojemu zdumieniu, otrzymałem wewnętrzną wskazówkę do odnowionego życia w naszym Zgromadzeniu. To doświadczenie dało mi do zrozumienia, że wolą Bożą jest moje bycie sercaninem. Ojciec Niebieski udzielił mi łaski takiej wewnętrznej wolności, że pełnienie woli Bożej stawało się największą radością, bez lęku wobec konieczności umierania dla własnych pragnień czy oczekiwań.

Postawa *Ecce ancilla* Maryi stawała się dla mnie coraz bardziej wyraźna. Gdy w 2015 roku odbywała się w Rzymie kapituła generalna, Polską Prowincję poproszono wtedy o pomoc osobową dla misji we Włoszech, Chile lub Chinach. Pomyślałem, że czas, by ponownie wyjechać na misję. Mój wybór padł na Chile ze względów językowych i też odległość od Polski. Włochy były za blisko, Chiny niemożliwe do zrealizowania. Podczas rozmowy z wika-

Usłyszałem w sercu głos mówiący do mnie, że to nie ja mam dyktować, jak ma wyglądać życie zakonne, tylko mam się całkowicie otworzyć na przyjęcie życia, tak jak ono się przedstawia.

riuszem prowincjalnym, ks. Dariuszem Salamonem, zgłosiłem swoją gotowość na wyjazd do Chile. Po wysłuchaniu mnie, przedstawił mi on projekt w Chinach. Jako że nie było jeszcze żadnego chętnego współbrata z Polski, po krótkim namyśle wyraziłem swoją gotowość wyjazdu na tę misję, nie zdając sobie sprawy z powagi tego wyzwania. Misja ta okazała się naprawdę wielkim wyzwaniem, a szczególnie trudne były początki uczenia się języka chińskiego. Jednak doświadczenie obecności Jezusa pośród wielokrotnie doświadczonej niemocy i trudności, była tak ewidentne, że nieustannie dziękuję Bogu za poprowadzenie mnie ku misji w Chinach. Wielką próbą okazała się także niepewność tego projektu misyjnego ze względu na specyfikę tego kraju. Kilkakrotne zmiany wymuszone przez okoliczności wraz z pandemią, którą przeżyłem w Makao, uczyły mnie całkowitej otwartości na prowadzenie przez Bożego Ducha. Owocowało to wchodzeniem w naszą sercańską duchowość wynagrodzenia, to znaczy ofiarowywania każdej chwili codzienności Sercu Jezusowemu. Były bowiem momenty, kiedy jedynie to ofiarowanie w duchu miłości i wynagrodzenia każdej chwili nadało sens pełnionej misji.

Dziękuję Bożemu Sercu za dar powołania do życia zakonnego w Zgromadzeniu Księży Sercanów i chęć nieustannie pogłębiać życie charyzmatem zostawionym nam przez ojca Leona Jana Dehona.

Ks. Zdzisław Płuska SCJ

Być prorokiem miłości Bożego Serca

Moje sercańskie powołanie ukształtowały dwa inspirowane zdania naszego Założyciela, ojca Leona Dehona: „Bądźcie prorokami miłości i sługami pojednania” oraz „Idźcie, dajcie poznać światu miłość Najświętszego Serca Jezusowego”. Ten drugi cytat towarzyszył mi już w dniu moich święceń kapłańskich: był wypisany jako motto na obrazku prymicyjnym.

Dziś dostrzegam, jak Boży plan realizuje się w moim kapłańskim i zakonnym życiu, szczególnie w posłudze misjonarza i rekolekcjonisty. Wspomniane słowa Założyciela stały się dla mnie osobistym drogowskazem, nadającym treść mojej codzienności.

Z woli przełożonych od kilku lat kieruję grupą misjonarzy krajowych. Czuję się spadkobiercą bogatego dziedzictwa księży, którzy ponad 75 lat temu z pasją tworzyli sercańskie dzieło misji i rekolekcji, na czele z pierwszym dyrektorem grupy, księdzem Wincentym Turkiem. Jestem

przekonany, że to trwające od tylu lat dzieło, będące jedną z pierwszych inicjatyw naszej Prowincji, jest szczególną łaską Serca Jezusowego dla naszego Zgromadzenia i dla całego Kościoła.

Można powiedzieć, że z czasem staliśmy się w pewnym sensie specjalistami od misji intronizacyjnych Serca Jezusowego. Choć osobiście nie znałem wielu pionierów naszej misyjnej działalności, to często słyszałem o ich nieustrudzonej pracy, o przygodach podczas głoszenia kazań, o licznych nawróceniach i o trudnościach stawianych przez ówczesne władze komunistyczne, które z nieufnością obserwowały tę formę kościelnej aktywności.

Szlify kaznodziejskie zdobywałem, uczestnicząc w misjach i rekolekcjach u boku doświadczonych współbraci. Miałem zaszczyt pracować z dwoma byłymi dyrektorami

Staram się, aby głoszone przeze mnie Słowo Boże wyływało z osobistego doświadczenia. Wiem, że powinienem być świadkiem tego, co głoszę.

grupy: z ks. Maciejem Moskwą i ks. Tadeuszem Gniewkiem. Od nich uczyłem się szacunku dla wypracowanych przez poprzedników metod pracy, które z chęcią mi przekazywali. Pamiętam moje

pierwsze misje parafialne w Myślenicach z ks. Moskwą, pierwsze misje intronizacyjne w Bydgoszczy, gdzie przewodnikiem był ks. Gniewek, oraz posługę w Policach, gdzie cenne rady otrzymałem od ks. Pietrzaka.

Wypracowane przez lata schematy nabożeństw misyjnych świadczą o bogatym doświadczeniu i entuzjazmie,

z jakim sercane od ponad 75 lat głoszą Bożą miłość podczas rekolekcji i misji, zawierając parafie i rodziny Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Do dziś czerpiemy z tego dziedzictwa, które wciąż pozostaje aktualne.

Staram się, aby głoszone przeze mnie Słowo Boże wypływało z osobistego doświadczenia. Wiem, że powinienem być świadkiem tego, co głoszę. Doświadczam, że najlepsze kazania rodzą się na adoracji Najświętszego Sakramentu. To czas wsłuchiwania się w Tego, którego mam głosić innym. Jezus pragnie, abym najpierw sam przyjął Jego Słowo, nosił je w sercu, a następnie je „urodził”. To jest takie „chodzenie” ze Słowem Bożym, które kształtuje kaznodzieję od wewnątrz.

Pragnę pozostawać otwartym na potrzeby ludzi, do których idę z Ewangelią, poznawać ich oczekiwania. To warunek, by dotrzeć zarówno do ich serc, jak i umysłów, by moje słowa były jasne i zrozumiałe.

Ks. Robert Ptak SCJ

Pomóż mi, mój Zbawicielu, kochać cię i pracować, abys Ty był kochany (o. Leon Dehon)

Z okazji setnej rocznicy śmierci założyciela naszego Zgromadzenia, sługi Bożego ojca Leona Jana Dehona chciałbym podzielić się moim osobistym świadectwem powołania zakonnego i kapłańskiego. To opowieść, w której nie ja jestem głównym bohaterem, lecz Jezus Chrystus i Jego Najświętsze Serce – prowadzące mnie, przemieniające i nieustannie obecne na mojej drodze.

Wszystko zaczęło się od spotkania

Moja historia ze Zgromadzeniem Księży Najświętszego Serca Jezusowego zaczęła się niepozornie. Był rok 1984. Wciąż uczęszczałem do szkoły średniej, gdy podczas zimowych ferii jeden z kolegów zaprosił mnie na rekolekcje „gdzieś tam” – jak to ujął – do Pliszczyna. Brzmiało to wtedy bardzo tajemniczo, jak wyprawa na koniec świata.

A jednak to właśnie tam, na Lubelszczyźnie, miałem spotkać ludzi, którzy zmienią bieg mojego życia.

Pamiętam dobrze, że tamte rekolcje były dla mnie wydarzeniem, które zaważyło na moim całym życiu i odkryciu mojego powołania. Spotkałem tam ks. Bernarda Kulińskiego SCJ, o którym wcześniej słyszałem w rodzinnej parafii w Dobczycach. To on stał się dla mnie duchowym przewodnikiem i towarzyszem w rozeznawaniu powołania. Wtedy pojawiła się w moim sercu myśl: a może to właśnie ta droga? Może to jest odpowiedź? Nie byłem jeszcze pewien, ale w sercu już zapłonęła iskra.

Zanim jednak dojrzała decyzja o wstąpieniu do Zgromadzenia, przez jakiś czas wahałem się między tą drogą a planami studiowania na AWF lub Politechnice w Krakowie. Pan Bóg pozwolił mi wtedy doświadczyć smaku wolności, ale też i głębi pragnień, które nie dawały się zaspokoić projektami czysto ludzkimi.

Dlaczego właśnie sercanie?

W międzyczasie uczestniczyłem w kolejnych spotkaniach powołaniowych organizowanych przez sercanów. To, co mnie uderzyło i poruszyło to autentyczność ludzi, których spotykałem: ich prostota, życzliwość, pokój. To nie były tylko zewnętrzne cechy – było w nich coś z ducha „Jezusa cichego i pokornego sercem”. Braterskość wspólnot, troska o człowieka, wewnętrzna radość – to wszystko miało dla mnie smak Ewangelii.

Z czasem coraz wyraźniej odkrywałem, że duchowość sercańska – duch miłości i wynagrodzenia Najświętszemu Sercu Pana Jezusa – to nie tylko pobożność, ale powołanie na całe życie. To spojrzenie na świat przez pryzmat otwartego, kochającego Serca Chrystusa, które wzywa nie tylko do adoracji, ale i do konkretnego zaangażowania w świat – do wynagradzania przez służbę, obecność, solidarność, modlitwę i miłość.

Decyzja o wstąpieniu do nowicjatu była dla mojej rodziny zaskoczeniem, ale została przyjęta z powagą i radością. Rodzice od powrotu z moich pierwszych rekolekcji w Pliszczynie zauważyli we mnie dużą przemianę – więcej spokoju, cierpliwości, modlitwy, chęci pomocy w różnych sprawach. Myślę, że Pan Bóg zaczął mnie wtedy naprawdę przygotowywać do drogi, która z ludzkiego punktu widzenia jest wymagająca, ale w świetle wiary – najpiękniejsza.

Kapłaństwo i postuga – serce na wiele sposobów

Po święceniach kapłańskich moją pierwszą placówką była parafia w Bełchatowie. Pracowałem jako wikariusz i katecheta w szkole podstawowej, przygotowując aż 11 klas do Pierwszej Komunii Świętej. To był czas uczenia się bycia duszpasterzem – obecnym, słuchającym, odpowiadającym na konkretne potrzeby.

Potem przyszły kolejne etapy. Zostałem skierowany do pracy w naszym wydawnictwie w Krakowie, gdzie pełni-

łem m.in. funkcję dyrektora. Następnie służyłem jako asystent prowincjała, przełożony domu zakonnego w Warszawie, wicerektor i rektor seminarium w Stadnikach, a także wykładowca teologii dogmatycznej – zarówno na UKSW w Warszawie, jak i w naszym WSM w Stadnikach.

Każde z tych miejsc i zadań było inne, ale wszystkie miały wspólny mianownik: służyć z sercem. Uczzyć z sercem. Przewodzić z sercem.

Wymagało to – i wciąż wymaga – nieustannego nawracania się do Serca Chrystusa, który jest cichy i pokorny.

Od 2017 roku posługuję w Domu Watykańskiej Fundacji Jana Pawła II w Lubli-

nie. Jako wicedyrektor współkoordynuję program stypendialny dla młodzieży z Europy wschodniej, studiującej na KUL-u. Codziennosc tej posługi przypomina życie na małej, akademickiej parafii – z duszpasterstwem, katechezą, rozmowami, wspólnym przeżywaniem różnych uroczystości, ale także z wyjazdami zagranicznymi i wizytami gości niemal z całego świata. Dodatkowo wspieram duszpastersko pobliskie parafie prowadzone przez sercanów.

Duchowość sercańska – duch miłości i wynagrodzenia Najświętszemu Sercu Pana Jezusa – to nie tylko pobożność, ale powołanie na całe życie.

Duchowość, która inspiruje

Charyzmat ojca Dehona, związany z duchem miłości i wynagrodzenia wobec Bożego Serca, a wyrażany dobrze

nam znanymi ideami zawartymi w słowach: *Adveniat Regnum Tuum; Ecce venio; Ecce ancilla; Domine, quid me vis facere?; In Te, Cor Jesu, speravi* – pociąga mnie do dziś. Szczególnie bliskie mi są jego słowa: „Pomóż mi, mój Zbawicielu, kochać Cię i pracować, abyś Ty był kochany”. To zdanie, które wybrałem na mój obrazek prymicyjny, nie straciło nic ze swej aktualności. Przeciwnie – dziś brzmi jeszcze głębiej.

To zdanie streszcza istotę duchowości sercańskiej: miłość i misja. Najpierw: „kochać Cię” – a więc trwać przy Chrystusie, słuchać Jego Serca, jednoczyć się z Jego cierpieniem i radością. A potem: „pracować, abyś był kochany” – a więc nieść tę miłość dalej, tam, gdzie ludzie jej nie znają, gdzie została zraniona, zapomniana.

Dla mnie bycie sercaninem to bycie człowiekiem „duchowej czułości”, człowiekiem adoracji, który nie ucieka od świata, ale idzie w jego środek – z otwartym sercem. I to właśnie najbardziej pociąga mnie w charyzmacie Założyciela – jego mistyka złączona z działaniem, kontemplacja spleciona z zaangażowaniem.

Moje „dlaczego?”

Dlaczego jestem i wciąż pozostaję sercaninem? Bo – jak pisze św. Jan – „myśmy poznali i uwierzyli Miłości, jaką Bóg ma ku nam” (1 J 4,16). To doświadczenie Miłości – żywe, osobiste, przemieniające – jest fundamentem

wszystkiego. Każdy dzień życia zakonnego i kapłańskiego to szansa, by na nowo odpowiedzieć na tę Miłość.

I choć droga nie jest łatwa, a serce ludzkie bywa kruche – wiem, że „Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra” (Rz 8,28). Właśnie dlatego warto.

Dziś, po tylu latach, mogę powiedzieć z głębokim pokojem: jestem sercaninem, bo Serce Jezusa uczyniło mnie swoim. I nic piękniejszego nie mogło mnie spotkać.

Ks. Dariusz Salamon SCJ

Gotowość na plany Bożego Serca

Mogłem zostać lepszym lub gorszym elektrykiem po technikum mechaniczno-elektrycznym, jednak po okresie zastanawiania się doszedłem do przekonania, że pójście drogą powołania kapłańskiego i zakonnego jest najlepszym wyborem, poświęceniem życia dla tego, co jest nieporównywalne z żadnym innym powołaniem, czyli służbie dla zbawienia człowieka. Wiele lat później odkryłem to u Jana Pawła II, który w *Darze i Tajemnicy* napisał: „Przez co człowiek spełnia się bardziej niż przez to, że może codziennie składać *in persona Christi* ofiarę odkupieńczą, tę samą, którą Chrystus złożył na krzyżu?” (Kraków 1996, s. 71).

Oczywiście, powołanie do życia w małżeństwie i rodzinie jest wspaniałe i wzniosłe, ale jeśli Chrystus zaprasza człowieka na tę inną drogę, to jest to niesamowita i niepowtarzalna łaska. I jeśli ma się tylko jedno życie, to absolutnie warto je zainwestować właśnie na tej drodze.

W powołaniu sercańskim jakoś mocno rezonowały w moim sercu i umyśle takie rysy jak dyspozycyjność, posłuszeństwo w duchu Chrystusa i Maryi. Już w nowicjacie powtarzano nam, że najpewniejszą drogą świętości jest pełnienie woli Bożej. Wydawało się to takie proste... Pamiętam z lektury Dorresteina *Życie i duchowość ojca Dehona*, jak mocno był tam podkreślany właśnie rys dyspozycyjności w postawie sercanina, gotowość na to, co nam Bóg zaproponuje. I że ta droga jest ważniejsza niż realizowanie świętości według własnego uznania. Podobne mo-

twywy towarzyszyły nam przez całe seminarium, gdzie często w kazaniach pojawiały się słowa: *Ecce venio* Jezusa i *Ecce ancilla* Maryi. Tak poprzez naszych sercańskich ojców

*Pójście drogą powołania
kapłańskiego i zakonnego
jest najlepszym wyborem,
poświęceniem życia dla tego,
co jest nieporównywalne
z żadnym innym powołaniem.*

(ks. Gawła, ks. Janczaka, ks. Koniora, ks. Wawrzyczka, ks. Wełnę) kształtowała nas łaska Boża i czyniła wrażliwymi na to, czego Pan Bóg od nas oczekuje. Dla mnie osobiście był to zawsze istotny wymiar naszego sercańskiego powołania, a stąd otwartość na to, czego oczekiwali przełożeni, nasza reguła, ale też różne „znaki czasu” były czymś zasadniczym. A jeśli w jakiś sposób człowiek okazywał tu niewierność, to w głębi serca nie czuł się z tym dobrze.

Było przynajmniej kilka takich momentów w mojej sercańskiej historii, gdy trzeba było pójść trochę w ciemno, w obszar odpowiedzialności całkiem nowy, nieznaną. Tak

było w momencie, gdy prowincjał, ks. Tadeusz Michałek, zaproponował, abym został wychowawcą w seminarium. A byłem wtedy zaangażowany w pisanie doktoratu z teologii fundamentalnej. Zgodziłem się i przez kolejne pięć lat byłem magistrem kleryków w Stadnikach. A było ich wówczas jeszcze koło 40, w tym niemal połowa z zagranicy, i to z siedmiu różnych krajów. W dobrej współpracy z ówczesnym rektorem, ks. Janem Strzałką, daliśmy radę. W tym okresie pojawiła się też potrzeba budowy domku nad Soliną, aby mógł służyć klerykom podczas wakacji i nie tylko. I powstał...

Po 5 latach ten sam prowincjał zrobił mi kolejną niespodziankę, bo zaproponował zajęcie się nowym domem wypoczynkowym w Zakopanem (u boku ks. Jerzego Choczaja). Zupełne przestawienie torów na posługę współbraciom i świeckim, którzy przybywali na wypoczynek w góry. Jakimś bonusem było to, że wtedy rozpoczęła się moja przygoda z Tatrami. Niemal w tym samym czasie zaangażowałem się w wędrowne rekolekcje młodzieżowe w Gliczarowie, organizowane przez ks. Bogdana Kutę. Ta przygoda trwała przez kilkanaście lat: latem były rekolekcje wędrowne, a zimą na nartach.

Po krótkim epizodzie zakopiańskim pojawiło się nowe wyzwanie: aby pokierować naszym wydawnictwem i domem zakonnym Kraków III. Pamiętam, że gdy zaledwie po roku przenosiłem się z Zakopanego do Krakowa – znów, zupełnie w ciemno, bo nie miałem przecież przygotowania do pracy w wydawnictwie – czułem się

jak pozbawiony gruntu pod nogami. Czy była to święta obojętność? Trudno powiedzieć. W każdym razie szybko należało zorientować się, o co chodzi z cyklem wydawniczym, z różnymi technicznymi kwestiami... Równocześnie moje myśli zaczęły krążyć wokół struktury naszego domu wydawniczego, możliwości jakiegoś uporządkowania jego przestrzeni, oddzielenia pomieszczeń wydawniczych od zakonnych, uproszczenia komunikacji, tego labiryntu korytarzy, przejść.

Po jakimś czasie udało się stworzyć projekt restrukturyzacji domu z pomocą pana inż. Ireneusza Tatarczucha i znaleźć poparcie prowincja-

Duch Święty potrafi wzbudzać życie tam, gdzie wydaje się ono zamierać. Trzeba Go zaprosić i pozwolić Mu tchnąć to życie w mury i w ludzi.

ła, ks. Tadeusza Michałka, i ówczesnego ekonomy, ks. Zdzisława Koziola. Wobec trudności z rozpoczęciem remontu domu Kraków I udało się przesunąć środki na remont Kraków III. Dzięki temu od sierpnia 2007 roku rozpoczął się remont domu, który został sfinalizowany w roku 2010. Powiem szczerze, że gdy przyszedłem do wydawnictwa, nawet nie przypuszczałem, że uda się przeprowadzić prace na taką skalę i to bez wielkiego rozgłosu, bo niejako w cieniu remontu Kraków I.

Po zakończeniu posługi wikariusza prowincjalnego i krótkim okresie pracy w redakcji *Czasu Serca* znów pojawiła się propozycja, by tym razem zająć się postulatami w Pliszczynie. Chociaż wcześniej byłem wychowawcą kle-

ryków, to jednak postulat był wyzwaniem innej natury: organizacja formacji wstępnej, towarzyszenie kandydatom w rozeznawaniu powołania, trudne przypadki i decyzje. Dobrze, że miałem trochę więcej lat niż kandydaci, którzy przychodzili już nie po maturze, ale w wieku niemal trzydziestu lat. Niestety, spod mojej ręki wyszło tylko dwóch postulantów, którzy doszli szczęśliwie do święceń: ks. Ivan Asauleac i ks. Michał Koźbiał.

Gdy zabrakło wychowanków w postulacie, niemal od razu pojawiła się zupełnie niespodziewana propozycja ze strony ks. prowincjała Wiesława Święcha, aby objąć parafię w Sosnowcu, bo akurat pojawiła się taka potrzeba. Propozycja totalnie mnie zaskoczyła i mocno musiałem się z nią mierzyć, bo w duszpasterstwie pracowałem tylko dwa lata, i to zaraz po święceniach. W duchu wiary i dyspozycyjności poszedłem do Sosnowca dwa dni przed Bożym Narodzeniem 2018 roku. Zaraz po świętach zaczęła się kolęda. A przecież nawet nie znałem topografii osiedla, nie mówiąc o parafianach. Wiele trzeba było się nauczyć i to szybko, nie tylko kancelarii, ale i administracji cmentarza. Do tego poważna renowacja kościoła, ciężki czas covidu. Z Bożą pomocą i zaangażowaniem parafian udało się zrobić dużo dobrego. Przekonałem się, że otwartość na działanie Ducha Świętego sprawia cudowne rzeczy – przede wszystkim daje nowe życie tam, gdzie z jakichś powodów jest wątłe albo zamarło. Tak było chociażby w przypadku tzw. Domku Iskierki, który już od dłuższego czasu stał martwy, zagracony, niepotrzebny. A kiedyś służył

jako dom otwarty dla dzieci, dla ludzi głodnych, potrzebujących wsparcia. Gdy pojawili się migranci z Ukrainy, a konkretnie wielodzietna rodzina zastępcza, parafianie sami zorganizowali remont starego budynku, wyposażyli go i z powodzeniem przez kilka lat służył jako dom dla tej rodziny. Dla wszystkich zaangażowanych w to dzieło była to niesamowita radość, że takie dobro się dokonało.

Gdy już udało się zrealizować pewne projekty duszpasterskie (powstanie nowych grup) i materialne (dokończenie drogi krzyżowej, renowacja wnętrza kościoła, żyrandole, balaski, remont *Iskierek*), trzeba było realizację dalszych planów pozostawić następcy, ks. Tomkowi Flakowi, bo tym razem kolejny prowincjał zaproponował podjęcie się odpowiedzialności za nasze Misyjne Seminarium w Stadnikach. Znowu nie była to łatwa decyzja, bo miałem za sobą zaledwie 3,5 roku pracy w Sosnowcu i już „zagrzałem” tu miejsce i lepiej poznałem parafian.

W seminarium pracowałem już wcześniej jako wychowawca, ale były to wówczas zupełnie inne okoliczności, gdy dom tętnił życiem jeszcze pełnym wychowanków. Teraz, w perspektywie trzech lat, miał się wyludnić z kleryków. Naprawdę trudne wyzwanie: co zrobić z taką potężną strukturą?

Jak napisałem wcześniej, Duch Święty potrafi wzbudzać życie tam, gdzie wydaje się ono zamierać. Trzeba Go zaprosić i pozwolić Mu tchnąć to życie w mury i w ludzi. Na początku należało uporządkować te potężne przestrzenie. Tak się przez lata stało, że tzw. dom główny tylko

częściowo był zamieszkanym przez zakonników, pokoje gościnne na parterze były prawie nieużywane, a niektóre pomieszczenia stały się składami zbędnych mebli. Udało się przeprowadzić remont tej części domu. Aktualnie niemal wszyscy współbracia zamieszkują w głównej części domu, również na parterze. Powstała winda, która łączy komunikacyjnie poziomy od jadalni aż do kaplicy. Na parterze powstała też nowa kaplica dla wspólnoty zakonnej. Martwe dotąd przestrzenie zyskały nowe życie. Stare meble ze zlikwidowanej kaplicy na Słowacji służą teraz w nowej kaplicy, podobnie krzyż, obrazy, tabernakulum... Nowe życie odzyskała również dawna sala kleryków, która po małym doposażeniu służy różnym grupom goszczącym w seminarium.

Mimo że zanikała powoli grupa kleryków, jednak powstawały też nowe inicjatywy, które pokazują, że w seminarium życie nie zamarło. Jednym z takich projektów było wskrzeszenie Misterium Męki Pańskiej. Wystawiano je w seminarium przez 29 lat. Przystano je grać, gdy było jeszcze 20 kleryków. W 2024 roku, po 14 latach przerwy, odbyła się nowa premiera Misterium, w którym zagrał jeden kleryk i ponad 40 osób świeckich. Dla mnie było to spełnienie po ludzku „niemożliwego” – ale widać Pan tego chciał i stało się.

Inną inicjatywą, która powstała „od zera” jest Szkoła Biblijna „W Drodze do Emaus”. Uczestniczy w niej około 40 osób świeckich. Trwa już drugi rok, a planujemy kolejne lata. Dzięki temu seminarium pełni nadal funkcję

dydaktyczną. Kleryków aktualnie nie ma, ale są ludzie świeccy, spragnieni wiedzy biblijnej i teologicznej. Do tego doszła Szkoła Liturgii dla lektorów i ministrantów, kino religijne raz w miesiącu, rekolekcje dla siostr czy dla rodzin.

W międzyczasie ważną drogę przebyła też nasza wspólnota zakonna. Jeśli dotychczas głównym nurtem życia seminaryjnego była formacja

i studia kleryków, o tyle teraz to my sami (księża i brat zakonny) staramy się żyć jak wspólnota zakonna w każdym wymiarze – nie tylko modlitewnym i liturgicznym, ale też i troski o dom, obsługę stołów, dyżury na furcie i wie-

le innych obowiązków. To wszystko wyzwała w nas zaangażowanie i odpowiedzialność za nasz dom, za wspólne dobro. Dlatego dla mnie symbolem swoistego rodzenia się na nowo seminaryjnej wspólnoty zakonnej jest właśnie nowa kaplica: może mniej przestronna, ale jesteśmy w niej bliżej siebie i bliżej Pana Jezusa.

Wspomnę jeszcze o pewnym nowym wymiarze aktywności, a mianowicie o zaangażowaniu w katechezę dla osób niepełnosprawnych i starszych w domach pomocy społecznej w Podolanach i Zagórzanach koło Gdowa. Gdy zabrakło tam kapelana, panie dyrektorki zwróciły się do nas z prośbą o cotygodniową katechezę dla swoich pod-

Symbolem swoistego rodzenia się na nowo seminaryjnej wspólnoty zakonnej jest właśnie nowa kaplica: może mniej przestronna, ale jesteśmy w niej bliżej siebie i bliżej Pana Jezusa.

opiecznych. Jako że miałem doświadczenie takiej pracy jeszcze z czasów studenckich w Lublinie, gdzie zaangażowaliśmy się we wspólnoty „Wiary i światła”, dlatego podjąłem się tego zadania. W naszych dokumentach wiele razy jest mowa o pomocy dla maluczkich i ubogich. Trudno więc wymówić się od takiej pomocy, tym bardziej, że daje ona dużo radości i satysfakcji.

Wciąż rozeznajemy jako zarząd domu, co możemy jeszcze zrobić, by jak najlepiej wykorzystać struktury studenckiego domu. Równocześnie mamy przekonanie, że jeśli będziemy otwarci na działanie Ducha Świętego, najpierw w posłuszeństwie, a potem we wspólnym rozeznawaniu, otwarci na współpracę ze współbraćmi, ale też z osobami świeckimi, które wnoszą nowy potencjał w życie Kościoła, wówczas będziemy też świadkami Bożego owocowania i wzrostu. Ufam głęboko, że Pan da nam też nowe życie w postaci powołań, jeśli w duchu wiary podejmiemy aktualne wyzwania.

Jestem wdzięczny Bożemu Sercu, że mogę Mu służyć w moim Zgromadzeniu, razem z innymi współbraćmi. Jestem Mu wdzięczny za drogę, którą mnie prowadzi, mimo moich słabości i grzechów, bo na wiele rzeczy sam bym się nigdy nie zdecydował i nie odważył, a dzięki tym Bożym propozycjom wyrażonym również przez głos przełożonych, mogę czuć się spełnionym i służyć tymi darami, które z hojności Bożej otrzymałem. Wszystko ku chwale Bożego Serca!

Ks. Artur Sanecki SCJ

Zjednoczenie z Chrystusem w Jego miłości

Właśnie w tym roku, 2025, dopełnia się dla mnie 40 lat życia zakonnego w naszym Zgromadzeniu. Wtedy, w roku 1985, gdy składałem pierwsze śluby zakonne, charyzmat sercański wydawał mi się piękny, ale raczej bardziej w sensie inspiracji, wskazówek i tekstów niż w konkretnie codziennego życia. Upływające lata przyniosły może mniej natchnień niż czas formacji początkowej, ale za to na pewno jedno: to, co można by nazwać „zżyciem się” z charyzmatem - z tym, co jak myślę, ważne jest na naszej drodze.

Najpierw może spojrzenie na założyciela, ojca Dehona. To, co coraz bardziej w nim odkrywałem, gdzieś po drodze życia i apostołatu to jego szczerość i zdecydowanie w ukierunkowaniu życia. Radykalizm wyboru Pana Jezusa, a jednocześnie tak „ludzki” styl bycia, że nazywano go spontanicznie „dobrym Ojcem” (Bon Père). Owa „całkowitość” oddania Bogu i „Dziełu” – jak lubił nazywać Zgromadzenie – wraz z jego wytrwałością i tak różnorod-

ną kreatywnością w służbie Królestwu Bożemu, to wszystko ma wciąż mocny potencjał przekonywania innych, że za tym wszystkim stał i stoi sam Bóg.

Każdy sercanin wie, że wszystko to było u Dehona możliwe dzięki jedności z Sercem Jezusa, którą otrzymał jako łaskę, ale i której starał się tak intensywnie być wiernym w szarości dnia codziennego. Jego modlitwy, jego adoracje Najświętszego Sakramentu, jego plany życiowe i ich mozolna realizacja – zdumiewające, jak wszystko to udało mu się zjednoczyć w tym jednym: jedności z Chrystusem. Nie mam wątpliwości, że to już sprawa szczególnej łaski, charyzmatu. Charyzmatu, który przekazał i nam, swoim zakonnikom. Lubię wracać w osobistej modlitwie do 17. punktu naszej *Reguły życia*, który tak prosto i jasno mówi o tym, łącząc wyraźnie nasze powołanie z powołaniem ojca Dehona: „Jako uczniowie ojca Dehona pragniemy ze zjednoczenia z Chrystusem w Jego miłości ku Ojcu i ludziom uczynić zasadę i centrum naszego życia”. Zasada prosta, ale wejście w głębię pokładów jej znaczenia i próby jej realizacji, to już zupełnie inna bajka. Myślę jednak, że na różnych etapach naszej drogi życiowej i duchowej, punkt ten może podpowiadać wiele co do kierunku życiowych wyborów.

Otwartość na różnorodny typ apostołatu to także ciekawy rys naszego charyzmatu w Kościele. Na pierwszy rzut oka może utrudniać określenie naszej tożsamości. Myślę jednak, że w dłuższej perspektywie, jeśli jest połączony z uwagą na naszą duchowość, może być bardzo

kreatywny i pomagać wciąż w odkrywaniu nowego oblicza powołania sercańskiego w Kościele i społeczeństwie.

W tym kontekście jakoś wyraźniej zapisały mi się w pamięci słowa Dehona z jego *Zapisków codziennych*:

„Prawda i miłość były dwiema wielkimi pasjami mojego życia i mam tylko jedno pragnienie, a mianowicie, aby były to jedyne dwie wartości dzieła, jakie mogę pozostawić, jeśli tak spodoba się Bogu” (L. Dehon, *Notes Quotidiennes*, III, 29.03.1887).

W moim przypadku dotychczasowa droga powołania prowadziła mnie w większości poprzez sektory formacji, apostołatu intelektualnego i różnorodnych posług w administracji Zgromadzenia, przeplatanych jedynie okresową pracą duszpasterską. Z czasem przekonałem się jednak, że chęć „dorastania” do realizacji tych wytycznych Założyciela w tego typu posługach może być równie wymagająca, co i w codziennej pracy z setkami wiernych. I co więcej, ucząc się na własnych błędach

– i nie tracąc typowej dla Dehona *confiance*, zaufania Bożemu miłosierdziu – może bardzo pomóc w rzeczywistej integracji z tym, co nazywamy naszą duchowością czy wręcz charyzmatem.

Z czasem przekonałem się jednak, że chęć „dorastania” do realizacji tych wytycznych Założyciela w tego typu posługach może być równie wymagająca, co i w codziennej pracy z setkami wiernych.

Na koniec nie sposób pominąć innej, pięknej cechy sercańskiego stylu życia: *Sint unum*. To na pewno cecha naszej duchowości, ale też

i charyzmatu, bo przecież jest tak ważna w naszej posłudze apostołskiej, a niejednokrotnie pomaga wręcz określać cele naszego apostołatu. Ponadto dodaje koloru, tego jaśniejszego, do naszego życia wspólnego. Nieraz się o tym przekonywałem, zarówno w naszej Polskiej Prowincji, jak i w różnych innych miejscach życia i pracy sercanów. Choć w poszczególnych miejscach na świecie różnić się możemy w opcjach apostołskich (czy nawet w nazwie Zgromadzenia!), ta piękna cecha daje często znać o sobie w gościnności, ofiarowaniu swojego czasu i gotowości do konkretnej pomocy. Trudno nie dostrzec w tym czegoś więcej niż tylko zwyczajowej, „rodzinnej” uprzejmości. Widzę w tym raczej to, o czym mówi *Reguła życia*: „Przez naszą jedność, mimo powstających konfliktów, i przez wzajemne przebaczenie pragniemy dać świadectwo, że braterstwo, którego ludzie pragną, jest możliwe w Jezusie Chrystusie i że chcemy być jego sługami” (nr 65). Brzmi to może trochę zbyt podniosłe, ale w konkretnie życia oznacza, że – mimo iż różnimy się czasem tak radykalnie w opiniach i charakterach – w rzeczach ważnych nigdy nie odmówimy sobie szczerzej próby zrozumienia i wzajemnego wsparcia. A jubileuszowe świętowanie to pewnie jeszcze jedna okazja, by tę i inne cechy naszego charyzmatu na nowo odkrywać.

Ks. Andrzej Sawulski SCJ

Poznanie i doświadczenie dobroci Jezusa

Jako młody ksiądz miałem okazję mieszkać w Domu Macierzystym w Krakowie, m.in. z jednym z pierwszych sercanów w Polskiej Prowincji, ks. Wincentym Turkiem. Kiedyś ośmieliłem się go zapytać, czy jest szczęśliwy w swym powołaniu? Usłyszałem, że zawsze powołanie do kapłaństwa czy życia zakonnego pozostanie tajemnicą, którą niełatwo wyjaśnić i być może po tamtej stronie coś więcej się dowiemy, dlaczego ja, a nie mój kolega, zostałem księdzem. Drążyłem dalej. To czemu do sercanów, a nie franciszkanów, czy innych? „To również trudno pojąć, choć ma się już wiek sędziwy. Jednak najważniejsze jest to, by wierzyć, że nad wszystkim jest Ten, który daje taką łaskę, a każdy ma swoją historię powołania”.

Pamiętam te słowa do dziś. Są zwyczajne, szczerze, nie budujące wokół powołania aureoli niezwykłości. Po 45 latach życia w Zgromadzeniu sercanów myślę podobnie, jak darzony szacunkiem, zasłużony płażowski duszpa-

sterz i misjonarz krajowy. Jego słowa współbrzmia z tym, co napisał papież Jan Paweł II w książce *Dar i Tajemnica*. I podobnie było w moim przypadku, bowiem wielu z mojej parafii było zapraszanych na spotkania, dni skupienia przez sercanina, a na dłużej zostałem tylko ja.

Co mnie motywowało na początku i co dalej jest źródłem trwania w powołaniu, to przede wszystkim poznanie

*Wciąż jestem zaskoczony
swym powołaniem, wciąż
jestem wdzięczny za nie,
wciąż jest ono dla mnie
tajemnicą i wciąż chcę być
w Zgromadzeniu, którego
charyzmat jest jednym
z najpiękniejszych w Kościele.*

i doświadczenie dobroci Jezusa. Odkryłem ją także w latach formacji w ojcu Dehonie i dziele, które stworzył, by także innych zauroczyła miłość Serca Jezusa. Pomyślałem, że to piękna rzecz, by dzielić się tym skarbem, który jest aktualny w każdym czasie i w każdym miejscu. A drugą

rzeczą, która mnie ujęła, to idea wynagrodzenia i jego wrażliwość na zło, zwłaszcza wobec tych najsłabszych. Staram się o tym pamiętać i uwzględniać w swym zaangażowaniu na różnych polach działalności.

Może to zabrzmie dziwnie, ale obecnie bardziej odczytuję sens słów, jakie zamieściłem na moim obrazku prywicyjnym z Księgi Mądrości: „Oby Bóg dał mi słowa odpowiednie do myśli, a myślenie godne tego, co mi dano” (Mdr 7,15). Dlaczego? Ponieważ niemal od początku drogi kapłańskiej i zakonnej w moim zaangażowaniu jest obecne słowo pisane i mówione. Ojciec Założyciel przykła-

dał wielką wagę do przekazu słowa, a miał do dyspozycji w swych czasach jedynie druk i ambonę. Obecne czasy poszerzyły możliwość dotarcia do odbiorcy Bożego słowa, ale również słowa niosącego inną treść. Cieszę się, że mogłem włączyć się w konkretne dzieło powołania czasopiśma (*Czasu Serca*) i wydawnictwa (*Dehon*), które trwają do dzisiaj.

A podsumowując to krótkie świadectwo, przypominają się słowa św. Pawła, odnoszące się do powołania, że ów skarb „nosimy w naczyniach glinianych, aby z Boga była owa przeogromna moc, a nie z nas” (2 Kor 4,7). Wciąż jestem zaskoczony swym powołaniem, wciąż jestem wdzięczny za nie, wciąż jest ono dla mnie tajemnicą i wciąż chcę być w Zgromadzeniu, którego charyzmat jest jednym z najpiękniejszych w Kościele.

Ks. Kazimierz Sławiński SCJ

Dehon: człowiek głębokiej wiary i heroicznego zawierzenia miłości

Może to wydać się komuś dziwne, ale w moim wypadku (choć nie była to odosobniona sytuacja), gdy wstępowałem do sercanów w bardzo młodym wieku, nie wiedziałem prawie nic o Zgromadzeniu ani nie słyszałem nigdy imienia jego założyciela. Jako dziecko i potem młodzieniec, zetknąłem się z kilkoma księżmi, głoszącymi rekolekcje czy okolicznościowe kazania w rodzinnej parafii i wiedziałem, że byli zakonnikami, ale nigdy nie dotarło do mnie, że byli to sercanscy misjonarze ludowi. To uświadomiłem sobie później. Czy więc znalazłem się w Zgromadzeniu Księży Sercanów z przypadku? Na przestrzeni długich lat pobytu w Zgromadzeniu coraz mocniej uświadamiałem sobie, iż to nie był przypadek czy zbieg okoliczności, że poznałem kolegę, który zachęcił mnie do wstąpienia razem z nim do sercanów. Dziś z pewnością mogę powiedzieć, że to Pan kierował sprawami.

Wszystko więc, co dotyczy sercanów i ojca Dehona, rozpoczęło się dla mnie dopiero w postulacie i nowicjacie. Należałem wtedy do tych szczęściarzy, dla których pierwszym i nieocenionym przewodnikiem na drodze przybliżania sylwetki Założyciela i implantacji jego ducha we mnie był nie kto inny jak wielki i niepowtarzalny ks. Władysław Majka, jeden z pierwszych polskich sercanów i pierwszy polski mistrz nowicjatu. Pod jego kierunkiem przeżyłem wraz z innymi ten niezapomniany okres zapoznawania się z osobą Założyciela i jego charyzmatem.

Ksiądz Władysław Majka, można to śmiało powiedzieć, był zauroczony osobowością ojca Dehona. Opowiadał o nim i jego dziele z wiel-

kim zaangażowaniem i pasją, ukazywał wiele interesujących szczegółów z historii naszych początków, co dla nas było tym bardziej zapadające w pamięć i serce, że pochodziło od

Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie bez odnalezienia tego wielkiego człowieka i założonego przezeń Zgromadzenia.

wiarygodnego świadka, gdyż, jak sam mówił, miał to szczęście wstąpić do Zgromadzenia jeszcze za życia ojca Dehona, a zwłaszcza być obecnym przy jego śmierci. W ogóle trzeba powiedzieć, że ks. Majka był właściwie jedynym źródłem poznawania historii Założyciela i jego duchowości, gdyż w tamtym czasie w nowicjacie mieliśmy do użytku w języku polskim właściwie tylko *Thesaurus* (wydanie matrycowe) i świeżo przez ks. Majkę wydane (również systemem matrycowym) *Życie miłości i wynagro-*

dzenia. Pozostała dostępna po polsku literatura nowicjaska dotyczyła życia zakonnego i spraw duchowych w ogólności. To, czym dzisiaj dysponujemy na temat historii i duchowości naszego Zgromadzenia, można chyba porównać do przeskoku, jaki w świecie dokonał się po wynalezieniu Internetu.

Wszyscy, którzy osobiście znali ks. Majkę z pewnością potwierdzą, że był on szczególnie zatroskany o punktowanie w swoim przekazie istotnej treści ducha ojca Założyciela, zawartej w słowach: „miłość” i „wynagrodzenie” oraz „oblacja” i „życie żertwy”. W konferencjach na te tematy ukazywał wzorcową sylwetkę ojca Dehona, jako człowieka wiary i niezachwianej ufności w miłość Bożego Serca, któremu jako żertwa poświęcił wszystko.

To, co wywarło wtedy na mnie głębokie wrażenie i pozostało na zawsze w pamięci, to obraz ojca Dehona jako człowieka głębokiej wiary i heroicznego „zawierzenia miłości”. Dzięki temu, jak mówił wtedy do nas młodych ks. Majka, mógł ojciec Założyciel przetrzymać wszystko, co go spotykało w życiu. Fascynujące dla nas było wypowiedane i z przekonania płynące *fiat* ojca Założyciela przy każdej okazji, tak radosnej, jak i najbardziej bolesnej, by wspomnieć choćby tak znaczące wydarzenie, jakim było dla niego *consummatum est!* A przecież tego typu doświadczeń było więcej w jego długim życiu.

Ten obraz ojca Dehona, wyniesiony już z nowicjatu, na przestrzeni mojego życia pogłębiał się oczywiście, m.in. poprzez coraz szerszą znajomość źródeł i utrwał, także

przez poznanie szeregu osób w Zgromadzeniu żyjących mocno jego duchem. Nie oznacza to, że w parze z tym szło zawsze, przynajmniej w moim wypadku, coraz gorliwsze realizowanie przejętych od ojca Założyciela wzorów. Dziś z pokorą muszę wyznać przed Bogiem moje w tym względzie braki i niedociągnięcia, chociaż równocześnie pragnę dziękować Bożemu Sercu za udzielone mi powołanie pójścia śladami ojca Dehona. Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie bez odnalezienia tego wielkiego człowieka i założonego przezeń Zgromadzenia, ale jedno wiem, że szczerze pragnę w moim powołaniu sercańskim wytrwać z pomocą łaski Pana i na miarę moich możliwości, codziennie nadal wypowiadać i realizować, choć wychodzi to nieudolnie, akty poświęcenia Bożemu Sercu i zawierzenia Jego Miłości. „*Niebieską polisą* jest nie do pojęcia, ale dzięki miłości możemy pojąć wszystko” – jak napisał ks. Józef Tischner. Wszystko, co wydarzyło się w życiu ojca Dehona można zrozumieć tylko przez miłość Bożego Serca ku temu, który został wybrany, by być dla nas wzorem doświadczania wiary i miłości, i tak pięknie na tę miłość odpowiedzieć. Podobnie jak wielu moich współbraci, doświadczyłem i doświadczam tej miłości ze strony Pana, chociaż gdy idzie o moją odpowiedź na nią, pozostaje mi przede wszystkim liczyć na cierpliwość i przebaczącą miłość Bożego Serca.

Ks. Andrzej Sobieraj SCJ

Swoją barkę pozostawiam na brzegu

Nigdy nie myślałem, że zostanę sercaninem. Chciałem być rekolekjonistą. Kiedy ksiądz Bernard Kuliński głosił rekolekcje u nas w parafii, złowił mnie na tak zwany haczyk. Mówił, że nie jestem za stary, aby zostać sercaninem. Miałem wówczas 24 lata i pracowałem. Byłem dobrym fachowcem, elektronikiem przemysłowym w Stomilu Dębica. Zawód radiomechanika przejąłem po tacie. Gdy oznajmiłem, że wstępuję do klasztoru sercanów, nie od razu spotkało się to z akceptacją mamy. Chociaż od strony taty było już dwóch księży w rodzinie, a babcia (mama taty) była w straży honorowej Serca Jezusa.

Pamiętam taką sytuację, gdy przyjechał do naszego domu jeden z sercańskich profesorów po opony do samochodu. Były to czasy, kiedy wszystko się „załatwiało”, a ja jako pracownik Stomilu Dębica miałem możliwości załatwienia opon do samochodu. Właśnie wobec tego profesora moja mama wypowiedziała słowa, które mocno mnie

poruszyły: „Andrzej bardzo ukochał Serce Jezusa”. Byłem zdumiony, ale jednocześnie zadowolony.

Być może jakiś wpływ duchowy na mój wybór Zgromadzenia Księży Sercanów miała również pani Helena, Francuzka z Saint-Quentin, mama mojego kolegi, mająca aktualnie 95 lat.

Ważnym etapem mojego życia była praca na Ukrainie przez 24 lata w trudnej parafii Bykówka, gdzie mogłem realizować słowa Założyciela, abyśmy byli prorokami miłości i sługami pojednania. Dużym wyzwaniem była dla mnie praca w biurze dobroczyńców w Krakowie. Obecnie wróciłem do pracy na parafii, gdzie mogę służyć ludziom swoim kapłaństwem.

Ks. Jan Strzałka SCJ

Herbata w szklance z czerwonym koszyczkiem

Do Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego wstąpiłem w lipcu 1979 roku. Rok później, we wrześniu, złożyłem pierwsze śluby zakonne i rozpocząłem drogę życia konsekrowanego. Od prawie 40 lat cieszę się darem Chrystusowego Kapłaństwa. Jestem bardzo szczęśliwy, że przed laty stanął Pan Jezus nad brzegiem mojego Jeziora Galilejskiego i zaprosił mnie do współpracy z Nim w dziele głoszenia Dobrej Nowiny.

W sercu noszę głęboką świadomość tego, że moje życie i powołanie są darem Pana Boga i owocem modlitwy i cierpienia mojej mamy. Dwie siostry, które przyszły na świat przede mną, wracały do nieba już po kilku miesiącach życia na ziemi. Kiedy więc ja miałem przyjść na świat, moja mama udała się na zamknięte rekolekcje do Ciężkowic, koło Tarnowa, aby wypraszać dla mnie dar życia.

Wspominam o tym, gdyż jestem głęboko przekonany, że moje życie zostało właśnie w Ciężkowicach ofiarowane

przez mamę Panu Bogu i tam tkwią początki mojego powołania. Mama powiedziała mi zresztą wiele lat później, że bardzo się modliła w ciszy swojego serca, abym w przyszłości został kapłanem.

Wydaje mi się, że księdzem chciałem być od wczesnego dzieciństwa, a na pewno od czasu, kiedy przyjąłem po raz pierwszy Pana Jezusa do swo-

jego serca i zostałem ministrantem. Jednak o moich planach i marzeniach z nikim nie rozmawiałem, nawet z rodzicami. W tym czasie nic nie wiedziałem o sercanach, o ich Założycielu, a kult Matki Bo-

żej był mi o wiele bliższy niż kult Serca Jezusowego. Wzrastałem bowiem i wychowywałem się religijnie w cieniu sanktuarium Narodzenia Matki Bożej Zawadzkiej, jednego z najliczniej odwiedzanych sanktuariów diecezji tarnowskiej.

Szczególnym nabożeństwem, mającym znaczny wpływ na utrwalenie powołania w moim sercu, była nowenna do Matki Bożej, odprawiana w każdą sobotę miesiąca w kościele parafialnym. Starłem się zawsze brać w niej czynny udział, mimo iż do kościoła miałem dość daleko i trzeba było iść wąską ścieżką przez las. Najpierw towarzyszyła mi mama, a kiedy już nieco dorosłem, chodziłem do kościoła w towarzystwie starszych koleżanek i kolegów.

Chciałbym być człowiekiem o wielkim sercu, w którym jest trochę miejsca dla dziecka, dla osoby młodej czy też w pełni dojrzałej, ale również i dla staruszka.

Po Mszy Świętej zostawaliśmy jeszcze przez jakiś czas w salkach domu parafialnego. Uczestniczyliśmy w różnego rodzaju spotkaniach młodzieżowych, przygotowywaliśmy inscenizacje teatralne, a nawet programy kabaretowe. Zawsze towarzyszyli nam duszpasterze, którzy mieli dla nas czas, dobre serca i ciekawe pomysły.

Z grona tych młodych osób, spotykających się ze sobą „po kościele”, wielu Pan Jezus wezwał do stanu kapłańskiego i zakonnego.

Gdy chodzi o mnie, to przez długi czas przymierzałem się do wstąpienia w mury tarnowskiego seminarium. Miałem tam już swoich kolegów, których co jakiś czas odwiedzałem.

*Chciałbym być kapłanem
o serdecznym uśmiechu, który
potrafi swoje osobiste, trudne
nieraz sprawy, pozostawić
w ciszy własnego pokoju, a do
ludzi wychodzić z przestaniem
nadziei. Chciałbym być
zakonnikiem, który nie
krzyczy na ludzi, który
opanował sztukę dialogu.*

Zachwycało mnie ono dostojnością i ilością maszerujących po korytarzach alumnów, ubranych w czarne sutanny. W tamtym czasie seminarium tarnowskie było najliczniejsze w Polsce. Nie to było jednak miejsce mojego przeznaczenia.

Na początku szkoły średniej poznałem kapłana, sercanina, który głosił w naszej

parafii rekolekcje. Na pożegnanie zaprosił mnie oraz kilku kolegów do odwiedzenia go w Tarnowie, w domu zakonnym, w którym mieszkał. Wielokrotnie skorzystałem z tego zaproszenia w ciągu kolejnych lat, aż do matury.

Przeżyłem tam cudowne chwile. Był czas na modlitwę, poważne rozmowy, radosne spotkania, małe porządki. I był kapłan, który poświęcał nam wiele swojego cennego czasu.

Gdy po latach zapytano mnie, co tak naprawdę zachwyło mnie u sercanów, odpowiedziałem lakonicznie, ale bardzo szczerze: „Herbata w szklance z czerwonym koszykiem, podawana nam przez pewnego księdza w Tarnowie”. Zachwyła mnie atmosfera domu, serdeczność i życzliwość.

Pewnie wielu osobom czytającym tę historię, wydaje się ona dość dziwna. Sam miałem wielkie opory, aby się nią dzielić publicznie. Zazwyczaj bowiem kandydatów do kapłaństwa czy życia zakonnego zachwyca perspektywa takiej czy innej pracy duszpasterskiej, duchowość konkretnej rodziny zakonnej czy jej założyciela. U mnie nie było nic z tych rzeczy.

Była sobota, padał deszcz, a ja razem z kolegą opuszczaliśmy rodzinne strony, rodziców, rodzeństwo, aby udać się w nieznaną, trochę do innego świata, w którym o wiele szybciej spełniają się ludzkie marzenia. A myśmy marzyli, aby jak najszybciej zostać zakonnikami, kapłanami, misjonarzami.

Czas postulatu i nowicjatu był okresem szczególnej łaski Bożej. Pan Jezus pozwalał nam być blisko Siebie, cieszyć się Sobą, napełniać się ogromem Swej miłości. Lata seminaryjne przebiegły również spokojnie. W roku 1986 zostałem wyświęcony na kapłana i jest to moją największą radością do dnia dzisiejszego. A wszystko zaczęło się

przed cudownym obrazem Matki Bożej Zawadzkiej, od cichej modlitwy mamy w domu rekolekcyjnym w Ciężkowicach, i herbaty wypijanej ze szklanki z czerwonym koszyczkiem. Herbaty, za którą nigdy nie przepadałem, i bez której radzę sobie jakoś do dzisiaj. Jakież to wszystko przedziwne. Tylko Pan Bóg potrafił wymyśleć coś podobnego. I chwala Mu za to!

Jak już wspomniałem, od prawie 40 lat jestem księdzem. Inaczej wyobrażałem sobie moje kapłaństwo. Najpierw chciałem wyjechać na misję, potem być wspaniałym duszpasterzem. I kiedy zamarzyło mi się, aby popracować trochę w duszpasterstwie, Pan Bóg szybko sprowadził mnie na ziemię. Najpierw studia w Krakowie i w Rzymie, a po powrocie do Polski przez wiele lat posługa w domach formacyjnych. Najpierw prefekt kleryków, potem mistrz nowicjatu i rektor sarcańskiego seminarium. Obecnie od kilkunastu lat jestem odpowiedzialny za stypendystów Fundacji Jana Pawła II w Lublinie. Za każdym razem, kiedy proponowano mi nową funkcję, czułem lęk i brak należytego osobistego przygotowania do jej pełnienia. Kiedy jednak nalegano, przyjmowałem. Chciałem być choć trochę wierny Samuelowemu zawołaniu, które w porywie młodzieńczej gorliwości wypisałem na obrazku prymicyjnym: „Mów, Panie, bo sługa Twój słucha”. Przyznaję, że po chwilowych wątpliwościach zawsze odnajdywałem pokój serca i radość z nowego zadania. Dlatego uważam się za spełnionego kapłana i zakonnika, choć i mnie życie już doświadczyło i porało trochę różnymi bliznami. Zdaję

sobie sprawę, że młodzi kandydaci do kapłaństwa obserwują nas, wychowawców, i bardziej od wypowiedzianych przez nas słów cenią sobie autentyczność naszych postaw, które niekoniecznie muszą być nieskalane, ale pełne człowieczeństwa i ewangelicznej miłości. Księżom neoprezbiterom najczęściej życzyłem „u rozstajnych dróg”, aby byli choć trochę lepsi od nas, nigdy zaś gorsi. Po latach kapłańskiego i zakonnego życia przyznawali mi, że nie zawsze było to takie proste.

Jaki jest ideał kapłana, zakonnika, sercanina, który noszę w sobie? Przede wszystkim chciałbym być człowiekiem

o wielkim sercu, w którym jest trochę miejsca dla dziecka, dla osoby młodej czy też w pełni dojrzałej, ale również i dla staruszka, któremu coraz trudniej żyć w społeczeństwie postmodernistycznym. Chciałbym być kapłanem

*Chciałbym być księdzem
umiejącym się przyznać
do własnych błędów,
niewstydzającym się dużej łyzy na
prawym policzku i rany, którą
trzeba jak najszybciej zaleczyć.*

o serdecznym uśmiechu, który potrafi swoje osobiste, trudne nieraz sprawy, pozostawić w ciszy własnego pokoju, a do ludzi wychodzić z przesłaniem nadziei. Chciałbym być zakonnikiem, który nie krzyczy na ludzi, który opanował sztukę dialogu, który nie biega od akcji do akcji, który umie się zatrzymać na chwilę, szczerze pomodlić, usiąść w konfesjonale, powiedzieć dobre kazanie. Chciałbym być księdzem umiejącym się przyznać do własnych błędów, niewstydzającym się dużej łyzy na prawym policzku

i rany, którą trzeba jak najszybciej zaleczyć. Chciałbym być księdzem na miarę pragnień, wypowiedanych Bożemu Sercu w kaplicy tarnowskiego domu na trzecim piętrze i na miarę tamtych obietnic, składanych Panu Bogu w nowicjackim ogrodzie, kiedy niebo się rozgwieździło i o wiele łatwiej było marzyć o cudownej przyszłości.

Ks. Jacek Szczygiel SCJ

Dlaczego zostałem i jestem sercaninem?

Wierzę, że powołanie rodzi się w Sercu Boga, zanim jeszcze konkretny człowiek zaistniał na ziemi. Potem następuje tylko stopniowe przedstawianie tego odwiecznego planu – oświecanie pojedynczymi wydarzeniami, myślami, pragnieniami – aż plan stanie się na tyle jasny, aby go zaakceptować i wyruszyć w nieznanne i znane (bo wartości, które zakłada proponowany plan, są w jakiejś mierze znane).

Z odkrywaniem powołania było zatem podobnie jak z pokonywaniem kolejnych etapów drogi na górskiej wędrówce. I tak jest do tej pory. Zasadniczymi momentami, które uświadomiły mi Boże zaproszenie jeszcze zanim podjąłem decyzję o wstąpieniu do Zgromadzenia Księżych Sercanów, były: adoracja Najświętszego Sakramentu w pewien rekolekcyjny dzień w domu zakonnym w Jasienicy; gościnność, to znaczy możliwość stawiania pytań i pozyskiwania odpowiedzi; stawiane wymagania związane

z prostymi pracami; postawiony akcent na zaufanie, to znaczy zaproszenie do wyjścia z domu rodzinnego, pomimo niepewności.

Po latach życia zakonnego i kapłańskiego tym tym co utrzymuje mnie na tej drodze, jest przede wszystkim możliwość intymnego kontaktu z Panem Bogiem w Jego Słowie, na adoracji, w Komunii Świętej, w spowiedzi świętej, w codzienności i spotykanych osobach. Najbardziej ujmuje mnie możliwość zauważenia, że On jest i działa we mnie i poprzez mnie.

Z duchowości Zgromadzenia podoba mi się zaproszenie do poznawania miłości Pana Boga jako coś najbardziej fundamentalnego i ważnego ponad inne postawy i „praktyki”. Ujmuje mnie akcent stawiany na przeżywanie Mszy Świętej i centralność adoracji Najświętszego Sakramentu. Dopinguje mnie zachęta, aby gościnnie przyjmować napotkane osoby i uczyć się trudnej sztuki relacji.

W posłudze duszpasterskiej porusza mnie „owocność” posługiwania w sakramencie pokuty, a także ważność rozmów duchowych i relacji. Porusza mną także wdzięczność za wychowywanie mnie do czystości serca i wyzwalanie od nieczystości. Mam głębokie przekonanie, że oddając zapracowane lub otrzymane pieniądze, nie muszą się martwić o nie, bo dobry Bóg wszystkiemu zaradzi. W posłuszeństwie natomiast zauważyłem prawidłowość, że kolejna posługa rozwija mnie, przygotowuje do następnej i jest wynagradzaniem. W posłuszeństwie porusza też świadomość, że dobry Bóg spełnia marzenia.

Dotyka mnie również świadectwo „skuteczności” wstawiennictwa ojca Założyciela, którego relikwie, za wiedzą księdza prowincjała i ojca generała od czterech lat, „używam” osobom w trudnościach. W zasadzie, odpowiedź na pytanie dotyczące „bycia dalej sercaninem” mogę zamknąć w stwierdzeniu, że rzeczywistość powołania jest po prostu „żywa”.

Ks. Karol Szlezinger SCJ

Głoszenie ewangelii i miłości Najświętszego Serca Jezusowego

Jako sercanin jestem pewny, że charyzmat ojca Dehona jest wciąż aktualny i będzie aktualny, dopóki istnieje świat. Dlaczego? Ponieważ naszą misją jest głoszenie Ewangelii i miłości Najświętszego Serca Jezusa. To miłość Boża nadaje sens, wartość i smak życiu każdego człowieka. Każdy z nas jest stworzony z miłości i dla miłości. Dlatego jako sercanie modlimy się w akcie ofiarowania: „Daj nam serce nowe, podobne do Twego Serca, zdolne do ofiary w dziele głoszenia Twojej Ewangelii i Twojej miłości”.

Jestem bardzo szczęśliwy, że Pan powołał mnie do głoszenia Słowa. Pamiętam, jak na wykładach w seminarium z ust jednego z wykładowców padło stwierdzenie, że głoszenie innym Ewangelii jest najpiękniejszym powołaniem na świecie. Te słowa wprawiły mnie w zdumienie i zachwyty, że rzeczywiście tak jest. Osobiście rozeznając, że to, co daje mi najwięcej gorliwości i chęci do służenia innym jako sercanin, to osobista więź z Panem. Im więcej z Nim

rozmawiam na modlitwie, im więcej rozważam Jego życie, czytam literaturę duchową, słucham konferencji duchowych – tym bardziej pragnę dzielić się tym wszystkim z innymi. To daje mi prawdziwą, wewnętrzną radość. Dlatego oprócz głoszenia Słowa na ambonie czy w szkole – głoszę Słowo również w Internecie. Każdego dnia staram się dawać ludziom strawę duchową poprzez umieszczanie na mojej stronie komentarzy do

Ewangelii, czy inspirujących cytatów ludzi Kościoła.

Jestem pewny, że to właśnie usłyszane Słowo Boże pogłębia moją wiarę i inspi-
ruje mnie do tego, aby gło-

Jestem pewny, że to właśnie usłyszane Słowo Boże pogłębia moją wiarę i inspirowuje mnie do tego, aby głosić to Słowo innym.

sić to Słowo innym. Jednak najważniejsza jest dla mnie modlitwa. To ona sprawia, że Bóg nie jest kimś obcym i dalekim, ale jest bliskim przyjacielem. Niewątpliwie najpiękniejszymi momentami dnia są dla mnie Eucharystia i adoracja Najświętszego Sakramentu. To w Eucharystii mogę ofiarować Panu moje uwielbienie, dziękczynienie, prośby, całe moje życie, wszystkie radości, cierpienia, ale również wszystkie moje sprawy. Natomiast adoracja to czas trwania przy Panu w ciszy, gdzie mogę prawdziwie odpocząć. Myślę, że to jest źródłem siły każdego sercanina, ale i każdego członka Kościoła. To cisza jest czasem, kiedy słucham Boga i przyjmuję Jego ciche natchnienia. Piękne jest to, że Eucharystia i adoracja są dla nas sercanów fundamentem naszego życia zakonnego.

Ks. Paweł Szlezinger SCJ

Naszym powołaniem jest miłość

Ojciec Leon Dehon w Sercu Jezusa upatrywał swój skarb, swoje szczęście i zapowiedź szczęśliwości wiecznej. W swoim Testamencie duchowym pisał do swojej rodziny zakonnej: „Pozostawiam Wam skarb najcenniejszy – Najświętsze Serce Jezusa. Należy Ono do wszystkich, lecz szczególną miłością darzy Księżę Jemu poświęconych, całkowicie oddanych Jego czci, miłości i wynagrodzeniu, którego żądał, jeżeli wierni pozostaną temu powołaniu”. Ojciec Dehon wyraźnie wskazał, że naszą misją w Kościele jest miłość i wynagrodzenie Sercu Jezusa. Charyzmat sercański, który przekazał nam ojciec Dehon, jest tak naprawdę czymś, co możemy śmiało nazwać rdzeniem życia Kościoła, centrum życia chrześcijańskiego, streszczeniem i esencją całej naszej wiary. Cieszę się i jestem wdzięczny Bogu za to, że w swoim Kościele umieścił mnie przy swoim Najświętszym Sercu.

W czasie nowicjatu natrafiłem na zdanie św. Teresy z Lisieux, które bardzo mnie dotknęło i pozostało ze mną do dzisiaj. Święta Teresa napisała: „Jeśli Kościół – Mistyczne Ciało Chrystusa, jest ciałem złożonym z wielu członków, to nie brak w nim członka najbardziej szlachetnego i koniecznego. Kościół ma bowiem SERCE i to serce pała gorącą miłością. Jedynie miłość porusza członki Kościoła. Gdyby miłość wygasła, apostołowie nie głosiliby już Ewangelii, męczennicy nie przelewiliby krwi... Miłość zawiera w sobie wszystkie powołania, jest wszystkim, obejmuje wszystkie czasy i miejsca – jednym słowem miłość jest wieczna”. Czytając te słowa, doszedłem do wniosku, że oddają ono moje odczucia co do bycia sercaninem. Naszym powołaniem jest miłość. Dlatego charyzmat sercański, tak mocno osadzony w kulcie Bożego Serca, a więc Bożej miłości, jest ponadczasowy i nigdy nie straci na swej aktualności. Musimy pozostawać blisko Serca Jezusa, ponieważ to Ono jest źródłem naszego życia i świętości. Jako sercanie jesteśmy umieszczeni w sercu Kościoła, które jest miłością. Mamy nią żyć i głosić ją całemu światu. Jest to wielkie i wzniosłe zadanie, które możemy realizować na różne sposoby.

Posługując już drugi rok po święceniach na parafii, staram się właśnie w takim duchu podchodzić do wszystkich ludzi, wykonywać moje zadania, głosić miłość Bożego Serca z ambony poprzez słowo, ale również „mówić” o tej Miłości poprzez świadectwo życia oddanego Bogu. Jednym z celów sercanów jest gorąca żarliwość apostołska oraz

gorliwość o zbawienie dusz. W naszym *Dyrektorium duchowym* jest wskazanie, aby „wśród różnorodnych prac oddawać się zwłaszcza kaznodziejstwu i nauczaniu”. Zadanie to staram się realizować poprzez ewangelizację w mediach społecznościowych, publikując w sieci kazania, homilie i artykuły o tematyce duchowej. Odczytuję to jako moje szczególne powołanie, a realizując je, czerpię z tego wielką satysfakcję. Wpisuje się to w nasze posłannictwo, o czym tak pięknie pisał ks. Władysław Majka SCJ: „Głosić Boskie Serce Jezusa na ambonie, w konfesjonale, przy stoliku konferencyjnym, w klasie, słowem i piórem. Głosić przy pomocy Apostolstwa Wynagrodzenia, przez nasze czasopisma, nasze wydawnictwa, nasze domy rekolekcyjne, przez misje i rekolekcje przez naszych dawane. Z żarliwością zapożyczoną od św. Pawła Apostoła, głosić wszystkim i wszystkimi dostępnymi nam środkami, bezmiar Jego miłości”. Jestem przekonany, że gdyby ks. Majka pisał te słowa dzisiaj, dodałby jeszcze, by głosić Boskie Serce Jezusa także w Internecie.

Ojciec Dehon odpowiedział nam również, co robić, aby naszą misję wypełnić. W naszym *Dyrektorium duchowym* czytamy: „Pomimo gorliwości w pracy, powinni jednak zarezerwować sobie codziennie czas przepisany na ćwiczenia duchowne, a zwłaszcza na adorację wynagradzającą”. Wszystkie zadania, które wykonuję, mogę realizować tylko dzięki łasce Pana Boga. Dlatego bardzo cenię sobie czas na indywidualne oraz wspólne modlitwy wraz ze współbraćmi, a szczególnie adorację Najświętszego Sakra-

mentu. Ojciec Dehon naucza nas, że adoracja jest naszą charakterystyką. Bez niej nasze dzieło nie wypełni swego posłannictwa. „Serce Jezusa musi być najpierw w nas, abyśmy mogli je zanieść innym” – pisał ojciec Dehon. To dlatego właśnie zdecydowałem się zostać sercaninem, aby pocieszać Najświętsze Serce Jezusa, coraz bardziej zachwycać się Jego miłością, żyć nią i dzielić się nią z innymi. Wielka czcicielka Najświętszego Serca Pana Jezusa, św. Mechtylda prosiła kiedyś Pana Jezusa o pewną łaskę dla jednej z sióstr zakonnych. W pewnym momencie Jezus rzekł do niej: „Powiedz tej osobie, za którą się modlisz, aby udała się do Serca Mego, a tam znajdzie wszystko, czego pragnie. Niech przez Serce Moje prosi o wszystko, czego jej potrzeba, po prostu i serdecznie jak małe dziecko, które prosi ojca, a nie będzie zawiedziona”. To jest istota naszego powołania: żyć w przyjaźni z Chrystusem, kontemplować Jego Najświętsze Serce i przyprowadzać do Niego wszystkich, których Bóg stawia na naszej drodze.

Ks. Antoni Ulaczyk SCJ, Chorwacja

Przeszczepianie charyzmatu do Chorwacji

Żyję nadzieją, że moje długie życie zakonne jest udziałem w realizowaniu charyzmatu sługi Bożego ojca Jana Leona Dehona, który nasze *Dyrektorium* streszcza w słowach: „miłość i wynagrodzenie”. Z dwóch propozycji zakonności, które polecił mi wikariusz naszej parafii, ks. Zygmunt, a mianowicie marianów i sercanów, wybrałem tę drugą, ponieważ wydawało mi się, że nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego jest bliższe mojemu sercu. Od prowincjała, ks. Jana Bema, otrzymałem potwierdzenie o gotowości przyjęcia mnie do tej wspólnoty zakonnej, i wbrew wszelkim głosom rodzeństwa i innych, wybrałem się do Krakowa. Od tego czasu, tj. od 1957 roku, do dzisiaj próbuję się uczyć i zagłębiać w charyzmat sercański, o którym ojciec Dehon pisze: „W słowach: *Ecce venio...*, *Ecce ancilla...* zawarte jest całe nasze powołanie, nasz cel, nasze zobowiązania i obietnice” (*Dyrektorium duchowe*, cz. I, § 3).

Różne momenty wpływały na moje życie zakonne i kapłańskie, które teraz uważam za działanie Boże. Chciałem wyjechać na misje do Indonezji, gdy taka możliwość otworzyła się przed naszą Prowincją, ale przełożeni na to się nie zgodzili i wysłali mnie na studia biblijne. Już w tym czasie odkryłem radość kontaktów z młodzieżą i wygłosiłem pierwsze rekolekcje parafialne. Zabierało mi to dużo czasu, ale uważałem, że to jest w duchu naszego charyzmatu, szczególnie gdy przełożeni powierzyli mi odpowiedzialność za akcję powołań. Z czasem podjąłem pierwsze wykłady w seminarium, ale przyszła propozycja od przełożonych, bym dołączył do ks. Herberta Halamy, który zaczął pracę w Wiedniu. Wtedy właśnie Prowincja Niemiecka przekazała nam klasztor i parafię we Wiedniu ze względu na zmniejszającą się u nich liczbę powołań. Gdy już tam byliśmy, odkrywaliśmy coraz wyraźniej, że pracujący tam nadal niemieccy współbracia nie są zadowoleni z decyzji Zarządu Niemieckiej Prowincji. Gdy nasz klasztor odwiedził bp Ciril Kosa (z ówczesnej Jugosławii), poprosiłem go, by przyjął mnie do swojej diecezji. Już wcześniej widziałem sytuację mężczyzn z Jugosławii, którzy w tym czasie nie mogli jeszcze sprowadzać ze sobą rodzin do Austrii. Wydawało mi się, że to jest też obecne w charyzmacie naszego Założyciela, który bardzo się troszczył o robotników. Biskup zgodził się na to, a przełożeni Polskiej Prowincji potwierdzili taką możliwość. Wyjechałem więc do Djakova, by podjąć pracę wikariusza w parafii Ducha Świętego w Slavonskim Brodzie. Władze ówczesne-

snej Jugosławii dały mi wizę tylko na siedem miesięcy i nie chciały jej przedłużyć, gdyż uważały, że się zajmuję działaniem, którego państwo nie popiera. Co trzeci miesiąc musiałem przekraczać granicę, by odnowić wizę i ponownie móc wjechać do Jugosławii. Po dwóch latach przełożeni uznali, że potrzebują mnie w Prowincji. Wróciłem więc do Krakowa, ale nadal utrzymywałem kontakty z Kościołem chorwackim. Na kapitule prowincjalnej w 1984 roku pozwolono mi ponownie wyjechać do Wiednia, skąd miałem troszczyć się o powołania z Chorwacji. Boże Serce przysyłało nam co roku po dwóch kandydatów, którzy za pozwoleniem ojca generała odbywali postulat i nowicjat w Wiedniu, a gdy się otworzyła taka możliwość, kontynuowali dalsze przygotowanie i studia w Polsce.

Z czasem, po wojnie domowej w Chorwacji, ks. kard. Franjo Kuharić przekazał nam parafię w Zagrzebiu, gdzie wybudowaliśmy kościół parafialny i klasztor. Pracowałem nadal w Austrii, skąd wspierałem ks. Andrzeja Wośko, proboszcza naszej pierwszej parafii w Chorwacji i chorwackich współbraci, którzy w międzyczasie zostali wyświęceni na kapłanów. Obecnie (2025 rok) od dwóch lat mieszkam w naszym klasztorze w Zagrzebiu. Kiedy w innych rejonach Europy nie było i nie ma powołań, zajmowałem się nowymi kandydatami, których darowało nam Boże Serce, a teraz pomagam w parafii. Spodziewam się, że taka próba odkrywania i realizowania charyzmatu dehonianańskiego jest też łaską Bożego Serca, którą – w całej świadomości swoich grzechów i ograniczeń – próbowałem

realizować. Aktualność tego charyzmatu w Kościele, dla Kościoła i dzisiejszego świata nie budzi we mnie żadnych wątpliwości. Dlatego jestem wdzięczny Bogu za sercańskie powołanie i Jego niepojęte miłosierdzie. Właśnie w naszej parafii w Zagrzebiu znajduje się centrum chorwackiego kultu Bożego Miłosierdzia.

Ks. Tadeusz Wołos SCJ, Ukraina

Idźcie na cały świat i dajcie poznać światu miłość Bożego Serca

To przesłanie ojca Dehona było motywem wstąpienia do Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego. Już w seminarium angażowałem się w sprawy misji, w kółko misyjne, katechezy misyjne, zwłaszcza związane z misjami w ówczesnym Zairze (obecnie Kongo). Zaraz po skończeniu seminarium złożyłem prośbę o wysłanie mnie na misje do Zairu, ale widocznie nie było to moim powołaniem. Po kilkuletniej pracy na parafiach w Polsce zostałem misjonarzem krajowym. W ramach tej formacji w listopadzie 1991 roku głosiłem wraz z kolegą renowację misji na Białorusi. I tu zaczęło się to, co było dla mnie najważniejsze: praca misyjna, wprawdzie nie *ad gentes*, ale na pobliskiej Białorusi.

W połowie 1992 roku ówczesny prowincjał, ks. Czesław Konior, zaproponował mi pracę w parafii w Lachowiczach na Białorusi. Miałem kontynuować budowę

kościół, rozpoczętą przez ks. Aleksandra Wyszyńskiego, który zachorował. Podjąłem się tego zadania. To była dla mnie realizacja charyzmatu ojca Dehona: budować i prowadzić ludzi do Chrystusa. Chociaż parafia w Lachowiczach, a potem kolejna w Baranowiczach, czy ostatnia w Mozyrze na Homelszczyźnie, były w jakiś sposób związane z naszym polskim duszpasterstwem, to jednak trzeba było niejednokrotnie wychodzić poza ramy naszego stylu i rzeczywiście apostołować, tak jak na misjach *ad gentes*. Spotykałem się z tym zwłaszcza na wschodniej Białorusi, a potem na Ukrainie. Ludzie ateizowani 70 lat przez komunizm, zmaterializowani, potrzebowali pomocy, aby powrócić do chrześcijaństwa. Najpierw realizowało się to przez zaangażowanie w budowę świątyń. Na Białorusi były 3 takie budowy: w Lachowiczach, w Leśnej, gdzie zaczynałem od stanu surowego, wykańczanie kościoła w Chojnikach, i obecnie budowa od podstaw kościoła w Irpiniu na Ukrainie. Najlepiej udało się w Lachowiczach, gdzie ks. Aleksander Wyszyński wspaniale przygotował ludzi, w Leśnej, gdzie budowa była w stanie surowym, było już trochę ciężiej; tutaj parafię przejąłem po biskupie Kazimierzu Wielikosielscu OP. W Chojnikach nie było większych trudności, gdyż świątynia była prawie wykończona. Zachęcanie, wspólne modlitwy z parafianami, szukanie funduszy, a przede wszystkim praca rekolekcyjno-misyjna w parafiach w Polsce, to odpowiadało mojemu powołaniu misyjnemu i było w jakimś stopniu realizacją charyzmatu ojca Dehona.

Pewne trudności spotkały mnie na Ukrainie, do której przybyłem w 2017 roku z konkretnym zadaniem budowy świątyni w Irpiniu koło Kijowa. Myślałem, że z bogatym doświadczeniem zdobytym na Białorusi dam sobie spokojnie radę. Jednak było trudno; lud ukraiński to nie ludzie z Białorusi. Tutaj potrzeba było większego wysiłku, by realizować powołanie i sercański charyzmat. Niejednokrotnie moje działanie było przyjmowane opatrnie, ale dzięki opiece Bożego Serca szedłem dalej. Wojna, która zastała mnie w Irpiniu, pozwoliła zauważyć inne oblicze Ukraińców. W czasie okupacji ludzie, którzy pozostali, mocno się zjednoczyli i to cieszyło moje kapłańskie serce. Mimo działań wojennych, do 17 marca, czyli dnia mojego wyjazdu z Irpinia, każdego dnia była sprawowana Eucharystia i prowadzone były modlitwy. Po moim wyjeździe i gościnnym przyjęciu przez ojców karmelitów, przez adorację umacnialiśmy się razem z tymi, którzy mieszkali wówczas u karmelitów. Modlitwa, adoracja, wspólnota pomogły przeżyć trudny czas. 7 kwietnia wróciłem do Irpinia i podjąłem na nowo odprawianie Mszy Świętej, modlitwę i pomoc ludziom potrzebującym. Na pewien czas zamieszkał w naszym klasztorze kapłan grekokatolicki, ojciec Mirosław. Modliliśmy się wspólnie. Tę modlitwę kontynuujemy do dnia dzisiejszego już nie codziennie, ale przynajmniej dwa razy w tygodniu. Taka wierność sercańskiemu powołaniu trzyma mnie w swoich objęciach i pozwala dalej radować się tym, że jestem sercaninem.

Ks. Józef Wroceński SCJ

Ja i moje sercańskie Zgromadzenie

Urodziłem się w otulinie Biebrzańskiego Parku Narodowego, na pograniczu Podlasia i Mazur. W tym regionie Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego nie było znane, nie prowadziło tam bowiem żadnych dzieł apostołskich. O Zgromadzeniu dowiedziałem się od mojego kolegi, który rok wcześniej wstąpił do nowicjatu w Pliszczynie. On z kolei dowiedział się od jakiegoś misjonarza krajowego, który przypadkiem pojawił się na Białostocczyźnie. W tym też okresie nie była prowadzona przez Zgromadzenie jakaś szczególna akcja powołaniowa. Były to trudne czasy dla Kościoła. W roku 1967 kończyłem ośmioklasową szkołę podstawową. Już wcześniej rozpoznałem oznaki powołania, mimo iż nie byłem ministrantem (do kościoła było zbyt daleko), ani też nie uczestniczyłem w żadnej akcji powołaniowej i nie prowadziłem korespondencji z żadnym z księży sercanów. Niemniej z dnia na dzień wzrastała pewność, że chcę zostać księdzem. W tym

czasie wiedziałem już, że do seminarium w Białymstoku przyjmują kandydatów tylko po maturze. W tym samym roku stryj Piotr Wroceński, mieszkający w Stanach Zjednoczonych, podjął starania, aby mnie sprowadzić do siebie na stałe. Wcześniej uczynił to z dwoma moimi kuzynami.

Pierwszy mój kontakt ze Zgromadzeniem nastąpił w styczniu 1967 roku, a okazją była pierwsza profesja wyżej wspomnianego kolegi w Pliszczynie. Wówczas nieco więcej dowiedziałem się o Zgromadzeniu i trochę poznałem atmosferę domu nowicjackiego. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba też wtedy wyraziłem chęć wstąpienia do Zgromadzenia. Mistrzem nowicjatu był wówczas ks. Stefan Kierpiec. W każdym razie po tej wizycie rozpoczął się kontakt listowny, który jeszcze bardziej mnie przekonywał, że to ma być moje Zgromadzenie. Ważne dla mnie było to, że do Zgromadzenia przyjmowano wówczas kandydatów po ukończeniu szkoły podstawowej i to był ostatni taki rok, bo od następnego roku przyjmowano już tylko kandydatów po maturze. Przestałem więc myśleć o liceum, a coraz częściej o Zgromadzeniu, chociaż ciągle niewiele o nim wiedziałem. W czerwcu 1967 roku po ukończeniu szkoły podstawowej otrzymałem od stryja ze Stanów Zjednoczonych wszystkie papiery do wyjazdu na stałe, ale też w tym samym czasie otrzymałem wiadomość ze Zgromadzenia, że zostałem przyjęty do postulatu, który rozpoczynał się w drugiej połowie lipca i mam przygotować się do przyjazdu. Stałem więc przed dylematem: Co wybrać? Gdzie się udać? A miałem wówczas tylko pięć-

naście lat. Nie miałem wtedy kierownika duchowego, którego mógłbym się poradzić. Rodzice zostawili mi wolny wybór, oczekiwali mojej decyzji. Przez pewien czas chodziłem jak zabląkany. Była to trudna sprawa dla młodego chłopaka. Obydwa wyjścia to podróż w nieznaną. Jednak głos powołania przewyciężył i podjąłem decyzję o wstąpieniu do Zgromadzenia. Stryj, dowiedziawszy się o tym, był niezadowolony, stracił bowiem dużo czasu i poniósł już pewne koszty. Wstępowałem więc do Zgromadzenia, o którym niewiele wiedziałem, ale chyba atmosfera zapamiętana ze styczniowego pobytu była decydująca.

Tak więc moje Zgromadzenie i jego Założyciela, a przede wszystkim jego ducha zacząłem poznawać od chwili, gdy do niego wstąpiłem w lipcu 1967 roku. Była nas spora gromadka – 27 kandydatów, różnego formatu fizycznego i duchowego, większość po szkole podstawowej. Rozpoczął się postulat, a później poważniejszy czas, okres nowicjatu. Było to nie lada wyzwanie: wejść w program dnia nowicjackiego, poza tym tęsknota za rodziną. Ponadto co jakiś czas ktoś się pakował i odchodził. Były to decyzje przełożonych, dla nas niezrozumiałe. W październiku 1968 roku, po złożeniu pierwszej profesji zakonnej, przejechaliśmy do Tarnowa, do tzw. małego seminarium, aby przygotowywać się do matury. W tymże seminarium spotkałem mojego kolegę, ale on niedługo opuścił Zgromadzenie. Podczas pobytu w Tarnowie było więcej okazji, aby poznać inne domy Zgromadzenia, m.in. Kraków, wyższe seminarium w Stadnikach, a przede wszystkim wielu

sercanów. Głęboko utkwiał mi w pamięci pierwszy wyjazd na wakacje do rodziny w 1969 roku. Po powrocie z wakacji nasza grupa jeszcze bardziej zeszczupłała. Po ukończeniu drugiego roku małego seminarium w 1970 roku podjęto decyzję o rozwiązaniu tegoż seminarium i rozesłaniu nas do rodzinnych domów, celem dokończenia programu kształcenia licealnego i uzyskania matury. W tym czasie przełożonym w Tarnowie był ks. Stefan Rychlicki, który też podjął się obowiązku utrzymywania stałego kontaktu z nami i wysyłania nam stałego, comiesięcznego wsparcia finansowego. Śluby zakonne oczywiście zostały zawieszane na ten okres. Tak więc w 1970 roku znalazłem się w Ełku u swojej kuzynki i po zdaniu egzaminu z dwóch lat liceum, zostałem przyjęty do trzeciej klasy licealnej. Kontakt ze Zgromadzeniem w tym okresie bardzo się rozluźnił. W 1972 roku, po uzyskaniu świadectwa maturalnego, należało wstąpić do wyższego seminarium w Stadnikach, co też nie było łatwe, o czym świadczy fakt, że nie wszyscy rozesłani z małego seminarium powrócili. Nasza grupa rocznikowa jeszcze bardziej zeszczupłała. Do święceń kapłańskich z mojego rocznika doszło tylko czterech współbraci.

Okres studiów seminaryjnych to był nie tylko czas formacji intelektualnej w zakresie filozofii i teologii, ale także okres pogłębionej formacji duchowej i poznawania Założyciela i jego ducha. Od samego początku fascynowała mnie miłość Założyciela i jego apostołstwo. Stąd w seminarium cały czas przygotowywałem się do pracy mi-

syjnej, ku czemu zachęcali też liczni misjonarze sercańscy, przyjeżdżający na urlopy, szczególnie z Indonezji i Zairu. Przez długi okres studiów działałem w seminaryjnym kole misyjnym, które miało kontakt z Biurem Misyjnym Konferencji Episkopatu Polski. Na temat pracy seminaryjnej wybrałem zagadnienie pt. *Pojęcie miłości w pismach ojca Mateo Crawley-Boevey*.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich, co nastąpiło 2 czerwca 1978 roku, w stulecie Zgromadzenia i w roku wyboru Karola kardynała

Wojtyły na urząd biskupa Rzymu, zostałem posłany do naszej parafii we Florynce, gdzie objąłem urząd wikariusza parafialnego. Z jednej strony byłem zadowolony, bo

W tym Zgromadzeniu bardziej zrozumiałem, czym jest miłość. Zgromadzenie przybliżyło mnie bardziej do Boga i za to jestem wdzięczny.

praca duszpasterska mnie pociągała, bowiem bezpośredni kontakt z ludźmi dawał możliwość kształtowania i wzrastania w miłości na wzór ojca Założyciela. Równocześnie byłem też nieco zawiedziony, ponieważ ta decyzja przełożonych przekreśliła moje marzenia o misjach zagranicznych. Po roku zostałem skierowany na studia specjalistyczne z zakresu prawa kanonicznego w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Zamieszkałem w naszym nowo erygowanym domu zakonnym przy ul. Modlińskiej 328, gdzie przełożonym był ks. Stefan Kierpiec, mój mistrz z nowicjatu. Pierwszy rok był trudny, bowiem oprócz obowiązków studenta pełniłem jeszcze funkcję wikariusza

w parafii Warszawa-Płudy, na terenie której położony jest nasz dom. Byłem zadowolony, ale też i trochę zawiedziony, ponieważ tą decyzją przekreślono możliwość odbycia takich studiów w Rzymie, gdzie posyłani byli koledzy. Po odbyciu studiów i uzyskaniu dyplomu magistra-licencjata z prawa kanonicznego w 1982 roku od razu zostałem mianowany wykładowcą prawa kanonicznego w Wyższym Seminarium Misyjnym w Stadnikach na wszystkich czterech rocznikach, co wiązało się z cotygodniowymi podróżami z Warszawy do Stadnik. Ta nominacja wymusiła dalszą drogę naukową, bowiem wykładowca seminarium nie mógł posiadać tylko stopnia magistra. Stąd zapisałem się na studia doktoranckie, które zwieńczyłem w 1985 roku napisaniem pracy doktorskiej i uzyskaniem stopnia doktora prawa kanonicznego. W 1983 roku zostałem zatrudniony na etacie asystenta na Wydziale Prawa Kanonicznego ATK. Po uzyskaniu doktoratu zostałem mianowany adiunktem i podjąłem wysiłki uzyskania dalszych stopni naukowych. Praca naukowa w kolejnych latach i roczny staż naukowy w Paryżu dały możliwość uzyskania stopnia doktora habilitowanego nauk prawnych i tytułu profesora nauk prawnych, nadanego przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (2017 rok). Na uczelni pełniłem przez dwie kadencje urząd prodziekana Wydziału i dziekana Wydziału oraz przez cztery kadencje byłem członkiem senatu ATK, a później UKSW. Prowadziłem też wykłady z prawa wyznaniowego w Wyższym Seminarium Księży Salezjanów w Łądzie oraz przez dwa lata pracowałem w Sekreta-

riacie Episkopatu Polski jako radca prawny. Praca na uczelni i w Wyższym Seminarium Misyjnym w Stadnikach trwała przez okres 40 lat. Była to dobra okazja, aby dawać świadectwo przede wszystkim o miłości na wzór ojca Dehona. Można by tu przywołać wiele konkretnych faktów i sytuacji, ale ramy tej wypowiedzi na to nie pozwalają. Moja praca dydaktyczna zakończyła się przejściem na emeryturę w 2022 roku. W tym okresie oddawałem się też pracy w Zgromadzeniu. Czterokrotnie pełniłem funkcję radnego prowincjalnego, przynależałem do wielu komisji prowincjalnych, uczestniczyłem w kilku kapitułach i konferencjach prowincjalnych. Przez 15 lat (1989–2004) jeździłem też na dwumiesięczne wakacyjne zastępstwa do parafii pod Paryżem w diecezji wersalskiej. Była to dobra okazja, aby poznać ojczyznę ojca Założyciela, miejsce jego narodzin oraz problemy, z którymi boryka się Kościół we Francji i tamtejsza prowincja naszego Zgromadzenia.

Może jeszcze warto wspomnieć o innym polu zaangażowania, mianowicie o duszpasterstwie specjalistycznym. Otóż w 1993 roku ówczesny prowincjał, ks. Czesław Konior, mianował mnie kapelanem siostr serafitek w Warszawie-Choszczówce, z zamieszkaniem na kapelanii. Był to nowy aspekt zaangażowania, wymagający wypracowania w sobie nowych kompetencji, aby sprostać zadaniu opieki duchowej nad siostrami zakonnymi. Funkcję tę pełniłem przez 25 lat do 2018 roku. Ten obszar zaangażowania powiększył się o dodatkowe potrzeby, które pojawiły się

w sąsiedniej parafii Jabłonna. Przez 20 lat pracowałem jako pomoc duszpasterska w tej parafii oraz dodatkowo przez ten sam okres opiekowałem się jako duszpasterz kaplicą publiczną, zbudowaną przez księdza prymasa Stefana kardynała Wyszyńskiego na terenie parafii Jabłonna w Warszawie-Choszczówce dla tzw. ósemek, czyli członkiń Instytutu Świeckiego Pomocnic Maryi Jasnogórskiej Matki Kościoła (obecnie Instytutu Prymasa Wyszyńskiego). W tym domu mieszkała i pracowała Matka Okońska, współzałożycielka Instytutu. Do tego domu przyjeżdżał często prymas Wyszyński, kardynał Karol Wojtyła przed objęciem urzędu biskupa Rzymu oraz inni biskupi.

W 2018 roku zamieszkałem ponownie w domu zakonnym przy ul. Modlińskiej, gdzie już trzecią kadencję pełnię urząd przełożonego domu. Ostatnie trzy lata wiążą się z cierpieniem bowiem dotknęła mnie nieuleczalna choroba, z którą można żyć tylko dzięki szeroko pojętej miłości, która daje optymizm życiowy.

Kończąc moją wypowiedź, trzeba chyba zadać pytanie i poszukać na nie odpowiedzi, mianowicie: dlaczego wybrałem to właśnie Zgromadzenie i z nim związałem swoje życie? Odpowiedź brzmi: nie wiem. Wiem natomiast jedno, że w tym Zgromadzeniu bardziej zrozumiałem, czym jest miłość i na czym ona polega, zgodnie z jego charyzmatem. Tym samym Zgromadzenie przybliżyło mnie bardziej do Boga i za to jestem wdzięczny Zgromadzeniu Księży Najświętszego Serca Jezusowego, stąd śmiało mogę mówić „moje sercańskie Zgromadzenie”.

Ks. Stanisław Zawitowicz SCJ, Finlandia

Otwierać serce przed Bogiem

Wychowywałem się i dorastałem w parafii prowadzonej przez księży sercanów. Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz usłyszałem o ojcu Dehonie. Pamiętam tylko, że dla kapłanów posługujących w mojej miejscowości, ten francuski duchowny jest ważny, tak jak ważne było dla nich, aby ludzie oddawali cześć Najświętszemu Sercu Jezusa. Częste adoracje w parafii, uroczyscie celebrowane pierwsze piątki miesiąca i to, że nasi księża nazywani są sercanami na pewno ukierunkowało i moją osobistą duchowość. Słyszałem wiele razy, że Serce Boga jest otwarte, więc powoli sam zaczynałem otwierać serce przed Bogiem.

Po wstąpieniu do Zgromadzenia, między innymi dlatego, że byłem bardzo ciekawy, czy zakonnik może głębiej zapuścić się w Serce Boga, zacząłem swoją drogę do Boga i do siebie. Począwszy od postulatu przez całą formację słyszałem o ojcu Dehonie. Czytałem jego pisma. Największy pokój przynosiły mi te fragmenty z pism ojca Założyciela, w których odkrywała się jego miłość do Jezusa, pasja, z jaką chciał się dzielić tym doświadczeniem z innymi.

Cieszyłem się, że ktoś inny ma podobne pragnienia. Jak miód na serce były jego słowa, które opisywały moje własne tęsknoty, ale nie potrafiłem ich nazwać albo opisać. Dużo było i jest walki z samym sobą, zwłaszcza kiedy odkrywam, że jestem raczej zamknięty niż otwarty. Musiałem się zmierzyć z tym, że jestem wrażliwy, ale nie na działanie Boga, tylko na to, co inni o mnie myślą i mówią. Chciałbym, tak jak ojciec Dehon, do końca wytrwać w gorliwej trosce o moje dobre relacje z Bogiem. Proszę

Słyszałem wiele razy, że Serce Boga jest otwarte, więc powoli sam zaczynałem otwierać serce przed Bogiem.

ojca Dehona o pomoc, zwłaszcza gdy odkrywam, że zaczynam być marudny albo zrzędlivy, ku zgryzocie moich współbraci. Staram się brać z niego przykład, jeśli chodzi

o szacunek dla wspólnoty, w której żyję. To on, zaraz po Jezusie, przypomina mi, czym jest moja wspólnota zakonna i jak łatwo ulec pokusie, aby uciekać przed innymi. Jego posłuszeństwo w różnych sytuacjach jest też dla mnie umocnieniem, w tym, kim jestem i co robię. Ćwiczę się w tym, aby bardziej słuchać niż pouczać. Widzieć sytuacje tak, jak je widzi Jezus, a nie moja, w różne kierunki wybujała, wyobraźnia. Oby to, co ojciec Dehon próbuje zaszczerpić w mojej duszy, przymnożyło cześć i chwałę Sercu Jezusowemu.

Sercanin – człowiek powołany do miłości

Dlaczego nie franciszkanin albo dlaczego nie jezuita, a właśnie sercanin? Każde powołanie, będące przede wszystkim wezwaniem Boga, jest spotkaniem z kimś, kto to powołanie pomoże odczytać, ukierunkować, bo na początku jest chyba zawsze więcej pytań niż odpowiedzi. Tak było i w moim przypadku. Spotkałem kapłana, sercanina, który swą autentycznością życia i oddania Bogu sprawił, że dokonałem takiego, a nie innego wyboru. Znajomość z nim, jeszcze przed wstąpieniem do seminarium, pomogła mi poznać bliżej duchowość Serca Jezusowego. Duże znaczenie w tym poznawaniu duchowości miała modlitwa oddania się Sercu Jezusowemu, akt poświęcenia się Jemu: „Oto serce, które tak bardzo ludzi ukochało...”. Ona sprawiła, że jakoś do mnie dotarło, że najważniejszym powołaniem człowieka jest powołanie do miłości.

Później, już na drodze formacji zakonnej, powoli zacząłem odkrywać charyzmat ojca Dehona. Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że to przede wszystkim osoba Założyciela: historia jego powołania, jego nauczanie, jego postawa zakonna, zaangażowanie, umiłowanie Kościoła pozwoliły mi odkryć, czym jest konkretnie miłość Serca Jezusowego i jak nią żyć. Myślę, że charyzmat sercański

jest w jakimś sensie optymalną próbą odpowiedzi na miłość Serca Jezusowego.

Z pewnością w życiu zakonnym chodzi o ciągłe wznoszenie wzroku ku Temu, który nas do końca umiłował, o kontemplację Jego otwartego boku, która daje moc do ciągłej przemiany i wierności powołaniu, wierności ideałowi ewangelicznemu. Chyba trudno byłoby mi zrozumieć powołanie zakonne bez tego, co stanowi istotę życia chrześcijańskiego, a mianowicie bez miłości. Msza Święta i adoracja są dla mnie miejscem spotkania z Tym, który umiłował swoich do końca, i że nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swe oddaje za przyjaciół.

Przeżywanie charyzmatu i jego pogłębianie byłoby niepełne, gdyby nie przekładało się na zwykłą dobroć, troskę o drugiego człowieka, wrażliwość na jego potrzeby duchowe czy materialne. Muszę przyznać, że dla mnie osoba Za-

*To przede wszystkim osoba
Założyciela: historia jego
powołania, jego nauczanie,
jego postawa zakonna,
zaangażowanie, umiłowanie
Kościoła pozwoliły mi odkryć,
czym jest konkretnie miłość
Serca Jezusowego i jak nią żyć.*

łożyciela jest ucieleśnieniem tej dobroci i wrażliwości, i nie może być inaczej, gdyż to on jest dla nas sercanów wzorem ucznia Chrystusa. Życie i dzieła, które stworzył, świadczą o tym dobitnie.

Po święceniach kapłańskich opatrność Boża sprawiła, że wyjechałem na misje na kontynent afrykański. Praca na misjach w kraju, do którego zostałem posłany, w którym płaca, nawet dzi-

siaj, nie przekracza jednego dolara na dzień, gdzie toczą się niekończące konflikty zbrojne, była dla mnie dużym wyzwaniem. Skala ubóstwa i poczucie bezradności wobec ogromu potrzeb były ciągłym apelem do zaangażowania się na rzecz najbardziej potrzebujących i pozostawionych samym sobie. Z upływem czasu zrozumiałem, że praca apostołska w duchu wynagrodzenia Sercu Jezusowemu za brak miłości, to przede wszystkim troska o drugiego człowieka. Dlatego w mojej pracy misyjnej starałem się zawsze wspomagać albo inicjować takie projekty, jak np. budowę szkół, ośrodków zdrowia, które dawały miejscowej ludności poczucie godności i bezpieczeństwa.

Wydaje mi się, że na misjach odnalazłem również to, co w charyzmacie naszego Zgromadzenia udało się dobrze ułożyć naszemu Założycielowi, a mianowicie równowagę między modlitwą (Msza Święta, adoracja) a posługą na rzecz potrzebujących.

Dlaczego zostałem sercaninem i wciąż nim jestem? Już we wstępie o tym wspomniałem. Odczytując jednak moje powołanie z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że na początku było to zapewne przeżycie, że Bóg ma Serce, którym kocha człowieka w sposób bezgraniczny. W Liście do Koryntian św. Paweł mówi o tym, że „miłość Chrystusa przynagła nas” (2 Kor 5,14). Wydaje mi się, że te słowa bardzo trafnie wyrażają powołanie każdego sercanina, jego tożsamość i racje bycia nim.

(anonimowe)

Szansa, której nigdy nie można stracić!

*Kiedy On przyjdzie sam
w sercu swym wielką ciszę w Nim mam,
a On patrzy mi w oczy bez słów:
Jeżeli za mną iść chcesz, wszystko zostaw i wierz,
gdy chcesz, gdy chcesz, gdy chcesz
Kiedy On słowo swe w ciszy miasta do dzieci swych śle,
i popatrzy i powie ci tak:
Jeżeli za mną iść chcesz wszystko zostaw i wierz,
gdy chcesz, gdy chcesz, gdy chcesz.*

Mam pełną świadomość, że każde poszczególne świadectwo, które będzie tworzyć zaproponowaną publikację z okazji 100. rocznicy śmierci naszego ojca Założyciela, będzie z pewnością niepowtarzalne, tak jak niepowtarzalny jest każdy z nas, który w pewnym momencie swojego życia usłyszał głos Chrystusa: „Pójdź za Mną” i dał pozytywną odpowiedź Boskiemu Sercu, wstępując do naszego Zgromadzenia. W moim przypadku pierwszy raz usłyszałem głos Chrystusa z okazji pierwszopiątkowej spowiedzi świętej. Jezus Chrystus użył do tego celu ówczesnego proboszcza w mojej rodzinnej parafii. Byłem uczniem piątej lub szóstej klasy szkoły podstawowej. W związku z prak-

tyką pierwszych piątków rezonowało w moim sercu pewne misyjne hasło, które zapamiętałem sobie podczas misji ludowych, jakie przeżywałem jeszcze wcześniej, to znaczy jako uczeń czwartej, może piątej klasy szkoły podstawowej. Hasło to brzmiało: „Kto dziewięć pierwszych piątków odprawi, jak trzeba, nie umrze w grzechu i pójdzie do nieba”.

Ponieważ dar powołania jest najczęściej wymodlony przez kogoś, w moim przypadku, tak to czuję wewnętrznie, powołanie wyprosiła mi moja babcia, która była głęboko wierzącą i modlącą się kobietą. Może wydawać się to trochę dziwne, ale początki mojego powołania odnajduję już we wczesnym dzieciństwie, i to w ścisłym powiązaniu z moją babcią, a dokładnie mówiąc, z pewnym wydarzeniem, którego świadkiem była moja babcia. Gdy miałem półtora roku, razem z moim rodzeństwem wakacje spędzałem u mojej babci, w rodzinnym domu mojej mamy, około 18 km od miejsca mojego urodzenia. W pewną niedzielę babcia nakarmiła nas obiadem i położyła spać. Z późniejszych relacji dowiedziałem się, że podczas tej sjeisty przebudziłem się i zacząłem podskakiwać na łóżeczku. Efektem tego było pęknięcie błony brzusznej (przepuklina). W ówczesnym czasie nie było do dyspozycji szybkich karet pogotowia, nie mówiąc już o telefonach komórkowych. W takich sytuacjach, gdy wnętrzości wydostają się na zewnątrz i następuje natychmiastowe zakażenie, potrzebna jest szybka operacja. Tak więc zaczęła się walka o moje życie. Po około trzech godzinach udało się znaleźć

aparatu telefonicznego na posterunku milicji i zawiadomić najbliższy szpital. Dyżurujący lekarz, po zapoznaniu się z sytuacją, stanął na wysokości zadania. Bój o moje życie zakończył się pomyślnie, chociaż operacja była bardzo bolesna. Gdy wracam w myślach do tamtej sytuacji, jestem przekonany, że moja pobożna babcia gorąco się modliła, gdy ważyły się losy mojego życia. Myślę, że w modlitwie uczyniła Bogu pewną obietnicę: życie za życie. Jeśli wnuk przeżyje – zostanie kapłanem. Mijały lata, a ja jako dorastający chłopiec, a potem dojrzewający młodzieniec, lubiłem się modlić sam przed obrazem Boskiego Serca. Jeszcze do dziś dnia ta nieklasyczna forma obrazu Boskiego Serca zawieszona jest w naszej rodzinnej kuchni. Jezus jest tam w pozycji stojącej, tak jak na obrazie Jezusa Miłosiernego.

W tym miejscu pragnę szczerze wyznać, że odpowiedź na Jezusowe: „Pójdź za Mną” nastąpiła po dość trudnych, burzliwych latach. Doświadczyłem głębokiego kryzysu mojej wiary, co przejawiało się w błędzeniu i niezwykle grzesznym życiu. Kontekst okoliczności, w których Jezus spojrział mi w oczy, porównałbym z powołaniem apostołów, Piotra i Pawła, a także z nawróceniem syna marnotrawnego.

Przy powołaniu św. Piotra przypominamy sobie dobrze, że po cudownym połowie ryb, Piotr rzucił się Jezusowi do kolan i powiedział: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem grzesznym człowiekiem” (Łk 5,8). W moim wypadku było podobnie. Głos powołania skierowany został do mnie w sytuacji, gdy byłem zanurzony w moich osobistych „struk-

turach grzechu”. Tę grzeszną sytuację porównuję też z sytuacją marnotrawnego syna, który w pewnym momencie ocknął się w wielkiej duchowej nędzy. Było to wówczas, gdy roztrwonił majątek, gdy konsumował strąki ze świniami, a wcześniej delektował się i pełnymi ustami spożywał rozkosze tego świata. Właśnie wtedy, gdy był na dnie, uświadomił sobie w sumieniu prawdę o sobie. Było to więc w sytuacji kompletnego poniżenia swojej ludzkiej godności. Poniżenie to wyrażone jest przez obraz napelniania żołądka strąkami w towarzystwie świń (por. Łk 15, 11-18).

W moim rozeznawaniu powołania pozwolę sobie na jeszcze jeden obraz. W chwili, gdy Jezus skierował do mnie swoje: „Jeśli chcesz pójść za mną” (por. Mk 8,34), podobnie jak św. Paweł, pałałem żądzą popełniania najcięższych grzechów. W pewnym momencie w grzesznej podróży mojego życia nastąpił przełom. Nagle poraziło mnie „światło Bożego powołania”. Wówczas i ja, na swój sposób, usłyszałem słowa Pana Jezusa: „Dlaczego mnie prześladujesz?” (por. Dz 9,4). A potem spełniły się słowa, które Jezus wypowiedział do Ananiasza: „Idź, wybrałem go sobie za narzędzie” (Dz 9,15). [On pójdzie głosić miłość Boskiego Serca].

W związku z moim powołaniem pragnąłbym przypomnieć jeszcze dwa szczegóły. Otóż, gdy byłem w nowicjacie w Pliszczynie, krótko po jego rozpoczęciu odwiedził nas (nieżyjący już) ks. Bernard Kuliński i w trakcie spotkania postawił nam następujące pytanie: „Dlaczego wstąpiliście do Zgromadzenia: Czy dlatego, że jesteście

święci? Nie, ale dlatego, że chcecie być święci. Ale to was będzie sporo kosztować, to nie będzie za darmo”. A potem jeszcze jeden szczegół. Gdy pierwszy raz otrzymałem jako podarunek obraz Bożego Serca w wersji „amerykańskiej”, od początku było dla mnie jasne, że charyzmat ojca Dehona koncentruje się na czymś najbardziej centralnym, na najważniejszym organie w ciele człowieka, mianowicie na sercu, a w przypadku Jezusa – na Sercu Boga, które jest nie tylko symbolem, ale pełnią miłości, niewyczerpanym źródłem miłości, bez której nie można zaistnieć i egzystować.

Gdy z perspektywy przeżytych lat w życiu kapłańskim i zakonnym spoglądam na moje powołanie w kontekście 100. rocznicy śmierci naszego ojca Założyciela, chcę powtórzyć głównie to, że Bóg poprzez to powołanie dał mi jedyną szansę osiągnięcia zbawienia, której za żadną cenę nie mogę stracić. Po przeżytych w sposób niedoskonały wielu egzaminach z życia zakonnego i kapłańskiego, wpływających z moich ludzkich słabości, mimo wszystko z wdzięcznością brzmia mi w sercu słowa św. Pawła z Listu do Rzymian: „Sądzę bowiem, że obecnych cierpień nie da się porównać z przyszłą chwałą, która ma się w nas objawić” (Rz 8,18). A wreszcie z niezasłużoną radością i wdzięcznością chciałbym na zakończenie mojego świadectwa zacytować słowa jednego z aktów ofiarowania z *Thesaurusa*: „Bracia, dziękujemy naszemu Panu Jezusowi Chrystusowi za to, że dał nam udział w swoim wiecznym kapłaństwie, abyśmy mogli współpracować w Jego dziele

zbawienia świata”. Pozwolę sobie jeszcze uzupełnić powyższe słowa: „Dziękujemy Bożemu Sercu za to, że nam dał przeżywać kapłaństwo w ramach charyzmatu, którym Kościół ubogacił nasz drogi Założyciel, o. Leon Jan Dehon”.

Moim świadectwem chciałbym podziękować Bogu nie tylko za dar kapłaństwa, ale i za to, że mam ciągle możliwość wynagradzania Bogu za grzechy moje i innych.

(anonimowe)

Odpowiedzieć na miłość Bożego Serca

Zgromadzenie Księży Sercanów znam właściwie od dziecka, choć wówczas, oczywiście, nie miałem pojęcia, kim jest ojciec Dehon i jaki charyzmat ma założony przez niego instytut. Miałem okazję już wtedy poznać pracę współbraci, w trudnych jeszcze warunkach, ale z pełnym zaangażowaniem i oddaniem ludziom. Jako ministranci i lektorzy obserwowaliśmy ich życie, codzienne zajęcia, sposób spędzania czasu, troski i radości.

Właściwie do wyboru takiego sposobu życia pociągało mnie pragnienie odpowiedzi na miłość Serca Jezusa, którego obraz stale był obecny w naszej rodzinie i parafii.

Dopiero w nowicjacie mogłem z bliska zapoznać się z treścią charyzmatu, który w pełni pokrywał się z moimi pragnieniami służby Bogu i ludziom, zwłaszcza w posłudze miłości przebaczącej oraz głoszenia innym prawdy o miłości Boga. Poznając życie Założyciela, mogłem inspirować się jego wspaniałym zaangażowaniem w odpowiedź na natchnienia Boże i pasją świętości.

Pomimo upływu lat, wciąż mam tę radość ze służenia Bogu i cieszę się, że – mimo mojej słabości – mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwym zakonnikiem i kapłanem. Przez moją pracę staram się pomagać innym w dotarciu do

miłości Boga, ukazując jej piękno, a także pokazując przykłady tych, którzy oddali się Mu bezgranicznie w służbie królestwa Bożego Serca.

(anonimowe)

Spis treści

Słowo Przełożonego Prowincji z okazji 100-lecia śmierci ojca Leona Jana Dehona	5
Inspiracja	7
<i>Ks. Jakub Bieszczad SCJ, Włochy</i> Być świadkiem, jak Bóg prześciga się w miłości	11
<i>Ks. Zbigniew Chwaja SCJ</i> Powołanie misyjne!	22
<i>Ks. Michał Ciemięga SCJ</i> Dlaczego zostałem i jestem sercaninem?	29
<i>Ks. Józef Furczoń SCJ, Francja</i> Z marzeń o niebie do misji Serca	31
<i>Ks. Józef Gawet SCJ</i> Być sercaninem, to brzmi dumnie!	37
<i>Ks. Piotr Gębara SCJ, Finlandia</i> Zostałem sercaninem, bo Bóg tak chciał	40
<i>Ks. Jarosław Grzegorzcyk SCJ, Albania</i> W cieniu... i w świetle...	43
<i>Ks. Łukasz Grzejda SCJ, Chile</i> Jestem sercaninem, to jest zapisane w moim sercu	46
<i>Ks. Krzysztof Grzelak SCJ, RPA</i> Życie charyzmatem ojca Założyciela: aspekt misyjny	49

<i>Ks. Adam Gućwa SCJ</i> Od pierwszych piątków do duchowości Serca Jezusowego ---	57
<i>Ks. Stanisław Hałas SCJ</i> Odkrywanie Miłości na kartach Pisma Świętego -----	60
<i>Ks. Zdzisław Kościelny SCJ, RPA</i> Miłość Chrystusa większa od apartheidu -----	62
<i>Ks. Marian Kowalczyk SCJ</i> Amor et reparatio -----	65
<i>Ks. Michał Koźbiat SCJ</i> Na kolanach, przed Eucharystycznym Sercem -----	68
<i>Ks. Bartłomiej Król SCJ</i> Każdego dnia na nowo... -----	75
<i>Ks. Jacek Kubica SCJ, Szwajcaria</i> Wspaniała przygoda z Sercem Pana Jezusa -----	77
<i>Ks. Bogdan Kuta SCJ</i> Marzenia się spełniają -----	88
<i>Ks. Henryk Lachur SCJ</i> Być księdzem spod znaku Serca Jezusowego -----	103
<i>Ks. Stanisław Mieszczak SCJ</i> Umilowanie liturgii Kościoła -----	109
<i>Ks. Adam Pastorczyk SCJ</i> Zrodzony z adoracji Serca -----	113
<i>Ks. Wiesław Pietrzak SCJ</i> Pociąga mnie idea życia ofiarnego -----	121
<i>Ks. Zdzisław Pławecki SCJ, Makau</i> Zachwyty nad Bożą miłością -----	124

<i>Ks. Zdzisław Płuska SCJ</i> Być prorokiem miłości Bożego Serca	129
<i>Ks. Robert Ptak SCJ</i> Pomóż mi, mój Zbawicielu, kochać cię i pracować, abyś Ty był kochany (o. Leon Dehon)	132
<i>Ks. Dariusz Salamon SCJ</i> Gotowość na plany Bożego Serca	138
<i>Ks. Artur Sanecki SCJ</i> Zjednoczenie z Chrystusem w Jego miłości	147
<i>Ks. Andrzej Sawulski SCJ</i> Poznanie i doświadczenie dobroci Jezusa	151
<i>Ks. Kazimierz Sławiński SCJ</i> Dehon: człowiek głębokiej wiary i heroicznego zawierzenia miłości	154
<i>Ks. Andrzej Sobieraj SCJ</i> Swoją barkę pozostawiam na brzegu	158
<i>Ks. Jan Strzałka SCJ</i> Herbata w szklance z czerwonym koszykiem	160
<i>Ks. Jacek Szczygieł SCJ</i> Dlaczego zostałem i jestem sercaninem?	167
<i>Ks. Karol Szlezinger SCJ</i> Głoszenie ewangelii i miłości Najświętszego Serca Jezusowego	170
<i>Ks. Paweł Szlezinger SCJ</i> Naszym powołaniem jest miłość	172
<i>Ks. Antoni Ulaczyk SCJ, Chorwacja</i> Przeszczepianie charyzmatu do Chorwacji	176

Ks. Tadeusz Wołos SCJ, Ukraina

**Idźcie na cały świat i dajcie poznać światu miłość
Bożego Serca** ----- 180

Ks. Józef Wroceński SCJ

Ja i moje sercańskie Zgromadzenie ----- 183

Ks. Stanisław Zawitowicz SCJ, Finlandia

Otwierać serce przed Bogiem ----- 191

(anonimowe)

Sercanin – człowiek powołany do miłości ----- 193

(anonimowe)

Szansa, której nigdy nie można stracić! ----- 196

(anonimowe)

Odpowiedzieć na miłość Bożego Serca ----- 202

Jubileuszowy Rok w naszym Zgromadzeniu, przypadający z okazji 100. rocznicy śmierci o. Leona Jana Dehona, zainspirował sercanów do podjęcia różnych inicjatyw, by uczcić pamięć o swoim założycielu. Jedną z nich stał się pomysł, aby stworzyć mozaikę z żywych świadectw polskich sercanów: aby każdy podzielił się tym, w jaki sposób na przestrzeni swojego dotychczasowego życia kapłańskiego i zakonnego przeżywa charzmat Założyciela.

Zebrane świadectwa posiadają często charakter bardzo osobisty, szczery, otwarty. Są przez to bardzo autentyczne, naturalne. Są dzieleniem się początkami powołania, w jaki sposób ktoś został sercaninem, ale są równocześnie refleksją po wielu latach życia sercańskim powołaniem – jak mocno zaważyło ono na jakości i historii czyjegoś życia w Zgromadzeniu. Niektóre skupiają się bardziej na dziełach czy zaangażowaniach podejmowanych przez poszczególnych współbraci.

Dzięki zebranych świadectwom możemy się lepiej poznać jako polscy sercanie. Możemy też odkryć bogactwo łaski, jaka zaowocowała w życiu poszczególnych współbraci, o czym nie wstydzili się napisać. Zapewne o niektórych przeżyciach osobistych przeczytamy tutaj po raz pierwszy. Jestem przekonany, że odnajdziemy w tych świadectwach wiele cennych pereł, które będą dla nas zbudowaniem.